This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

KPD
5209
NEDL TRANSFER
HN 2TGA B

KPD 6209 (1)

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

Bought with the income of
THE
SUSAN A. E. MORSE FUND
Established by
WILLIAM INGLIS MORSE
In Memory of his Wife

Harvard College Library

R
P
K
Z

wa:
rs. 12
„ 6
„ 3

WYDAWCY
Granowski i Sikorski.

REDAKTOR
Franc. Jul. Granowski.

Redakcya i Admini[illegible] Nowy-Świat 47. — Telefonu 564.
Filie: w Łodzi ul. [illegible] Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia [illegible] wy-Świat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 71.

Miłość

47.

W ŻYCIU

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

Ferdynanda Hoesicka

z przedmową

Piotra Chmielowskiego.

TOM I.

Cena 40 ko

W prenumeracie 30

WARSZAWA.

Redakcya i Administracya:

47. Nowy-Swiat 47.

1899.

Ferdynand Hoesick.

MIŁOŚĆ

W ŻYCIU

ZYGMUNTA KRASINSKIEGO.

Z PRZEDMOWĄ

Piotra Chmielowskiego.

Tom I.

WARSZAWA.
DRUKARNIA
Granowskiego i Sikorskiego.
47. Nowy-Świat 47.

Slav 7115.4.895 (1)
KPD 6209 (1)

Дозволено Цензурою.

Варшава, 22 Января 1899 года.

Ferdynand Hoesick.

Był czas, kiedy się odżegnywano od udziału fantazyi w pracach naukowych, uważając ją za największego szkodnika w dziedzinie dochodzenia i odtwarzania prawdy. Dziś uznano, że udział ten nietylko nie jest szkodliwy, lecz okazuje się nawet koniecznym, gdyż bez niego żywe i barwne odmalowanie człowieka, sytuacyi, zdarzenia, staje się niemożliwem. Co więcej, sama nawet rekonstrukcya (odbudowanie idealne) jakiegoś bardzo złożonego zjawiska, bez udziału fantazyi, jest marzeniem nie do osiągnięcia.

Jeden jest tylko zasadniczy warunek: fantazya nie może być w dziełach naukowych twórczą, jaką jest w poezyi, lecz odtwarzającą, to jest pilnującą się ściśle danych, jakieśmy otrzymali z sumiennej i ścisłej analizy.

Zadośćuczynienie temu warunkowi nie jest rzeczą łatwą. Pisarz, obdarzony żywą i ruchliwą wyo-

braźnią, mimowoli poddaje się jej kierunkowi, zamiast nad nią panować. Potrzeba długiej wprawy, ażeby umieć pogodzić wymagania badawcze, żądające prawdy i tylko prawdy przedmiotowej, o ile ją człowiek osiągnąć może, z popędami podmiotowemi, tkwiącemi w wyobraźni.

Zdaje się, że p. Ferdynand Hoesick nabył już tej wprawy, jeżeli nie w zupełności, to w znacznej części. Wystąpił z początku bardziej, jako nowelista w swych zarysach biograficznych, aniżeli jako ścisły krytyk; marzył o postaciach, o których chciał opowiadać, i marzenia te wprowadzał do materyału, którym się posługiwał, mieszając dowolnie fakta niewątpliwe z domysłami i rojeniami, mieszając teksty, mające rzeczywiście znaczenie dokumentów, z obrazami wykrytemi w twórczości danej osoby, bez dokładnego wglądnięcia w to, czy owe obrazy rzeczywiście odnosiły się do realnej tej osoby stosunków. Kiedy krytyka wytknęła mu tę dowolność, starał się w pracach swych dalszych o większą ostrożność, a jakkolwiek nie wykluczył i nie mógł wykluczyć fantazyi przy obrabianiu tematów, pragnął przecież utrzymać ją w szrankach badawczego rozumu. To też zarysy obecnie wychodzące, w porównaniu z pierwszem ich wydaniem, przedstawiają różnice ogromne, tak, że prawie za nowo napisane uważać je można.

Drogę doświadczenia przebył p. Hoesick w krótkim stosunkowo przeciągu czasu. Urodzony 16 października 1867 roku w Warszawie, ukończył tamże w r. 1884 szkołę realną rządową, poczem zapisał się na wydział handlowy politechniki w Rydze, lecz po dwu latach przekonawszy się, iż nie jest stworzony na kupca, przeniósł się na wydział filozoficzny do Heidelberga i tu w ciągu dwu semestrów słuchał wykładów sławnego Kuno Fischera, Winckelmanna i innych. Na początku r. 1888 pojechał do Krakowa i w uniwersytecie tamtejszym uczęszczał na odczyty Tarnowskiego, Smolki, Sokołowskiego, księdza Pawlickiego. W r. 1890 uzyskawszy „absolutorium" z ukończonych studyów, udał się do Paryża, by w Sorbonie i Kolegium francuskiem przysłuchać się takim mężom, jak Renan, Ribot, Gaston Paris. Od r. 1891 stale zamieszkał w Warszawie.

Pierwsze swe prace, beletrystyczne i literackie, pomieszczał w czasopismach krakowskich („Świat") i warszawskich („Kuryer Warszawski"), jeszcze jako słuchacz uniwersytetu jagiellońskiego. Od przyjazdu do Warszawy coraz częściej można było czytać jego prace w „Ateneum", „Bibliotece Warszawskiej", „Kraju", „Tygodniku Illustrowanym", „Przeglądzie Tygodniowym", „Bluszczu", „Gazecie Polskiej", „Wieku", „Kuryerze Niedzielnym" i t. d. W r. 1895 ogłosił, wybrawszy z czasopism to, co uważał za

najlepsze, dwa tomy: jeden z nich p. t. „Samotność“ zawarł rzeczy beletrystyczne, „krajobrazy i opowiadania“, drugi p. t. „O Słowackim, Krasińskim i Mickiewiczu“ mieścił w sobie studya historyczno-literackie, silnie pierwiastkiem fantazyjnym jeszcze przesycone. W tymże roku krakowska Akademia Umiejętności wydała pracę jego bardziej analityczną, będącą przyczynkiem do dziejów twórczości Słowackiego p. t. „Anhelli i Trzy poematy,“ Nakoniec r. 1897 ukazał się wynik siedmioletniej blizko pracy, wielkie trzytomowe dzieło o „Juliuszu Słowackim“, które autor mniej potrzebnie i właściwie nazwał „biografią psychologiczną.“ Pomimo wad swoich, i w układzie i w sposobie traktowania, jest to książka, która w literaturze naszej zajmie poczesne miejsce. Ostatnią, jak na teraz, drukowaną pracą p. Hoesicka jest krótki zarys biograficzny o „Fryderyku Chopinie“ (Petersburg, 1898). Jest to jakby program wielkiej dwutomowej monografii, nad którą autor pracuje obecnie.

Piotr Chmielowski.

Wstęp.

Pierwsza miłość.

(1829—183[illegible]).

O pierwszej miłości Zygmunta Krasińskiego wie się dotychczas bardzo niewiele. Jedynem źródłem do jej historyi są *Listy z podróży* A. E. Odyńca, który, przybywszy z Mickiewiczem w sierpniu r. 1830 do Genewy, zastał tu przyszłego autora *Irydyona*. Młody ordynat blisko od roku już bawił nad Lemanem, a uczęszczając na wykłady w tutejszym uniwersytecie, mieszkał ze swym guwernerem, p. Jakubowskim, i kamerdynerem Lintnerem. Za głównego towarzysza, z którym nietylko słuchał prelekcyi Sismondiego i Bonstettena, ale i razem bywał w towarzystwach polskich, jak np. w gościnnym domu Ankwiczów, o ile ci bawili w Genewie, miał młodego Augusta Zamoyskiego. Nadto, pozawierał mnóstwo znajomości wśród miejscowej kolonii angielskiej i amerykańskiej, której członkiem był między innymi także i młodziutki poeta angielski, Henryk Reeve.

Należała do niej również i miss Henryetta Willan[1]). Była to młoda Angielka (ojciec jej, człowiek zamożny, posiadał dom w Turnbrigch Wells), tak ładna i pełna różnych przymiotów, że Zygmunt, zapoznawszy się z nią, niebawem przestał marzyć o swym ideale warszawskim.

Ideałem tym była młodziutka hrabina Romanowa Załuska. Oto co o niej, a raczej o Zygmuncie i jego chłopięcej miłości ku niej, pisze Odyniec, z powodu swego spotkania się z Krasińskim w Szwajcaryi: „Miał on już i w Warszawie wielki zawsze ku temu pochop i ochotę, i przedmiotem studenckich jego westchnień i uwielbień była, nie wiedząca może o nich, pełna rozumu i uroku, wychowana prawie z nim razem, ale starsza od niego, kuzynka, pani hrabina Z...., która czasowo potem w domu Generała, jako opiekuna swojego, mieszkała. Ja o tem wiedziałem przez to, że po każdym czwartkowym obiedzie, na których on jeszcze nie bywał, a ona prezydowała zwykle, jako jedyna dama i gospodyni domu, musiałem mu zdawać sprawę ze wszystkich jej słów u stołu, istotnie nieraz bardzo trafnych albo dowcipnych, a których on był ciekawszy, niż literackich dysput z klasykami.[2])“

Tak było w Warszawie, w epoce młodzieńczej

---

[1]) Żaden z dotychczasowych biografów Krasińskiego nie był w stanie podać nazwiska miss Harry. Możność przytoczenia go tu po raz pierwszy zawdzięczam uprzejmości wnuka poety, Ordynata Adama hr. Krasińskiego.

[2]) Krasiński korespondował z nią przez całe życie. Ztąd olbrzymia korespondencya poufna. Zmarła niedawno pani Załuska ofiarowała wszystkie listy poety do niej wnukowi jego, w którego też posiadaniu znajdują się obecnie...

przyjaźni z Konstantym Gaszyńskim, który w wydawanym przez siebie *Pamiętniku dla płci pięknej* drukował pierwsze próby literackie przyszłego wieszcza. *Przedświtu* i *Psalmów*. Rok pobytu w Genewie, w atmosferze uniwersyteckiej i kosmopolityczej, a przedewszystkiem wśród czarujących piękności przyrody górskiej, nad błękitnemi wodami Lemanu, nie pozostał bez wpływu na rozwój genialnej organizacyi Zygmunta. Odyniec nie mógł go poznać poprostu. „Rok ledwo, jak go po raz ostatni widziałem w Warszawie, a cóż to już w nim za różnica! Rychtyk, jak między panienką w krótkiej a długiej sukience. Tam był to jeszcze tylko bystry, sprytny, przenikliwy, studencik; teraz, choć ma zaledwie rok 18-ty, jest to już pełen siły i zapału młodzieniec, i genialny, jeżeli jeszcze może nie myśliciel, to przynajmniej marzyciel-poeta, chociaż wierszy zgoła pisać nie umie i w prozie tylko probuje sił swoich. Prawda, że jest on też tu właśnie, jak kwiat, czy owoc dojrzewający na słońcu, to jest, rozwija się i dojrzewa nie przez to tylko, że się uczy i myśli, lecz że i po raz pierwszy kocha się na dobre, jak młodzieniec, po poetycku". Z uczuciem tem, które przedziwnie uskrzydlało jego myśli, nie krył się przed znajomymi i przyjaciółmi, ani przed młodym Zamoyskim, ani przed Reevem (który, o ile się zdaje, był spokrewniony z piękną Henryettą). Spotkawszy się z Odyńcem i przed nim nie robił tajemnicy ze swych płomiennych uczuć. Oto odnośny wyjątek z *Listów z podróży*, dający wcale dokładne wyobrażenie o ówczesnym nastroju Zygmunta: „Za toż teraz, jakby przez wdzięczność, obsypuje mnie konfidencyami o tej swo-

jej nowej miłostce, którą sam za prawdziwą miłość uważa, i nie daje się wcale nawrócić na *promionkową* naszą teoryę wileńską, którą ja mu wszakże wykładam. Jest to obecnie węzeł, który nas tu łączy najściślej, tak, jak w Warszawie niegdyś poezya łączyła. Ale co dziwna, to że zimny, rozważny i surowy pan August jest dlań także w tym względzie Halbanem, to jest „i duszy jego spowiednikiem i serca jego powiernikiem,“ chociaż on sam i tę jego iskrzysto-gorącą i tę moją obłoczno-tęczową teoryę miłości, zarówno głupstwem bez ceremonii nazywa, a tylko jednę sakramentalną za prawdziwą i świętą uważa. Ta wszakże różnica w poglądach nietylko źle nie wpływa na ich wzajemny stosunek, ale owszem, tworzy pomiędzy nimi tę prawdziwie *szczęśliwą przyjaźń*, przez którą jeden drugiego hamuje. Pierwsza miłosna konfidencya przedemną wtajemniczyła mnie też odrazu i w ten rodzaj łączącej ich spójni. W dzień przyjazdu, zaraz po obiedzie u Klustinów, poszedłem do p. Augusta, którego adres wiedziałem i z nim razem do Krasińskiego. Zastałem go na wyborze w podróż do Chamouny... Cały ów wieczór przepędziliśmy razem, chodząc najprzód po mieście, które mi pokazywali, a potem, ponieważ czas był cichy i księżyc świecił prześlicznie, Zygmunt zaproponował żeglugę po jeziorze. Ma on własną swoją łódkę, jakby jezdnego konia, której strażnikiem jest przewoźnik w porcie. On sam tylko i p. August byli wioślarzami. Pływaliśmy prawie do 10-ej. I jezioro i brzegi przecudne! Płynąc około okien jakiegoś nadbrzeżnego domu, Zygmunt powitał je zdjęciem kapelusza. Rozumiałem, że to był dom zamieszkiwany tu nie-

gdyś przez Byrona, ale się dowiedziałem, że z tych to właśnie okien patrzały piękne oczki *Miss Harry* (Henryetty), teraźniejszej bogdanki Zygmunta, a pod które on, nietylko łódką, ale nawet i konno po wodzie podjeżdżał, a p. August wyznaje ze wstydem, że mu w tej donkiszotowskiej wyprawie, wbrew swemu przekonaniu i woli, przez słabość serca dla niego, towarzyszył... I tu zaczął się szereg opowiadań o początku i całym ciągu tej miłości: poetycznie i patetycznie z jednej, analitycznie i krytycznie z drugiej strony. Ja to mam być niby *synteza* między *tezą* tą i *antytezą*, a w rzeczy jestem tylko, jak *epodon* w odzie, pomiędzy *strofą* i *antistrofą*. Widzę jasno, że z tej miłostki nic nie będzie, nic być nie może, i przeto radzę nie kochać się bardzo; ale za nic na świecie nie mogę się zgodzić z p. Augustem, aby już przeto nie kochać się wcale. I to jest główny wątek dalszych naszych rozmów i dysput, podobnych bardzo do tkanin Penelopy... Miss Harry już od miesiąca wyjechała z powrotem do Londynu i pan Zygmunt o niczem więcej nie myśli i nie marzy, jak żeby mógł też co rychlej stolicę Albionu oglądać..."

Nazajutrz po owym wieczorze, w który dwaj młodzi panicze obwozili Odyńca łódką po jeziorze, wybrał się Krasiński, w towarzystwie p. Jakubowskiego i Reeve'a na wycieczkę w Alpy, w kierunku Mont-blanc. Było to w poniedziałek d. 2 sierpnia. Krasiński był rad niezmiernie, że tę ekskursyę odbywał z Reevem, bo przynajmniej miał z kim mówić o swoim ideale... Jakoż nie zawiódł się pod tym względem. Żałował tylko, że doznawanemi wrażeniami nie mógł się dzielić z Henryettą. Gdziekol-

wiek za to przyszedł, na cokolwiek patrzył, wszędzie mu jej wdzięczna postać stawała przed oczyma, a kiedy d. 6 sierpnia, podczas przeprawy do Martigny, jadąc na mule, „z nudów wziął się do pisania wierszy," pierwszych *znośnych* — jak mu się zdawało — jakie w swem życiu napisał, to nie trzeba wielkiej przenikliwości psychologicznej, ażeby się domyśleć odrazu, że w wierszach tych więcej było mowy o piękności miss Willan, aniżeli o cudach przyrody alpejskiej. Że o swej ubóstwianej myślał ciągle, na to znajduje się niezbity dowód w jego liście do ojca, pisanym d. 11 sierpnia „na statku parowym na jeziorze Leman," w powrocie z odbytej wycieczki. „Podczas podróży mojej dziwnego doznawałem uczucia, a ponieważ wszystko Papie piszę, więc i to napiszę. Dlaczegożbym nie miał się takiemu ojcu zwierzyć z sercem mojem! A to uczucie było, że cokolwiek pięknego lub wzniosłego spostrzegłem w przyrodzeniu, to mi przypominało Henrykę, tak, jak gdybym ją przed sobą widział; a jednak niema żadnego podobieństwa między nią a skałą okrytą lodem! Ale wszystko, co wzniosłe w niebie, co piękne na ziemi, zawsze mi ją przypomina. Jej wyobrażenie, połączone u mnie z pięknością moralną i fizyczną wszędzie. Jeśli patrzę na uśmiechającą się okolicę, widzę ją zaraz przed sobą. Jeśli czytam coś pięknego, zdaje mi się, że czytam jej imię. Smutno mi teraz myśleć, że Papa powie: „On szaleje!" bo prawdziwie czuję, co piszę, i choć wiem, że śmiech wzbudzę, muszę to pisać. To nieco ulgą jest sercu!"

Powróciwszy do Genewy, w kilka dni później, znów wybrał się w góry, tym razem w towarzystwie

Mickiewicza i Odyńca. Oczywiście, że i p. Jakubowski i Lintner towarzyszyli mu również. Postanowiono zwiedzić Alpy berneńskie. W Vevey, które, położone na samym brzegu jeziora, w pobliżu skał Meillerie, słynie jako teatr miłosnych dziejów *Nowej Heloizy* Rousseau'a, Krasiński, w tajemnicy przed Mickiewiczem, dał swoje wiersze do przeczytania Odyńcowi. „Koszlawe i chropawe, czytamy o nich w *Listach z podróży*, tak, żeśmy się z nich obaj uśmiali... A jednak w treści jest myśl poetycka, i zapał, i barwność, tylko że forma niezgrabna; brak zwłaszcza poczucia miary i muzykalności rytmu. Przedmiotem, ma się rozumieć, jest Miss Harry..." Kiedy dojeżdżali do Interlacken, mijając Unterseen i Aarmühle, dwa miasteczka służące za pobyt letni mnóstwu Anglików, i kiedy ze wszystkich okien i ganków spoglądały na nich ciekawie modre oczy jasnowłosych Angielek, Zygmunt znów wszczął rozmowę o swojej teraźniejszej Beatrice. Każda Angielka, mówił do Odyńca, ma dlań podwójny urok: przez to bowiem, że wszystkie one, tak z figury, jak ze sposobu noszenia włosów, zdają się być podobne do siebie, każda mu przypomina jego Henryettę. W tem uczuciu, w liście do ojca, opisując Interlacken, nie omieszkał uczynić wyraźnej aluzyi do swej tęsknoty za piękną Angielką: „Jedliśmy tego dnia *à table d'hôte*. Podobno to pierwszy, czy drugi raz w mojem życiu mi się zdarzyło, i przyznaję, że wielką mam odrazę. Nie lubię twarzy nieznajomych: tyle oczu, a żadne nie zwracają się na mnie z wyrazem przyjaźni, znajomości. Cóż mi po tych ludziach, po większej części nonsensa gadających, rozprawiających o lepszości

mięsa, o gatunkach wina, lub też najfałszywiej o polityce? Kilka było Angielek. Naród to, który w części swojej żeńskiej *miłe ma dla mnie wspomnienia*. Zdaleka każda Angielka przyjemne czyni wrażenie; zblizka tak mi jest obojętną, jak każda inna jakakolwiek kobieta." Mimo to wstawszy od stołu, był „zamyślony," a gdy słota zniewoliła go całe popołudnie przesiedzieć w Interlacken, znudzony wziął się do pisania broszurki po polsku, którą Odyniec nazywa „sążnistym rapsodem filozoficzno-poetycznym," a w której usiłował przekonać czytelnika, że *dusze osób przywiązanych do siebie spotkają się po śmierci*. W liście pisanym do ojca powiada Krasiński, że „od czterech miesięcy już mu ciężyło na sercu," ażeby dać konkretny wyraz tej myśli... Dlaczego od 4-ch miesięcy? Dlatego zapewne, że od czterech miesięcy dręczył sie myślą o zbliżającym się terminie wyjazdu Miss Harry. Jedyna pociecha, jaka mu pozostawała wobec tego, było filozoficzne przeświadczenie, że dusze ich, ponieważ się kochały na ziemi, z czasem spotkają się w niebie... Tymczasem, o ile z Mickiewiczem mówił najwięcej o poezyi, o sztuce, o wielkich zagadnieniach społecznych, zachwycony osobą i niezwykłem wykształceniem twórcy *Wallenroda*, o tyle z Odyńcem najlepiej bawił się wówczas, gdy mu opowiadał o swej miłości. „Zygmunt, czytamy w jednym z *Listów z podróży*, tak jest oczarowany wczorajszą zwłaszcza rozmową Adama, że o niczem innem (wyjąwszy, ma się rozumieć, miss Harry), przez dzień cały ze mną nie mówił..." Przy wodospadzie Aary, z czasem unieśmiertelnionym przez autora *W Szwajcaryi*, zrywał dzikie róże alpejskie, ażeby ich wiązankę, razem

z opisem całej wycieczki (bo korespondował z Henryettą), posłać do Londynu [1]). Na grzbiecie góry Furki, gdy Zygmunt, stanąwszy nad samą przepaścią, nie chciał słuchać perswazyi swych towarzyszów, proszących go, ażeby im oszczędził tego denerwującego widoku, nie prędzej zastosował się do ich życzenia, aż gdy Odyniec „począł się kląć na wszystkie świętości, że ani gadać, ani słuchać o Miss Harry nie będzie..." Tak zeszła cała podróż, podczas której, jak powiada autor *Felicyty*, „do syta nagadali się" o poezyi i o pięknej Angielce.

. . . . . .

Powiada Odyniec, że któregoś dnia, po długiej rozmowie o Henryecie, o poezyach i innych, nie mniej poetycznych przedmiotach, uchwalili z Krasińskim, że na pamiątkę tego spotkania się w ojczyźnie Helwetów zapiszą sobie w swych sztambuchach następujący aforyzm: „Człowiek wtedy tylko może się nazwać szczęśliwym, *kiedy rozumie i czuje poezyę swego położenia* lub chwili, *choćby ją sam sobie uroił.*" Otóż nasuwa się pytanie, czy przypadkiem i ta miłość Zygmunta ku pięknej Angielce nie była takiem urojeniem, czy w niej naprawdę grało rolę serce, a nie imaginacya młodego literata, uważającego, że nie byłby poetycznym, gdyby nie szalał z miłości.

---

[1]) Już podczas poprzedniej wycieczki, chodząc po słynnem *Mer de glace* na stokach Mont-blanc, zrywał kwiaty dla miss Harry. Oto co w tej mierze pisał w liście do ojca: „Ztąd znowu weszliśmy na lód i na śniegi, i po godzinie doszliśmy do *Ogrodu (Jardin)*, który był celem naszej drogi tego dnia. Ogrodem zowią przestrzeń zieloną i kwiecistą pośród lodów i śniegów, i prawdziwie zadziwiającą jest rzeczą widzieć murawę i kwiaty, zewsząd otoczone ogromami śniegu i lodu. *Tu zerwałem kilka kwiatów na pamiątkę, by je posłać do Anglii...*"

Ci, co czytali niewydane dotychczas Krasińskiego listy do Reeve'a, utrzymują na ich podstawie, że to była miłość literacka, którą Zygmunt raczej wmawiał w siebie, aniżeli nią płonął istotnie... Oto, co w tej mierze, w liście przywatnym, pisze wnuk poety: „W korespondencyi do Henryka Reeve dziad Zygmunt w latach 1830 i 31 bardzo często o Henryecie wspomina i dopytuje się o nią przyjaciela. Więcej, bo przyjaciel ten służył mu często za pośrednika w zamianie listów z samą miss Harry. *Miłość ta jednak, czysto idealna, platoniczna i fantazyjna, nie miała przymieszki uczucia zmysłowego, ani podstawy jakichś pragnień realnych.* Gdy Reeve, z natury bardziej prozaiczny i praktyczny, zapytał raz mego dziada, o ile marzenia o Henryecie są uczuciem gorącem dla tej osoby i czyby nie zamieniły się w czyn, czyby poprostu Zygmunt Krasiński nie pragnął przybyć do Anglii prosić o jej rękę, dziad mój w bardzo pięknym liście pisze do niego: *Między Henryettą a mną stoi zawadą samejże Henryetty ręka. Wiedz, że Henryetta nie była niczem innem, jak punktem wyjścia mego poetyckiego życia*“ [1]).

---

[1]) Zmarły niedawno Henryk Reeve był przez długie lata sekretarzem królowej Wiktoryi. Dużo ciekawych szczegółów o nim podał z powodu jego śmierci w *Słowie* ordynat Adam Krasiński. Zob. tegoż *Odwiedziny u przyjaciół Zygmunta Krasińskiego*, drukowane w *Świecie*, a opisujące wizytę u Reeve'a. Wszystkie listy poety do Reeve'a znajdują się dziś w posiadaniu hr. Adama Krasińskiego, a zalecają się „jako bardzo ważny materyał do poznania charakteru poety, jego myśli i natchnienia.“ Wobec tego pożądanemby było jaknajrychlejsze ich opublikowanie...W ostatniej chwili dowiaduję się, że ordynat Krasiński właśnie przystąpił do wyczerpującego opracowania okresu genewskiego w życiu autora *Irydyona*.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Zagmatwana tragedya.

(1834—1838).

ROZDZIAŁ I.

Wielkanoc roku 1834 spędził Krasiński w Rzymie. W nastroju był bardzo pogodnym wogóle: raz dlatego, że ogromnie lubił wieczne miasto, powtóre, że tu żył w licznem a wyborowem gronie przyjaciół i miłych znajomych.

Oprócz sędziwej księżnej Doroty Czartoryskiej, mieszkającej na dewocyi w klasztorze Urszulanek, gdzie w swych pokoikach, przed klauzurą, przyjmowała licznych przedstawicieli ówczesnej arystokratycznej kolonii polskiej [1]), odwiedzał z upodobaniem

[1]) Krasiński nazywa ją w listach swych „Księżną Cavita Vechia *da vero*“, zaś St. Tarnowski w swem dziele o Krasińskim powiada o niej, że „wszyscy, co znali tę relikwię XVIII wieku, świadczą zgodnie, że księżna stolnikowa zachowała do śmierci

„pusty najczęściej“ dom księżnej Kazimierzowej Lubomirskiej, z którą ogromnie lubił prowadzić długie poważne rozmowy [1]), a że mu nie zbywało i na towarzystwie męzkiem, inteligentnem i sympatycznem, więc nie nudził się nigdy, ani potrzebował uskarżać się na osamotnienie. Dobrana kompania, w której się obracał prawie wyłącznie, składała się: z pułkownika Adama hr. Sołtana, który, lubo najstarszy w tem kółku młodych ludzi, był duszą wszystkich rozrywek i zabaw; z Konstantego Danielewicza, doktora, filozofa i muzyka-fortepianisty, a nieodłącznego przyjaciela i towarzysza Zygmunta, z którym wszędzie podróżował razem; z dra Sauvana, wesołego Francuza, przezywanego *Salvanusem*, a czuwającego nad wątłem zdrowiem młodego twórcy wydanego w roku zeszłym *Agay Hana*; z Ottona Rajeckiego, młodego i wesołego Litwina, uciekającego przed suchotami; z Aleksandra Potockiego, syna Szczęsnego z Greczynki, zapalonego wiolonczelisty, a trochę ekscentryka; ze Stanisława Sołtyka, również zagrożonego suchotami, co mu zresztą nie przeszkadzało starać

---

najpiękniejsze oczy w Koronie i Litwie, oraz najmilszy, najrzadszy wdzięk w rozmowie i obejściu.“ O księżnie stolnikowej Czartoryskiej, zob. w *Listach* Z. Krasińskiego do A. Sołtana str. 195, 219, 220 i w *Listach z podróży* A. E. Odyńca, t. III, str. 93.

[1]) Księżna Lubomirska, ostatnia z Granowskich, choć przez całe życie nie zrobiła nic złego, a dobrego wiele, patrzyła na wszystko przez pryzmat czarnej melancholii, w której pogrążona, „pędziła ostatnie lata (głównie w Wiedniu) w dręczących obawach o zbawienie swojej duszy, w przywidzeniu, iż nie może być zbawioną.“ Tak ją charakteryzuje St. Tarnowski. Krasiński w swych *Listach*, zwłaszcza do Sołtana, wspomina o niej bardzo często, zawsze z najgłębszą czcią.

się o rękę panny Henryki Ankwiczównej (w tym roku wyjątkowo nieobecnej w Rzymie); z Aigneza, budowniczego z Warszawy, zagorzałego Polaka, pomimo francuskiego pochodzenia i nazwiska; z Chiavari'ego, sympatycznego Włocha-Rzymianina, wielkiego przyjaciela Polaków; z jego brata, słynnego księcia-bankiera Torlonia, który się wsławił dzięki świetnym balom, jakie wyprawiał w swym przepysznym pałacu; z Franciszka Skibickiego, szambelana, posiadającego bardzo miłą, ale chorą żonę; i z Edwarda Jaroszyńskiego, arcymiłego Ukraińca, a przytem fanatycznego Heglisty.

Przez tegoż Jaroszyńskiego zapoznał się Krasiński z panią Joanną Bóbr-Piotrowicką [1]).

I.

Była to osoba niezwykłej urody. Wysoka, smukła, kształtna i dystyngowana w ruchach, szatynka, w koronie bujnych niezmiernie, trochę rudawych włosów, z cudnemi szafirowemi oczyma (których wymowne spojrzenie zdawało się otulać jej piękną twarz „welonem zmysłowości"), o cerze bladej, mato-

---

[1]) Na podstawie „korespondencyi prywatnej" Jaroszyńskiego, spożytkowanej przez dra Antoniego J. (Rollego) w jego pracy p. t. *Z życia Zygmunta Krasińskiego*, drukowanej w *Świecie* krakowskim (Sarneckiego) w r. 1890. Z tej korespondencyi okazuje się, iż Edward Jaroszyński, jako spowinowacony z Bobrami (matka bowiem p. Czesława Jaroszyńskiego, ojca Edwarda, rodziła się z Bobrówny), pośredniczył w poznaniu się Krasińskiego z panią Bobrową.

wej, nadzwyczaj delikatnej, o rysach, nietyle regularnych i klasycznych, ile raczej składających się na niewypowiedzianie ujmującą i wdzięczną całość, odznaczała się tem przedewszystkiem, co się zowie fizycznym powabem w kobiecie, a powab ten, w wysokim stopniu działając na zmysły, sprawiał, iż się ogromnie podobała mężczyznom, zarówno tym, których sobie pragnęła zjednać, jak i tym, o których hołdy nie dbała [1]).

Urodziła się w roku 1807, w majątku rodzinnym Chodorkowie [2]). Ojciec jej, Józef Morzkowski, jeden z najbogatszych posesyonatów na Wołyniu [3]), najprzód chorąży podlaski, potem podstarości żytomierski, a wreszcie — ile że słynął jako „tęgi łacinnik"—prezes trybunału cywilnego w Kijowie, śmiało mógł uchodzić za typ kontuszowego ziemianina starej daty; matka natomiast, Duklana Hańska z domu, należała do tej generacyi zfrancuziałych Polek z końca XVIII wieku, które nadewszystko uprawiały kult dla cudzoziemczyzny: jako taka, dokazała z czasem, że dwór w Chodorkowie, osadzony samymi emigrantami francuskimi, od lokajów i stangretów począwszy, a na wyższych oficyalistach kończąc, stał się—według żartobliwego wyrażenia prezesa — „istną wieżą

---

[1]) Bardzo piękne portrety pani Bobrowej znajdują się w pałacu hr. Potockich w Warszawie.

[2]) Dr. Antoni J. Op. cit.

[3]) Ochocki w swych *Pamiętnikach*, w których prawie o wszystkich pisze złośliwie i niepochlebnie, o Józefie Morzkowskim, którego zwie „urzędnikiem prawym", powiada, że „zostawił on wprawdzie 14 milionów (złp.), ale nikt powiedzieć nie może, żeby ten nabytek ze szkodą czyjąkolwiek przyszedł, lub był wydarty przemocą."

Babel", w której polskie słowo najrzadziej obijało się o uszy; za to na każdym kroku rozbrzmiewała francuzczyzna. W takiej atmosferze wzrastając, panny Morzkowskie—a było ich trzy—odebrały wychowanie zwykłe na owe czasy, zasadzające się, stosownie do wymagań epoki, na powierzchownej ogładzie i grze na fortepianie (bo ten właśnie zaczynał wchodzić w modę), na rysowaniu i malowaniu pejzażów, a przedewszystkiem na znajomości języka francuskiego. O to, żeby panienki dobrze umiały się wysławiać w mowie ojczystej, dbano tak mało—w Chodorkowie przynajmniej—że, idąc za przykładem matki, i córki prawie nie umiały po polsku. Joanna tak dalece nie stanowiła wyjątku pod tym względem, że np. listu nie umiała napisać nie po francusku. Za to była bardzo ładna. Kiedy zaczęła rok 18-ty, miała wszelkie dane po temu, ażeby się módz zaliczać do najpiękniejszych panien na wydaniu, a że przytem była i jedną z najbogatszych w okolicy, jako mająca cztery miliony posagu [1]), więc na młodzieńca, który-

---

[1]) Tak utrzymuje Ochocki w swych pamiętnikach. Jan Turkułł w swych świeżo wydanych *Gawędach familijnych* (Kraków, 1897) tak pisze o majątku pani Bobrowej w r. 1834: „Pani Bóbr miała w gubernii wołyńskiej, w powiecie żytomierskim, starostwo Nehworoszcz, składające się z Nehworoszczyzny, Kotosika, Kryłówki i Żardeli. W gubernii kijowskiej: Kozarewicze, Hlebówka i Jasnohorodka, 2,018 dusz, jak wówczas liczono, i ziemi nad Dnieprem 15,000 morgów." Wszystkie te majątki „były w posesyi", t. j. były dzierżawione przez szlachtę. O Nehworoszczyźnie tak pisze tenże Turkułł: „Po oglądnięciu tych cudów (w Humaniu) wróciłem do Nosowiec, zkąd pojechałem do Nehworoszczy, majątku będącego także w posiadaniu pani Bóbr, a wypuszczonego w posesyę Kowalskiemu, porucznikowi wojsk polskich, w spółce z byłym sędzią Dunajewskim. Majątek ten, jako starostwo, na lat 30 nadany był przez Stanisława Augusta

by się zaczął starać o nią, nie potrzebowała czekać zbyt długo. Jakoż niebawem trafił się aspirant do jej ręki, pan Teodor Bóbr-Piotrowicki, młodszy z dwóch synów generała Kajetana Bobra z Zahajec [1]). Urodzony w końcu zeszłego stulecia, był to przystojny młodzieniec, inteligentny i rzutki, wielkiej

---

Morzkowskiemu i w spadku po nim dotrzymywała (go) córka, pani Teodorowa Bóbr."

[1]) Jan Turkuł tak pisze o generale Bobrze: „13 octobra 1819 roku pojechałem z wujem do Zahajec, do generała wojsk polskich, Kajetana Bobra-Piotrowickiego. Był on ślepy; gdy mnie zarekomendował pan Strzałka, jako swego krewnego, zaczął mnie rękami obmacywać i podobał mu się mój wzrost. Mówi do mnie, że przyjmuje mnie do siebie, nie jako oficyalistę, ale jako krewnego swego blizkiego sąsiada, i jako rówieśnika swoich synów, z którymi jak się poznam, to mnie połączą przyjazne stosunki z nimi..." „Generał miał dwóch synów, starszego, Urbana, służącego wówczas w kawalergardzie w Petersburgu, i młodszego, Teodora, bawiącego przy nim." Generał Bóbr, jako zawzięty procesowicz, był postrachem dla całej okolicy" ale nie dla swojej synowicy, Justyny Bóbr, która, otrzymawszy z działu należną jej część, jak wówczas liczono 300,000 rs. asygnacyjnych, co wynosiłoby obecnie 75,000 rs., wyjechała do Petersburga na mieszkanie i tam wkrótce zrobiła parę milionów długu. Kredytorowie jej: pułkownik Argamakow i kupiec Kabłakow, poszukując jej własności, zatradowali majątki generała, Czepelówkę i Woskodawińce w powiecie konstantynowskim. Generał po długim procesie udowodniwszy swoje prawa, wyrobił ukaz senatu, nakazujący zwrot zabranych nieprawnie majątków... W sprawie tej często jeździł do Petersburga. Syn jego, Urban, bawiąc nad Newą, także żył na stopę magnacką. W czasopiśmie rosyjskiem *Russkij Archiw* z r. 1872 w *Kalejdoskopie wspomnień* Cyprynusa (Przecławskiego), w uwagach do rozdziału o Adamie Mickiewiczu, znajduje się kilkadziesiąt wierszy i o młodym Urbanie Bobrze-Piotrowickim, o jego odwadze cywilnej, o jego przyjaźni i stosunkach z Jusupowymi, Szyszkinami i ze słynną podówczas (w r. 1829) z piękności śpiewaczką opery włoskiej, Bartolucci, którą nazywał w towarzystwie *„moja* Bartolucci" (do czego miał istotne prawo), dalej o bezwzględnej surowości, z jaką ścigał szulerów karcianych, jeżeli się któremu z nich zdarzyło zabłądzić do jego domu, etc. etc. O Urbanie Bobrze pisze także Wł. Mickiewicz, *Żywot Ad. Mickiewicza*, I, 334.

ogłady towarzyskiej, a jak przystało na panicza ogromnej fortuny, butny, choć ugrzeczniony, słowem, typ bogatego indygeny, który, często bywając w Petersburgu, przesiąkł atmosferą wielkoświatowych salonów stolicy, przywykł do przestrzegania „prawie dworskiej“ etykiety, która się stała jakby jego drugą naturą, a jednocześnie nabrał zamiłowania do hulaszczego życia tamtejszej młodzieży, nie czując wstrętu ani do kart, ani do szampana. Jako dziedzic olbrzymich Zahajec, które miał po ojcu, a nadto posiadacz całego klucza dobrze zagospodarowanych majątków ziemskich, jak Zahorów stary, Buszkowicze, Łuczkowicze, Oryszcza, Kremesz i część Szczytowa [1]), był równie świetną partyą, jak panna Joanna Morzkowska. Na początku roku 1825 stanęli na ślubnym kobiercu, a było to małżeństwo z miłości, z „wzajemnej inklinacyi.“ Po uroczystościach weselnych, nadzwyczaj hucznych, zamieszkano w Zahajcach, które młody oblubieniec, na przyjęcie swej uroczej małżonki, przeobraził w iście magnacką, z najwyszukańszym przepychem urządzoną rezydencyę. Stecki, w swej książce o Wołyniu, tak opisuje tę siedzibę Bobrów:

---

[1]) Jan Turkułł w swoich *Gawędach familijnych* powiada na str. 29, iż majątki te nabył p. Teodor w 1824. Zarządzał niemi Turkułł. Cały majątek w ziemi p. Bobra składał się z następujących wsi (według Turkułła): „W gubernii wołyńskiej, w powiecie krzemienieckim, dwie duże wioski, Zahajce i Cecenjówka; w dubieńskim: Wojnica, Perekale, Ochmatków, część Kniahinina i Dorostaj; w konstantynowskim: Czepelówka i Woskodawińce; we włodzimierskim: Zahorów, Łukowicze, Buszkowicze, Oryszcze, Kremesz, Zaszczytów; w podolskiej gub. duża wieś Nosowce; na Besarabii, w powiecie terespolskim, wieś Szoza, 2,000 morgów ziemi, w Odessie śpichrze na zboże i dwa futory koło Odessy. To były majątki marszałka.“

„Wieś duża, a w niej obszerny pałac z pawilonem, okazałe murowane budowle dworskie, komin od cukrowni, a nareszcie ogromna murowana cerkiew i takiż przy niej monastyr.“ Tu miało teraz płynąć życie pięknej Joanny, a wszystko składało się na to, że płynęło szczęśliwie, bezkłopotliwie, wśród samych przyjemności i zabaw. Zakochana w swoim mężu, dla którego była „jakby stworzoną“ (a i o nim mówiono, że był jakby stworzony dla niej), opływając we wszystko, o czem zamarzyła, kosztowała tylko rozkoszy życia, ani się domyślając nawet, że nietylko róże kwitną na ziemi, ale i ciernie. Wszyscy byli dla niej z uwielbieniem, wszyscy podziwiali jej nadzwyczajną piękność. W parę miesięcy po ślubie, w lipcu, „prezentowała się w Zofiówce, pod Humaniem, zwracając uwagę wszystkich swoją niezwykłą urodą. A tłumy publiczności na owego św. Piotra były tak znaczne, że przybysze opłacali po kilkadziesiąt rubli chatkę do przenocowania. I te tłumy, jak w tęczę, wpatrywały się w twarz przedziwnie pięknej pani, której honory gospodarza domu robił hr. Aleksander Potocki, królewskie jej niejako składając hołdy“ [1]). Zimę z r. 1825 na 1826 spędzono w Petersburgu (do którego wogóle państwo Bobrowie jeździli bardzo często, zwłaszcza w czasie karnawału i sezonu opery włoskiej). O ile bawili w Zahajcach, o tyle oboje występowali przeważnie w roli uprzejmych gospodarstwa, pan Teodor bowiem, nie gardząc popularnością wśród okolicznej szlachty, prowadził dom otwarty, dla wszystkich dostępny; a że nie

[1]) Józef Drzewiecki. *Reszta pamiętników*, II, 360.

szczędził grosza ani na kuchnię, ani na piwnicę, więc się bawiono u niego, jak mało gdzie, jedząc, pijąc i popuszczając pasa. Ztąd poszło, że Zahajce, zawsze pełne bliższych i dalszych sąsiadów, rozbrzmiewając muzyką rogów myśliwskich, rżeniem koni, graniem ogarów, strzałami flint, skomleniem chartów, nawoływaniem dojeżdżaczy, hukiem szampana, odgłosem muzyki tanecznej, a także chrzęstem kart i banknotów, zasłynęły niebawem, jako „wesoła, licznymi gośćmi zaludniona rezydencya pana Teodora Bobra." Tak płynęły dnie i noce, tygodnie i miesiące, wszyscy zaś, co bywali w Zahajcach, jak najmilsze ztamtąd wywozili zawsze wspomnienia: „Któż bowiem—powiada Stecki—serdecznie nie kochał ich gospodarzy, kto ich serdeczną gościnę zapomni." Po krótkim czasie przyszły i dzieci, a dwie córeczki pani Bobrowej, Ludwika i Zofia, *Lolly* i *Sophinette*, jak je nazywała matka, były tak piękne, że słusznie mogły się nazywać jej nieodrodnemi córami. Około tegoż czasu, w r. 1826, pan Teodor został wybrany na marszałka powiatowego w krzemienieckim powiecie [1]), co wielce schlebiało jego próżności i ambicyi. Niestety, młoda pani marszałkowa, choć jej niczego nie brakowało do szczęścia, zaczęła szwankować na zdro-

[1]) Turkuł, *Gawędy*, str. 30, „Generał po dość długim pobycie w Petersburgu powrócił z synami do Zahajec. W Żytomierzu odbywały się wybory i obydwóch jego synów wybrano na marszałków powiatowych, Urbana w dubieńskim, Teodora w krzemienieckim powiecie. Teodor (w r. 1825) był już żonaty z Joanną Morzkowską. Urban ożenił się później, z Klementyną Ryszczewską z Żukowic. Wesele było bardzo wystawne, ale bardzo prędko po niem zachorował pan młody i trzynastego dnia życie zakończył."

wiu, tak, iż okazała się potrzeba częstych wyjazdów za granicę... Na szczęście, miało to i swoją dobrą stronę, bo jakkolwiek pani Joanna niechętnie rozstawała się z mężem, któremu piastowany urząd nie zawsze pozwalał towarzyszyć małżonce, to jednak zaprzeczyć się nie da, że podróżować lubiła, że z rozkoszą oddychała atmosferą Wiednia, Drezna, Frankfurtu, Wiesbadenu. O tem bowiem, żeby za granicą tęskniła za krajem, nie było mowy. Polką czuła się w bardzo małym stopniu... Tak upłynęło lat pięć. Z nadejściem r. 1831, gdy w Warszawie wybuchło powstanie, które niebawem—razem z cholerą—przeniosło się i na Wołyń, pani Joanna udała się z dziećmi do Drezna [1]), gdzie zabawiła pół roku przeszło. Tymczasem marszałek został w Żytomierzu aresztowany. Gdy się uspokoiło na Wołyniu, pani marszałkowa wróciła do Zahajec, a gdy się zaczął rok 1832, znów wrócono do dawnego trybu życia, do zabaw i wyjazdów w sąsiedzwo, a także do Żytomierza i Krzemieńca [2]). Pani Joanna wciąż była za-

---

[1]) Turkuł, *Gawędy*, str. 39 „...generał Dwernicki z Porycka szedł ciągle ponad granicą austryacką i w Kołodnym, w powiecie krzemienieckim przeszedł do Galicyi. Generał Rydygier ciągle za nim postępował. Posłaniec przywiózł mi z Krzemieńca od marszałka Bobra odpowiedź, że sam przyjechać nie może, żebym radził sobie, jak mogę, że żonę z dziećmi wysłał za granicę, a sam na urzędzie tak zajęty, że nawet do Zahajec dojechać nie może. Mnóstwo obywateli zaczęło wyjeżdżać do Galicyi.“ W liście datowanym z Drezna d. 3 maja 1831 donosi Słowacki matce, ze bywa w domu pani Szymanowskiej. „Teraz przyjechały jej siostry, Grocholska i Bobrowa.“

[2]) Turkuł, *Op. cit.* 43. Słowacki w jednym z listów do matki, pisząc do niej o pani Bobrowej, określa ją, jako „tę panią, co to na osiołkach po wzgórzach Czerczy z dziećmi jeździła.“ Góra Czercza wznosi się nad Krzemieńcem.

kochana w swym mężu, tak dalece, że gdy Pan Teodor, zaraz po świętach wielkanocnych, które „cała rodzina marszałka i jego żony“ spędziła w Sobołówce pod Żytomierzem [1]), wyjechał za interesami majątkowemi do Odessy, ona, gdy nie wracał przez czas dłuższy, „zatęskniwszy za mężem“, pojechała za nim [2]). Lecz pojechała napróżno; marszałka już nie było w Odessie. Zawiedziona i strapiona, nietylko wróciła z niczem, ale w podróży nabawiła się bólu zęba. Ponieważ nie miała zaufania do krajowych dentystów, więc rozkazała swemu planipotentowi, Turkułłowi, żeby natychmiast wysłał sztafetę do... Wiednia, po słynnego tamtejszego doktora, Kaligę, dla wyrwania owego nieszczęsnego zęba [3]). Szczegół to, jakkolwiek drobny, wielce charakterystyczny, świadczy bowiem, iż pani Joanna miewała swoje fantazye... Bądź co bądź, nie odmawiała sobie niczego, a mąż, byle dogodzić swej pani, pozwalał na wszystko, nie żałując na żadne zachcianki swej pięknej żony-kochanki. Gdy chciała wyjeżdżać za granicę, nigdy nie sprzeciwiał się temu, a w roku 1834 pojechał nawet z nią razem [4]). Wybrała się z nimi

---

[1]) Turkułł 43.

[2]) Turkułł 44. „Pani Bóbr, zatęskniwszy za mężem, postanowiła pojechać do niego do Odessy. Wyrobiłem paszport i pojechała.“

[3]) Turkułł, 45.

[4]) Turkułł, 46. „Państwo Bobrowie z dziećmi i matką wyjechali za granicę, a ja zająłem się administracyą całego majątku, położonego w kilku guberniach i tyluż powiatach“. „Państwo Bobrowie, wyjechawszy za granicę w r. 1834, powrócili dopiero w 1839. Przez te więc pięć lat niemało miałem zajęcia i w ciągłych byłem rozjazdach. A przytem w ciągu tych pięciu lat był jeden rok tak nieurodzajny, że głód mnóstwo ofiar pochłonął.“

także i matka pani Bobrowej. Obrano drogę na Włochy. Wielkanoc spędzono w Rzymie.

Pani Joanna musiała być uszczęśliwioną, bo jeśli wogóle lubiła podróżować, to Włoch z pewnością była szczególniej ciekawa. Wszak czytała rozgłośne powieści pani de Staël, a jako nieodrodna córka swej epoki, była romantyczką z usposobienia, skłonną do poetycznych dumań na ruinach przy świetle księżyca. Pod tym względem miała wiele podobieństwa do hrabiny Idalii z *Nowej Dejaniry* Słowackiego (który zresztą, kreśląc tę figurę, myślał nie o kim innym, tylko o pani Bobrowej właśnie). Nerwowa, sentymentalna, egzaltowana, rozmiłowana w „muzyce niemieckiej“ [1]). w poezyach Byrona i Lamartine'a, w dziełach Chateaubriand'a i Rousseau'a (zwłaszcza w *Nowej Heloizie*), kształcona na *Delfinie* i *Korynnie*, których pojęcia przyswoiła sobie całkiem dogmatycznie, a których przykład starała się naśladować w życiu, chociaż się czuła szczęśliwą, jednak nie przestawała marzyć o jakiemś nieznanem i niezaznanem szczęściu, o jakimś królewiczu z bajki, któryby ukląkł przed nią, jak przed zaczarowaną królewną, i szeptał czułe wyrazy i zaklęcia... Wiedziała, iż była piękną i godną kochania, a mając główkę romansową, nabitą awanturniczemi przygodami bohaterów Walter-Scotta i Jean Paula, mogła sobie myśleć czasami, że takie życie normalne, jak jej, nie jest życiem prawdziwem, zupełnem, a przedewszystkiem nie jest życiem poetycznem, jak niem było życie Delfiny lub Korynny, a nawet ich autorki. Jedynym człowiekiem, którego

[1]) Słowackiego listy do pani Bobrowej.

kochała dotychczas, był mąż! Kochała go, była kochaną przezeń, ale taka miłość w małżeństwie, miłość legalna, powszednia, nieobfitująca w żadne silniejsze wstrząśnienia, pozbawiona pierwiastku romantycznego, wolna od wszelkich dramatycznych sytuacyj i zawikłań, to mogła być wielka katechizmowa cnota, za którą się idzie do nieba, nawet nie zawadzając o czyściec, ale to jeszcze nie była poezya. A przytem zaczynało to być nudnem w końcu! Od dziecka czytała we wszystkich romansach, że małżeństwo, choćby najszczęśliwsze, jest grobem miłości, że jest to najprozaiczniejsza ze wszystkich instytucyj społecznych, a najmniej interesująca ze wszystkich form kochania; że tylko istoty pospolite, poziome, o duszach czczych i zimnych, nie rwą się w poetyczniejsze dziedziny, zadowolone z tego, co mają, nie marząc o czemś wznioślejszem, mniej zwykłem i oklepanem. W takich pojęciach wychowywała się i wzrosła, cóż dziwnego tedy, że chwilami, kiedy się zastanawiała nad swojem dotychczasowem życiem, widziała tylko jego codzienność i równość, żadnych wrażeń silniejszych, żadnych scen wstrząsających, żadnych burz, żadnych namiętności. Słowacki, kiedy kreśląc karykaturalny portret hrabiny Idalii, powiada o niej, że „dałaby dziesięć lat życia za jaką scenę głośną i tragiczną“, doprowadza tylko *ad absurdum* to uczucie próżni, jakiego w tej chwili doświadczała pani Joanna, a które często bywa udziałem kobiet w jej wieku, skazanych na życie bezczynne, niemających żadnych obowiązków. Trochę płocha i lekkomyślna z natury, dzięki swej piękności, o której jej prawili wszyscy mężczyźni, nie-

jednokrotnie wystawiana na mniejsze lub większe pokusy, którym dotąd opierała się zwycięzko (ponieważ nikomu nie udało się owładnąć jej sercem), mimowoli i bezwiednie pożądała czegoś, czego nie doświadczyła jeszcze, a nudząc się jednostajnością swego matrymonialnego szczęścia, po którem już nie spodziewała się żadnych nowych uroków i wzruszeń, coraz bliższą była tego nastroju, w jakim znajdowała się hrabina Idalia w dramacie Słowackiego, kiedy

> była zajęta ideą,
> Że miłość wszędy i po wszystkie czasy
> Była święconą, bo w treści jest wiarą
> I jedynie się zasadza na wierze.

W duszy jej, spragnionej kochania, ale kochania innego, niż to, które do tej chwili było jej udziałem, gromadziło się coraz więcej palnego materyału, który potrzebował tylko iskry, żeby wybuchnąć. Wystarczało, by—jak hrabina Idalia—spotkała na swej życiowej drodze mężczyznę w rodzaju hrabiego Fantazego z *Nowej Dejaniry* (będącego, jak wiadomo, satyrycznym portretem autora *Irydiona*), i by temu hrabiemu Fantazemu zależało na przekonaniu jej, że

> miłość nie jest taką narkotyczną
> Niedowiedzioną istotą, że trzeba,
> Aby tę gwiazdę zobaczyła śliczną
> Przez alabastry płci jakiego Feba
> Świecącą, w oczu skrze i na koralu
> Ust gorączkowych...

Spotkawszy takiego człowieka, zwłaszcza, jeśliby ten okazał się jednostką niezwykłą, np. wielkim poetą lub artystą, mogłaby się znaleźć w prawdziwem niebezpieczeństwie...

Takim niepospolitym młodzieńcem był właśnie Zygmunt Krasiński. Autor *Władysława Hermana* i *Grobu rodziny Reichstalów*, oraz całego szeregu mniejszych lub większych, polskich lub francuskich utworów poetyczno-romansowych, drukowanych — bezimiennie—w warszawskim *Pamiętniku dla płci pięknej* i genewskiej *Bibliothèque universelle*, przedstawiał typ, jakiego pani Joanna jeszcze nie spotkała dotąd. Pomiędzy młodymi ziemianami wołyńskimi, którzy bywali w Zahajcach, a hołdowali *bałagulstwu*, mogła widywać przystojniejszych od opinogórskiego ordynata, ile że przystojnym nie był wcale, lecz ani jeden z jej dotychczasowych wielbicieli, czy to w kraju, czy za granicą, nie robił takiego wrażenia, nie roztaczał podobnego uroku dokoła siebie, nie imponował tak, jak on, rozumem, wyobraźnią, poetycznym sposobem patrzenia na świat i życie, słowem, nie odznaczał się taką niezwykłą, poprostu fenomenalną wyższością umysłową, ani takim polotem, jak ten 22-letni twórca *Wygnańca*. Ci, co go nazywali genialnym, nie przesadzali bynajmniej, owszem, zdawali się być najbliższymi prawdy. Wszystko, co mówili inni, w porównaniu z tem, co się słyszało z jego ust, brzmiało banalnie i blado; tymczasem on, nietylko posiadał nadzwyczajny dar wymowy, ale swe myśli przyoblekał—gdy wpadł w zapał—w niebywale świetną, często porywającą formę; najpoetyczniejszemi obrazami i porównaniami szafował jak z rękawa, a przytem nie było dziedziny, któraby mu była obcą, na której gruncie czułby się niepewnym. Słuchając go, musiało się podziwiać jego wyjątkowe wykształcenie: wszystko znał, wszystko czytał, czy to była

najświeższa powieść francuska, czy poemat Byrona, czy traktat filozoficzny Hegla, czy dzieło historyczne Gibbona.

Cóż dziwnego, że młody człowiek tej miary, tak wybitnie górujący nad swymi rówieśnikami, których mimowoli zaćmiewał swą genialnością, mógł się podobać podobnej, jak pani Bobrowa, kobiecie. Czuła się niższą wobec niego, a to poczucie niższości, o ile się daje zauważyć w niewieście, nigdy nie szkodzi mężczyźnie, owszem, podnosi go w jej oczach. Cóż dopiero, gdy ten mężczyzna jeszcze wysila się na to, ażeby na niej zrobić jak najkorzystniejsze wrażenie; gdy jej daje do zrozumienia, że jest na drodze do zakochania się w niej; gdy na każdym kroku zdradza się ze swem uczuciem; gdy ani umie, ani stara się pokryć tego wzruszenia, o jakie go przyprawia jej widok; gdy onieśmielony jej obecnością „coraz mniej wyrażać się umie."

Z Krasińskim zaś, o ile się zdaje, tak było właśnie. Na wniosek ten naprowadza jego *Niedokończony poemat*, w którym, jak wiadomo, poeta, opisując miłość młodzieńca ku księżnej Rahoga, z całą świadomością kreślił upoetyzowany obraz swego uczucia dla pani Bobrowej. Jeśli rzecz istotnie miała się tak, jak w *Niedokończonym poemacie*, gdzie młodzieniec piękną żonę księcia Rahogi kocha od pierwszej chwili [1]), i jeśli Krasiński, malując uczucia młodzieńca, w znacznej części odtwarzał swoje własne uczucia, których teraz, w r. 1834, doświadczał po poznaniu się z panią Bobrową, wówczas z łatwością dadzą się

[1]) St. Tarnowski. *Zygmunt Krasiński*, str. 158.

odgadnąć te bodźce psychiczne, których następstwem była jego miłość dla pięknej marszałkowej. Młodzieniec z *Niedokończonego poematu*, kiedy po raz pierwszy widzi księżnę Rahoga „w czarnej sukni, z twarzą bez krwi, białą jak alabaster", uderzony jej pięknością, powiada do swego towarzysza, że „nigdy takiego wyrazu boleści nie oglądał w stworzonej ziemiance", ani mu się zdarzyło spotkać istoty tak podobnej do „przechodzącej ojczyzny." Jeżeli takie było pierwsze wrażenie Krasińskiego, to jest się zdziwionym cokolwiek, wiedząc, jak mało pani Bobrowa mogła przypominać przechodzącą ojczyznę, ona, która „prawie nie umiała po polsku", w której wychowaniu nie było nic polskiego, i która, choć Polka, z instynktów i upodobań była najzupełniejszą kosmopolitką. Bądź co bądź, pewnem jest, że Krasiński był zachwycony jej urodą, a jednocześnie wyobrażał sobie, że to musi być kobieta nieszczęśliwa, że pod powłoką tego „nieziemskiego wdzięku" musi się kryć „bezmiar nieszczęścia" [1]), że wygląda na istotę, która „nigdy a nigdy szczęścia nie zaznała" [2]), że musi być nieoceniana, ani rozumiana przez męża, będącego jej „katem", gdy ona jest jego „ofiarą." Pan Bóbr bowiem — wnosząc z charakterystyki księcia Rahoga w *Niedokończonym poemacie*—choć był w oczach Krasińskiego „bardzo znakomitym człowiekiem", jako marszałek powiatowy krzemieniecki, to jednak nie

---

[1]) *Nied. poemat.*

[2]) Z listów Krasińskiego do Słowackiego o pani Bobrowej.

wydał mu się sympatycznym. Słysząc o jego stosunkach w Petersburgu (gdzie nawet mógł się z nim spotkać za swego ostatniego pobytu nad Newą), odrazu uprzedził się do niego, a że wyobraźnię miał bujną, więc kreśląc jego przybliżoną podobiznę, zrobił zeń czarny charakter, jakim p. Teodor nigdy nie był. „To człowiek niezmiernie poważny, przytem... niezmiernie grzeczny, ale szczególnym sposobem. Głęboko też rozumny, wielka figura. U dworu ma wzięcie..." Jakkolwiek są to wszystko rysy, po których można poznać marszałka Bobra, to jednak, jeśli chodzi o rzeczywistą prawdę, ani p. Teodor był tak przewrotny, jak książę Rahoga, ani panią Joannę cehował tak głęboki smutek, jaki jest właściwy żałobnej heroinie z *Niedokończonego poematu*. W każdym razie, jakkolwiek rzeczy miały się w istocie, jedno zdaje się nie ulegać najmniejszej wątpliwości, że Krasiński, z chwilą zbliżenia się do pani Bobrowej, zaczął ją odrazu—jak przystało na romantycznego poetę—upiększać i poetyzować w swej wyobraźni, że zakochawszy się w niej (a raczej wmawiając w siebie, że jest zakochany), nie kochał jej taką, jaką była naprawdę, ale taką, jaką pragnął, żeby była *jego* Beatrice. Dlatego zaczął ją wyobrażać sobie w dramatycznej sytuacyi „ofiary" dręczonej przez mężatyrana, choć naprawdę tak wcale nie było; dlatego widział tragiczny smutek i obraz „przechodzącej ojczyzny" tam, gdzie rzeczywistość przedstawiała się zupełnie pogodnie i jasno. Już to on zawsze musiał „dramat układać!..."

Bądź jak bądź, romans zaczął się klecić, a okoliczności składały się w podobny sposób, że nadzwy-

czaj sprzyjały rozwojowi uczuć miłosnych, jeżeli nie w Krasińskim, to w każdym razie w pani Bobrowej. I poeta jednakże, pomimo całej dominującej roli, jaką w jego miłości grała imaginacya, coraz bardziej stawał się podobnym do ćmy, fruwającej koło ognia, w którym może sobie opalić skrzydła... Dość powiedzieć, że nawet po upływie szeregu lat, gdy, bawiąc nad Tybrem, znajdował się w całkiem odmiennem od dzisiejszego położeniu, jeszcze i wtedy żywił przekonanie, że Rzym był świadkiem jego budzących się uczuć. „Nowej biedy dochrapałem się w Romie, to jest fistuły, czytamy w jednym z jego późniejszych listów [1]). *Dawniej tam zwykłem był się zakochiwać lub natchnień dostawać*, teraz fistuł dostawam. *Tempora mutantur...*“ Jest to aluzya do owych błogich czasów, kiedy na Rzym patrzył przez pryzmat błękitnych oczu pani Bobrowej, kiedy się w niej „zakochiwał“, kiedy, jak młodzieniec z *Niedokończonego poematu*, niczego nie żądał od niej, tylko żeby mu „przyjaźni świętej dała z serca swego trochę, a na toć jedynie, by mógł nieco ulgi jej przynieść“, i kiedy chodząc w jej towarzystwie, a zwłaszcza po długich przechadzkach i rozmowach z nią „natchnień dostawał“, t. j. pisał *Irydyona*, w którym Kornelia Matella, kiedy się kocha w młodym Greku, niejednokrotnie—a pewno z wyraźnej woli autora—kocha i mówi podobnie, jak to czyniła teraz właśnie, w r. 1834, pani Joanna. Bo i ona, w chwilach, gdy była razem z Krasińskim, a dostrzegała, że „ogień wiekuisty, ogień Cherubinów, w oczach mu jaśnieje“,

[1]) Z Badenu, d. 15 czerwca 1842, do Sołtana.

mogła powiedzieć o sobie: „I jako prorok, i jako święty, i jako archanioł, on staje przedemną i mówi, a ja go słucham.“ I tak słuchała go, z przejęciem niebywałem, godzinami całemi, a tymczasem „jaśminy, akacye, róże i pomarańczowe drzewa sączyły im krople zapachów do czary upojeń.“ W wesołem towarzystwie Jaroszyńskiego, Skibickich, Sołtana, Danielewicza i Sauvana, zwiedzali wszystko, co Rzym posiada godnego widzenia, począwszy od jego malowniczych okolic, pełnych cyprysów wysmukłych, drzew oliwnych, kwiatów, słońca i „tej pary muślinowej, co zwykła owijać góry i wody włoskie“, a skończywszy na owych pałacach, „kędy przy obrazach Rafaela i gzymsach złoconych powój gruzów się rozpłata.“ W willi Mills, będącej ulubionem miejscem dumań Krasińskiego, pani Joanna, zapatrzona w swego genialnego wielbiciela-poetę, doznawała podobnych uczuć, jak te, o których u Słowackiego mówi hrabina Idalia, gdy ją w ogrodach tej willi, wzniesionej na ruinach Neronowego pałacu, Fantazy „ciągle poił z serca, jak z czary.“

O jak mi dobrze było na pościeli
Granitów rzymskich, z pochyloną głową
Nad nim, oddychać różami Cezarów
I widzieć, jak się w tym człowieku rodzi
Nowy ideał wieków, pełny czarów,
Który mu całą przyszłość rozpogodzi [1]).

---

[1]) Wyjątek ten z *Nowej Dejaniry* odnosi się do tych czasów rzymskich właśnie, do chwil, które Krasiński-Fantazy spędzał z Joanną-Idalią w ogrodach willi Mills, a o których z czasem pani Bobrowa opowiadała Słowackiemu. Zob. mego dzieła o Słowackim t. III, oraz moje studyum p. t. *Hrabina Idalia. Przyczynek do genezy. „Niepoprawnych“ Juliusza Sło-*

W tak romantyczny sposób spędzano dni całe, owe niezapomniane „dni jedyne i zbiegłe“, których pamięci Krasiński poświęci z czasem *Irydyona*, a podczas których — zwłaszcza oddychając wonią róż w willi Mils — pani Joanna, jak kochanka Fantazego, coraz silniej wstrząsana nadciągającą burzą „różanych uczuć, owiniętych girlandą kwiatów i gwiazd“, miała się przekonać na podstawie własnego doświadczenia, że hrabina Idalia miała słuszność, gdy wołała: „Ach, jak łatwo złączyć miłość z szaleństwem!“ Wieczorami spotykano się w teatrze, na operach Rossiniego, uświetnionych występami słynnej Malibran, albo u wspólnych znajomych. Czas schodził na rozmowie lub na słuchaniu muzyki Danielewicza, a cudowna gra tegoż, zwłaszcza gdy grał Beethovena lub Mozarta, jeśli umiała rozmarzać swoich słuchaczów, to panią Joannę i Zygmunta z pewnością w jeszcze wyższym stopniu, niż innych obecnych. Krasiński, widząc, jaki psychiczny wpływ zaczyna wywierać na swą wybraną, jak jej serce coraz silniej lgnie do niego, a dusza wyrywa się do jego „przebolałej duszy“, był rozpromieniony, jak nigdy, czuł się szczęśliwy, „nie wiedział sam, co mu się stało“ [1]). Wszystko widział w różowych kolorach, wszystko mu rozbrzmiewało „pieśnią ożywioną, pie-

---

wackiego, w moich *Studyach historyczno-literackich* (Kraków 1895) str. 154 i nast. O willi Mills pisze Odyniec w *Listach z podróży*, że jej „szczególną zaletę i sławę stanowi niesłychana obfitość róż, zaścielających literalnie resztki gruzów pałacu Cezarów, na których i z których jest zbudowaną, a zwie się od imienia właściciela swego, Anglika.“

[1]) List do K. Gaszyńskiego, z Rzymu dnia 28 marca 1834 r.

śnią błogosławieństwa i wielkości, dziękczynienia i uwielbienia"; miał wrażenie, jakby się dostał do raju, „w lepsze strony jakieś, w których ludzie nie cierpią i nie popełniają błędów": wróciły młodzieńcze złudzenia, na których utratę skarżył się niedawno, a „wiosenne powiewy", o których myślał, że już odleciały od jego skroni, znów je zaczęły orzeźwiać. Serce mu „kołysało się" w piersiach, „jak kopyta koni", w powietrzu zaś—dla niego przynajmniej—rozlany był wszędzie „szał miłości, nadziei, zachwycenia." Cóż dziwnego tedy, że upojony chwilowem szczęściem, żył całą pełnią nieprzetrwonionej młodości, że nie myślał ani zastanawiał się nad tem, jak opłakane następstwa mogą wyniknąć z tej niebezpiecznej sielanki. O przykazaniu Boskiem, że nie należy pożądać żony bliźniego swego, zapomniał w uniesieniu przeżywanych chwil, a jeśli i nie zapomniał nawet, to nie bardzo chciał pamiętać. Nie wątpił natomiast, że nigdy, jak żyje, nie kosztował podobnego szczęścia, a przeświadczenie to — zupełnie szczere tym razem—tak było silne, że jeszcze w roku 1839, pisząc do Edwarda Jaroszyńskiego, rzewnie wspominał te wielkanocneś święta. „Boże, tego roku Wielkanoc znów 30 marca, *jak temu lat pięć*. A wy gdzie? *Ona*, i ty, i Konstanty! Wy, trójco moja!" [1]). Upłynęło lat kilkanaście, a on, choć wiele nowych wrażeń i uczuć zatarło te, których doznawał w ciągu tej pamiętnej wiosny roku 1834, nie mógł zapomnieć o niej. Oto, co w tej mierze pisał w r. 1847, w liście do przyjaciela: „Zatem do obaczenia w Romie!

[1]) List z Neapolu, 20 stycznia 1839.

I tam nie z wesołem sercem jadę: nic mnie tam nie wzywa ni wita takiego, coby mi miłem indywidualnie było. Dla mnie Rzym *mój* mi przeszedł, *zanadto niegdyś w nim młodo mi było*, by on teraz nie miał mi, jakby wyrzucać, żem się podstarzał, i to z goryczą grobawą [1]). A innym razem, wciąż rozpamiętując o tej szczęśliwej epoce swego życia, tak pisał do jej świadka, Sołtana, w liście datowanym z Rzymu: „Polonii mnóstwo, więc i komerażów nie brak. Jest Władysław Zamoyski, ze Wschodu *redux*, ale niema dla mnie moich dawnych czasów, ni ciebie, Adamie, ni Konstantego, ni gwiazd, ni kwiatów, ni młodości mojej, i chodzę po tych ulicach, jak duch, po śmierci nawiedzający miejsca, w których żył, kochał i wreszcie umarł! Ot! to bardzo smutno!“ [2]).

Tymczasem z końcem kwietnia wyjechano z Rzymu. Wyjechano gromadnie, w licznem towarzystwie. Krasiński był w siódmem niebie, bo nietylko, że miał przyjaciół przy sobie, Danielewicza, Sauvana, Jaroszyńskiego, ale i państwo Bobrowie przyłączyli się do ich wesołego grona. Oczywiście, że w takich warunkach podróżowało się rozkosznie, że o piękniejszej podróży marzyć było trudno. Pod wrażeniem jej Krasiński tak pisał do Gaszyńskiego: „Teraz najpiękniejszą podróż zrobiłem przez Florencyę, Wenecyę, Münich. Wenecya, to kochanka mo-

---

[1]) Z Heidelberga, 9 grudnia 1847, do St. Małachowskiego.

[2]) List z dnia 1 stycznia 1848. W liście z d. 16 marca 1839 do Sołtana, czyniąc aluzyę do tych czasów rzymskich, pisze Krasiński: „Domyślasz się, że gwiazda (wielkanocna) jest *zgubna i zarazem szczęśliwa dla mnie w Romie.*“

ja wśród miast wszystkich: w niej przez ośm dni prawdziwie byłem szczęśliwy“ [1]).

W Wenecyi, tym zaczarowanym grodzie pałaców marmurowych, opłukiwanych przez modre fale Adryatyku, i gondoli „szparkich jak strzały, czarnych jak trumy, rozkosznych jak pośmiertne zbawienie“, doświadczał podobnych uczuć, jak te, przez które w *Niedokończonym poemacie* przechodzi młodzieniec w scenach na placu św. Marka: otoczony gronem serdecznych przyjaciół, a nadewszystko szczęśliwy, że i *ona* była z nim razem, że pływając gondolą, lub na mieliznach Lido“, mogli „ubierać się w purpurę wieczorów, w księżyce nocy, w błękity i muszliny pian morskich“, czuł się otoczony wszystką rozkoszą życia... Jednocześnie, zachwycony wprost fantastyczną pięknością oglądanych cudów architektury i sztuki, zaczynał wierzyć, że wszystko tu „miłością jest przed wiekami i na wieki“, a jako literat i artysta, utwierdzał się w przekonaniu, że „są rozkosze i jest poezya materyalna“, czyli, że, tworząc, niekoniecznie należy „w chmurach“ przebywać.

W Monachium, w drugiej połowie czerwca rozjechano się w różne strony: pani Bobrowa, z matką i córkami, a prawdopodobnie i z mężem, pojechała

---

[1]) List z Kissingen, z d. 10 lipca 1834 r. Z Florencyi napisał Krasiński d. 19 maja 1834 r. krótki nerwowy list do Gaszyńskiego, któremu donosi, co następuje: „Zmieniłem zamiary: już nie jadę na Genewę, ale na Wenecyę i pierwszego czerwca będę w Münich. Tam napisz do mnie.“ Można być pewnym, że na zmianę pierwotnych zamiarów Krasińskiego nie kto inny wpłynął, tylko pani Bobrowa. Gdyby nie ona, prawdopodobnieby obrał drogę na Genewę, gdzie spodziewał się być na 12 maja (jak to wynika z jego listu do Gaszyńskiego, z Rzymu, d. 28 marca 1834).

do Wiesbadenu; Jaroszyński udał się do Prus; Krasiński zaś, wspólnie z Danielewiczem i Sauvanem, podążył do Kissingen, gdzie miał się spotkać z ojcem. W Kissingen zabawił miesiąc przeszło, a miesiąc ten, z powodu rozłączenia się z ukochaną, był mu męczarnią, pomimo, że nie mógł się skarżyć na brak listów z Wiesbadenu, na które odpisywał w całem znaczeniu tego wyrazu *con amore*. Liczył godziny, które go dzieliły od spotkania się z Joanną, ale nie mógł się ruszać z miejsca, bo musiał dotrzymywać towarzystwa ojcu... W końcu wyrwał się z objęć rodzica! Z upragnieniem czekał na tę chwilę. Generał, po odbytej kuracyi, pożegnawszy się ze swym jedynakiem, puścił się z powrotem do kraju, a jedynak tymczasem, kontent z odzyskanej swobody, podążył w stronę Frankfurtu, najprzód do Wiesbadenu, gdzie go czekało tak upragnione spotkanie z panią Bóbr, a następnie do Ems, w odwiedziny do Jaroszyńskiego, z którym teraz, jako wtajemniczonym w jego sercowe sprawy, miał sobie więcej, niż kiedykolwiek, do powiedzenia: Jaroszyński bowiem, będąc dalekim krewnym pani Joanny, był nietylko Zygmunta, ale i jej powiernikiem. W Wiesbadenie zabawił Krasiński dwa miesiące przeszło [1]), raz po raz wpadając do Frankfurtu nad Menem. Obracał się w licznem gronie znajomych, a jak roztargniony prowadził żywot, tego pozwala się domyślać krótki, nerwowy list do Sołtana: „Odebrałem twój list w Ems... Moje lo-

[1]) Zob. list do Gaszyńskiego, z Kissingen, d. 10 lipca 1834 r.: „Tymczasem pisz do Frankfurtu nad Menem, bo jeszcze ze dwa miesiące zabawię w Wiesbaden (gdyż tu bawiła pani Bóbr) i w Ems (ze względu na Jaroszyńskiego)".

sy, od kiedyśmy się widzieli (w Rzymie), *były przeplatane chwilowemi uniesieniami i długą goryczą.* Moje oczy mają się lepiej. Przed tygodniem miałem bardzo przykre zdarzenie. Odprowadzałem księżnę Adamową (Czartoryską) do Koblenc. Jej doktór (Dworzaczek), ubrdawszy sobie coś do mnie, wyzwał mię na śmiertelny pojedynek *wobec dam dziesięciu.* Odpowiedziałem mu, że jest *un assassin*, bo najgrzeczniejszy byłem zawsze dla niego. Przyjąłem wyzwanie. Nastąpiły sceny najdolegliwsze dla mnie, dla księżny i t. d. Wreszcie on zemknął..." Ale nietylko to zajście było źródłem wielu przykrości dla autora *Nieboskiej Komedyi* (w której sprawie właśnie układał się z frankfurckim wydawcą Jugielem, a która, mając wyjść niebawem, miała być „poświęcona" pani Bobrowej), były i inne a liczne powody różnych mniej lub więcej nieprzyjemnych „opadnień" psychicznych [1]). Sytuacya, jak zwykle w ta-

---

[1]) *Agay Han* i *Nieboska* noszą jednobrzmiącą dedykacyę na pierwszej stronie:

Poświęcone
MARYI.

Przez tę „Maryę" należało rozumieć panią Bobrową. Dlaczego Maryi, a nie Joannie? Jak wiadomo, wszystkie dzieła Krasińskiego wychodziły bezimiennie, dlatego i dedykacya musiała być nieokreśloną, ażeby nie zdradzić autora...

Dedykacya, umieszczona na czele pierwszego (z roku 1836) wydania *Irydyona*—a opuszczona z woli autora (zob. Listy do Gaszyńskiego str. 256) we wszystkich następnych—brzmi, jak następuje:

Poświęcone
MARYI
na pamiątkę dni
jedynych i zbiegłych.

Tak głos znajomy wróci do niej po latach wielu.
Dante.

kich razach, gdy w grę wchodzi romans z kobietą zamężną, stawała się coraz bardziej fałszywą, coraz bardziej denerwującą dla stron obu. Pewno się nie obeszło i bez tego, że ludzie zaczęli się domyślać, o co chodzi: ztąd plotki, kompromitujące panią Bobrową, a kto wie, czy to zajście z Dworzaczkiem „wobec dam dziesięciu“ także nie pozostawało w związku z piękną żoną pana Teodora. Nie należy zapominać, iż pani Joanna była z matką i z dziećmi, że musiała się liczyć z pozorami, a tem samem być nadzwyczaj czujną na opinię, na której straży stał jej mąż... Wszystko to, nie dziw, jeżeli chwilami napawało Zygmunta „długą goryczą.“

Na szczęście, tkwił w nim obok kochanka jeszcze i pisarz, umiejący robić literacki użytek ze swoich walk sercowych. Cóż z tego, że chwilami szamotał się, jak przydeptany robak, kiedy mu to dawało życiowe doświadczenie, jakiego nie miał dotychczas. Dawniej, nie mając bezpośredniego zetknięcia się z życiem, chcąc nie chcąc, musiał bujać po nad obłocznych sferach fantazyi; teraz udało mu się stanąć na realnym gruncie rzeczywistości i „wziąć się do życia.“ Jakoż wziął się do niego, wiedział bowiem, że „by dobrze pisać, trzeba *żyć wprzódy.*“ On tymczasem, aż do chwili poznania pani Joanny, o ile pisał wiele, o tyle nie znał życia. Teraz miał sposobność poznać je wreszcie! Więc skorzysta z tej okazyi, „zarzuci na pewien czas pisanie,“ bo szkoda by było, gdyby zmarnował tak pomyślny zbieg okoliczności, gdyby go nie wyzyskał, jako literat. Kto wie, żali mu się zdarzy kiedy podobna przygoda? „Wychylę kilka puharów wesela, kilka puharów bo-

leści, po ludzku kochać będę, po ludzku cierpieć, a potem siądę i napiszę, i to będzie dobrem. Materya nie jest tak podłą rzeczą, jak sądziłem dotąd; my przez wieczność będziemy w materyalnych ciałach; nie ma ducha bez materyi, jak nie ma myśli bez słowa, jak niema ciała bez formy... Tak więc zmodyfikowałem się i z chmur zstąpiłem. Co różni człowieka prawdziwie i poetycznie pojętego od człowieka idealnego czysto? To, że w pierwszym jest ciągłe życie, to jest przemiana i walka uczuć, a w drugim tylko myśl jedna, tor jeden, metoda zawżdy ta sama. Są chwile uniesienia i opadnienia: to się życiem zowie, to jest ruch to śledzić i poznać należy [1]). W myśl tej dewizy postępując, „żył“ i wchłaniał w siebie wszystkie zdrowe i niezdrowe miazmaty życia, na które coraz mniej zaczął się obecnie zapatrywać przez pryzmat poematów Byrona, a coraz więcej przez pryzmat realistycznych powieści Balzaka [2]). „Ja żyję, ale *jak* żyję, to bym trudno opisał, donosił Gaszyńskiemu z Frankfurtu dnia 23 sierpnia 1834 r. Jest we mnie naprzód pierwiastek zgubnej goryczy jakiejś, pierwiastek, który objawia się ciągle: czy się rzucę na chmury i siedzę nad ziemią, czy zejdę na ziemię i rzeczywistości się chwycę, tak, że rzeczywistość jeszcze zda mi się ideałem (bo trafiały mu się i takie chwile). Fizycznych nawet rozkoszy dopełnionych

---

[1]) List z d. 10 lipca 1834 (do Gaszyńskiego).

[2]) „Wiesz ty, że Byron stracił względy moje“ i t. d. (List z 10 lipca 1834).

niema; umysłowe są jeszcze błędniejsze. Gdzież jesteśmy? Gdzie żyjemy?"

Wszystkie te wątpliwości i rozkosze, gorycze i uniesienia, złożyły się w umyśle młodego autora *Nieboskiej* na „powieść à la Balzak," do której między innemi wchodził także i „romans mężatki z oficerem polskim w Londynie, po wzięciu Warszawy," a w której występowali również „i Grzymała monstrum, i Lelewel etc." Powieść ta, w przekonaniu poety, udała mu się... [1]).

Tak upłynęły miesiące sierpień i wrzesień, poczem, pożegnawszy się z ukochaną, Krasiński znów wrócił do Włoch. Październik spędził w Medyolanie, a na tęsknotę, która go trawiła za Joanną, nawet czytanie *Pana Tadeusza*, który mu tu po raz pierwszy wpadł w ręce, nie było dostatecznem lekarstwem. Pomimo listów, z których dowiadywał się, co robiła, gdzie przebywała, z kim przetawała, o czem myślała, czuł taką „próżnię ducha," iż serce swe, jak się wyraził w liście do Gaszyńskiego, łamał na dwoje, jak kartę nieszczęśliwą, co dziesięć razy raz po raz przegrała w faraona, i nie życzył nikomu, ażeby przez podobne rozstroje przechodził. W chwilach takich „wszystko mi się tak bez na-

---

[1]) Powieść ta, jak o tem wiem od prof. Stan. Tarnowskiego (z prywatnego listu do mnie) nie zaginęła. Sądzę, że wartoby ją ogłosić drukiem. Przypuszczam, że musi w niej zachodzić pewne podobieństwo pomiędzy owym oficerem polskim a samym Krasińskim (który, gdyby nie zakaz ojca, byłby może w r. 1831 przy wzięciu Warszawy oficerem polskim) i pomiędzy ową mężatką a panią Bobrową. Zob. list do Gaszyńskiego, odpowiedź, na list jego, odebrany w Wiesbadenu. („Odebrałem twój list w Wiesbaden" etc.) str. 54.

dziei wydaje, życie ziemskie tak ograniczone, tak ciasne, a żądania moje tak ogromne, że wątpię o wszystkiem... To pewna, że dotąd nic nie zaspokoiło pragnień moich na tym świecie. Ani żądzom mojej miłości własnej, *ani żądzom serca mego nigdy nie stało się zadość, choć miałem chwile szczęśliwe dla jednych i dla drugich.* Ale zawsze więcej, ale zawsze dalej goni myśl moja: często nawet nie wiedzieć gdzie. Sam nie wyrozumiałbym, czego żądam, ale czuję skorpiona żądań, przewracającego się we wnętrznościach moich, który nie dostawszy nic, sam siebie zakłuwa. Tyś nie tak stworzony: ty miewasz błogie dni, pełne dziękczynień ku Bogu *i ku ludziom, którzy cię kochają.* Ty pośród czarownej okolicy przestajesz na jej pięknościach... Ty nie czujesz nigdy, jakoby część jakaś twoja nie była przy tobie, ale wyprzedziła ciebie i goniła dalej, *i żądała więcej, i rozdzierała swojemi wołaniami resztę twej duszy spokojnej...* W tobie namiętność nigdy w rozuzdanie nie przejdzie. Jej najwyższym szczeblem będą łzy rozczulenia, kiedy we mnie zdarzyć się mogą wściekłe uniesienia, rozpacze nieopisane. Bo im więcej żądam, tem częściej się zawodzę. Takie istoty, jak ja, powinny rodzić się w wiośnianym Edenie, przed grzechem pierworodnym, kiedy wszystko było świętem i wolnem; lub prosto w piekle, skoro im los już kazał narodzić się wśród niedopełnionych, w grzechu i karze żyjących stworzeń."

Spleen ten, tak boleśnie dający się uczuć poecie w Medyolanie, zawlókł się za nim aż do Rzymu. Tu przybywszy, choć się zajął pisaniem *Irydyona*, w czem spodziewał się znaleźć zapomnienie, „gryzł

pięść z rozpaczy, bo gdziekolwiek się obrócił, wszędzie go opadały wspomnienia ostatniej Wielkanocy, wszędzie doznawał wrażenia, że chodzi po cmentarzu pamiątek, po mogiłach swojej młodości i szczęścia. Z każdej ulicy, a także z każdej starożytnej ruiny „w uściskach z bluszczu i w trumnach z giętkiego powoju," z każdego cienia cyprysowego, zewsząd wyzierała błogosławiona, promienna, poetyczna, a tak niedaleka przeszłość. Chodził, jak błędny, nic go nie mogło rozerwać, rozweselić. Nawet miłe towarzystwo polskie, jeszcze liczniejsze, niż przed pół rokiem, bo zwiększone przyjazdem Zabiełłów, Ankwiczów, Paca i rodziny Edwarda Jaroszyńskiego, nie było dostateczną przeciwwagą na jego „słabość i brak równowagi ducha." Nie mógł sobie miejsca znaleźć nigdzie. Wiedział, iż najdalej za parę miesięcy, a może już na Boże Narodzenie, państwo Bobrowie zjadą do Rzymu, w którym sobie obiecywali spędzić cały karnawał, a jednak, mimo tę pewność, nie dowierzał prawdziwości tego przeświadczenia. Był pełen najróżnorodniejszych wątpliwości, a przedewszystkiem nie mógł się doczekać tej upragnionej chwili, gdy znów przejrzy się w szafirowych źrenicach swej lubej... W tem uczuciu rozterki wewnętrznej tak pisał do Gaszyńskiego: „Wciąż słaby jestem na duchu, *roją mi się fantazmata w sercu i w mózgu, nieskończone żądze, niewymowne upragnienia*, którym nigdy nie stanie się zadość, jako się nigdy nie stało. *Są chwile, w których upadam na łóżko i leżę jak martwy*, ale są i takie, w których myśli duszy mojej wytężam, gdyby ramion tysiąc, w które objąć chcę świat cały, wszystkie piękności ziemi

i nieba... *O, gdybym choć raz mógł na jawie obaczyć wszystkie moje ukryte żądze, sklejone w ciało, ubrane w formę.* Ponieważ jestem mężczyzną, ta forma musiałaby być kobietą. I nie byłby to posąg Pigmaliona, ale *ona*, utworzona z żebra duszy mojej. Poznałaby mnie: byłaby mną i sobą zarazem. O, wtedy sam na sam ukląkłbym przed jej *śnieżnem ciałem.* Nie byłaby to Wenus grecka, owszem w jej urodzie przebijałaby się powaga Apollina Belwederskiego; ale ta uroda wzniosła, ta duma wzroku, to panowanie nad wszystkiemi, w łzy by się rozpłynęły nademną. Ale niema, niema jej..."

W końcu wpadł na pomysł, który mu się—słusznie—wydał bardzo poetycznym i pięknym, i oryginalnym: postanowił napisać książką do nabożeństwa, zbiór modlitw, które, ofiarowane pani Bobrowej, zawszeby jej przypominały swego autora, a zarazem szeptały do ucha Chrystusowe słowa pociechy i rezygnacyi...

Nic piękniejszego i wznioślejszego, jak te modlitwy. Pisząc je, Krasiński był rzeczywiście natchniony.

Modlitwy te, przepisane na czysto, na pięknym welinowym papierze, kazał oprawić w piękny fiolet towy aksamit, od którego prześlicznie odbijały srebrne, ażurowe, jak koronka delikatna narożniki weneckiej roboty, i takaż klamerka [1]).

Był to upominek, godny wielkiego poety. Cho-

---

[1]) Książeczka ta znajduje się dziś w posiadaniu wnuków pani Bobrowej, przechowywana w przebogatej bibliotece Ordynacyi hr. Zamoyskich w Warszawie.

dziło o to tylko, ażeby mógł być jaknajprędzej wręczony osobie, która była źródłem tych seraficznych natchnień.

II.

Przyjechała wreszcie, a przyjechała kochająca i zdawało się, piękniejsza jeszcze, niż wówczas, gdy się widzieli po raz ostatni. Dla poety zaczęły się nowe dni szczęścia i upojenia. Gdy nadszedł karnawał, ów sławny karnawał rzymski, na którego oglądanie zjeżdżają się tłumy cudzoziemców, bawiono się aż do szaleństwa. Ciepło było jak w maju, „w powietrzu woni co nie-miara," a w duszy wesoło i błogo. Wśród nieprzejrzanych tłumów, rojących się na Corso, wśród natłoku zamaskowanych i poprzebieranych mężczyzn, kobiet i dzieci, wśród nieskończonego sznuru powozów i koni udekorowanych kwiatami, wśród istnej orgii najjaskrawszych barw, mieniących się w złotawych blaskach słońca, w którem kąpało się wszystko, wśród ogłuszającej wrzawy i krzyków, wyrywających się z tysiącznych piersi, Krasiński i jego kompania, krocząc pod przewodem Sołtana, nie pozostawali w tyle za innymi. Był to bodaj czy nie kulminacyjny punkt zapału Krasińskiego!... Jakkolwiek rzecz się miała w istocie, uważał autor *Irydyona* te „błogie dni 1835 roku" za „najpiękniejszą i niepowrotną" epokę swego życia—przynajmniej swej młodości — a w listach do jednego z jej naocznych świadków, Adama Sołta-

na, jeszcze po upływie lat wielu z rozozuleniem wspominał ten niezapomniany karnawał. Oto np. co pisał d. 25 lutego 1841 r. z Rzymu: „Zawczoraj skończył się karnawał. Przypomniał mi dawne czasy, owe dni 1835, kiedy ty z przyłbicą drucianą i procą płócienną, pełną pocisków tynkowych, prosty jak sosna wysmukła, szedłeś na przebój przez Corso, z wiośnianem tchnieniem w sercu, rzucając w prawo i w lewo fiołki i *confetti*. Otóż dziwnie śliczna pogoda przyświecała ostatkom. *Macoletta* pyszne, a zajadlejsze niż kiedykolwiek były: posprawiał sobie *populus romanus* ogromne tyki do gaszenia stoczków w powozach i na gankach; las takich dzid unosił się nad Corsem; pisku, wrzasku do ogłuchnięcia. Ponure myśli (o pani Bobrowej oczywiście) na chwilę starałem się zdusić pod gradem cukierków, pod deszczem fiołków; lecz znikł karnawał, jak sen, a one gałganki (t. j. owe ponure myśli) zostały, *i wiecznym popiołem leżą mi na mózgu*, i jak gromnice topniejące w sercu mi tleją, i nadzwyczaj mi marnie i przeklęcie na planecie tym!“ Innym razem, w roku 1844, przebywając w Warszawie, a tęskniąc za niebem włoskiem, tak pisał do tegoż Sołtana: „Pamiętasz ten karnawał? Widzę cię jeszcze kroczącego śród Rzymian, z tą ochotą młodzieńczą, z tym zapałem, którego braku nic nie wynagradza piersiom ludzkim! Jest to tchnienie życia zkądciś, z niebios, które ciało i duszę jednym duchem potężnym, lekkim czyni.“ We dwa lata później, spędzając zimę w Nizzy, na widok tamtejszego karnawału, mimowoli sobie przypomniał podobne uroczystości rzymskie, kiedy to w nich uczestniczył w towarzystwie

pani Bobrowej, Sołtyka, Rajeckiego, Sauvana, Danielewicza i Jaroszyńskiego. Pod wpływem melancholii na myśl o tych czasach, kiedy to wszyscy razem, zbici w jedno wesołe grono, bawili się na Corso, rozmarzony tem wspomnieniem młodości, pisząc d. 9 stycznia 1846 r. do Sołtana, między innemi nakreślił i taki ustęp: „Nieraz tu (w Nizzy), przechodząc koło cmentarza, na którym Rajecki poczciwy śpi, przypominam sobie ubiegłe czasy: Sauvana, Rajcę, Sołtyka, Konstantego (towarzysze zabaw karnawałowych rzymskich w r. 1835), pamiętasz? My dwaj tylko zostali, resztę skosił los. *Pamiętasz ten karnawał rzymski? Nie masz na tym planecie kolorytu, równego temu, jaki nadaje złudzenie*[1]) *kochania! To Tycyanada i Rafaelada na płótnie żywota! A gdy już serce niezdolne, bijąc w piersiach, tak malować* tryskami krwi swej na zewnątrz świat, to posępnie i głucho na świecie! Ale głupstwa bredzę i lepiej już skończyć.“ Jeszcze w roku 1852, kiedy chory przyjechał do Rzymu, a zobaczył przygotowania do uroczystości karnawałowych, przypomniały mu się owe „dni jedyne i zbiegłe,“ kiedy to kochał się w pani Bobrowej: „Drogi! Drogi! źle i smutno, i źle wszędzie, a nam najgorzej, a najsmutniej nam! *Już rusztowania stawiają na Corso*, wnet i karnawał, nie obaczę go; piski tylko jego uszu mych dochodzić będą. *Pamiętasz niegdyś, kiedy to się nam uśmiechał świat, zie-*

---

[1]) Godzi się podkreślić ten wyraz, że sam Krasiński zapytywał się na tę swoją miłość, jako na *złudzenie* kochania, czyli, że tego uczucia — później — nie uważał za prawdziwą miłość.

mia, morze i kwiat każden, i wszystko? Nie powraca nic, a wszystko mija, prócz zacności i przyjaźni."

Tymczasem, po skończonym karnawale, rozłączono się znowu: pani Bobrowa, wyczerpana walką pomiędzy miłością, bądź co bądź występną, a obowiązkiem, wyjechała, zdążając na północ w stronę Niemiec; Zygmunt zaś, nie upoważniony do towarzyszenia jej, został w Rzymie, z wyobraźnią, „podlejsza od robaczka," z rodzajem „czy choroby, czy szału" w piersiach, miotany różnorodnemi a przykremi i przygnębiającemi uczuciami, tak, że najchętniej pragnąłby się „zakopać przed oczyma ludzi," przekonany, że mu dogorywa „w piersiach zapał, w głowie myśl, *w sercu uczucie.*" Ostatnie spostrzeżenie, to o dogorywającem uczuciu, bolało go najbardziej, nie przypuszczał bowiem, ażeby i taka miłość mogła zacząć ostygać powoli. A jednak widział coraz wyraźniej, iż namiętność wypalała się w nim, że zmuszona zapadać się wciąż „z nieba w piekło," nie umiała z pierwszego „dość *wspomnień boskich* zatrzymać, by zwyciężyć drugie." Płomień, który szalał w jego duszy, nie podsycany nowem paliwem, zmniejszał się, tracił swój żar dotychczasowy; przeciągnięta struna zaczynała być blizką pęknięcia: serce obracało się w „garść prochu." „A nie dzieje się to mimo wiedzy mojej; owszem, widzę każdą iskrę, co gaśnie, każdą sprężynę, co pęka, widzę duszę moją, zwijającą się w popiół, jak list spalony (list od kochanki), co zżyma się i tli jeszcze, i tuż, tuż, a zczernieje, rozwieje się w nicość. Siła analizy pozostała mi; nią, jak ostrzem zatrutem, sam się rozdzieram i kraję, konam z przytomnością umysłu." Lecz było to za-

służoną „karą za to, że *za wiele żądał*," że nie zawsze był zupełnie szlachetnym w stosunku do swej ubóstwianej, że mu namiętność czasami podszeptywała rzeczy złe i zdrożne... Kto wie, czy nie to było powodem, że pani Bobrowa przyśpieszyła swój wyjazd, że już Wielkiejnocy nie chciała spędzić nad Tybrem! Na samą myśl, że to przypuszczenie mogło utrafiać w samo sedno rzeczy, „noc ciężka" staczała mu się na głowę, a w nocy tej, której nie widział końca, żył „negatywnie," tak, „jakby nie był." Dlatego, skarżył się Gaszyńskiemu, „chciałbym już zakończyć tę marną grę kilku myśli i kilku żywych popędów, i kilku chorób, która zowie się życiem mojem. Namiętności, któremi żyć lubiłem, nie dopełniły przeznaczenia swego we mnie; w ich płomieniach umiałbym śpiewać, ale nie chcę wtedy, a kiedy miną, rozstrajam się i milczę. Nędzne to życie, które prócz gorączki nic nie miłuje."

Na domiar złego, miał się niebawem rozstać z Edwardem Jaroszyńskim. Pragnąc tę chwilę odwlec jak najdalej, zdecydował się towarzyszyć mu do Neapolu, zkąd Edward, pospołu z ojcem i siostrami, zamierzał odpłynąć do Odesy. Jakoż dnia 20 marca, po burzliwej przeprawie z Civita Vechia, przy rozszalałym wichrze i piekielnym hałasie „rozbujałych fluktów," całe towarzystwo wylądowało szczęśliwie w Neapolu. Z Krasińskim, oprócz jego starego służącego, Jana Kruszewskiego, przyjechali Danielewicz i Sauvan, a że tu znaleźli się i inni towarzysze rzymscy, Pac, Sołtyk, Zabiełłowie, Rajecki i księżna Lubomirska, więc nie brakło okazyi do rozrywek. Niestety, bruździła pogoda; powietrze było zimne

i dżdżyste, „wiatr szelma“ wyprawiał istne orgie, a z okien romantycznej Willi di Roma, gdzie mieszkał Krasiński, nie było widać nic, prócz mgły, choć, położona nad samem morzem, chełpiła się swym widokiem na Capri i Wezuwiusz. Na szczęście, wypogodziło się niebawem, wyjrzało słońce! Pod wpływem światła i ciepła, rozlewających dokoła „wiosny przeczucie,“ rozjaśniło się i w duszy Zygmunta: zaczął nabierać przekonania, iż „i w Neapolu jest niebo i raj tu i owdzie.“ Z okien swego pokoju na 4-em piętrze widział, „niebo bez końca, i góry, i wyspę Capri w oddali, i Wezuwiusz na lewo,“ w dole zaś „rozbijało się błękitnemi zwojami“ morze zatoki neapolitańskiej, przypominające „toń wieczności, ale szczęśliwej, ale wielkiej.“ I nie było mu już „tak kiepsko na świecie,“ jak z początku.

Cóż, kiedy był sam! Nie mógł odżałować, że na te cuda nie patrzył razem z panią Joanną, że tu nie byli razem. Pomimo wszystkiego, co mu się chwilowo zdawało w Rzymie po jej wyjeździe, gdy pisał o swem dogorywającem uczuciu, tęsknił szalenie, bo wyobrażał sobie, że inaczejby używał tej „pychy stworzenia,“ gdyby mu na każdym kroku nie przypominał się *refrein* Goethego: „Tu byłby raj, gdybyś ty ze mną była!“ [1]). Z tej tęsknoty rodziły

---

[1]) Podobnych uczuć doznawał tu w r. 1830 Mickiewicz, tęskniący za panną Henryettą Ankwiczów ną. Ta ostatnia, nawiasem mówiąc, nie pozostała mu wierną, bo nie mówiąc już o Sołtyku, z którym była zaręczona i którego żoną została w końcu, z niemałem także uwielbieniem—czysto sercowej natury—była dla Zygmunta Krasińskiego, ***Monsieur le Comte***, jak autora *Niebo skiej* nazywała zawsze pani Ankwiczowa. Krasiński jednak z uśmiechem poglądał na te amory: Dowodem list do Sołtana

się częste spleeny, podczas których, jak się wyrażał, nie mógł się rozbudzić, ani dorwać się natchnień młodzieńczych, które niegdyś, przy kominku i w izbie ciemnej, zstępowały w jego duszę. „Czasem tylko kiedy Danielewicz siędzie i przygrywać zacznie; kiedy mi się wyda, że te żagle białe, że te wiosła czarne płyną i biją zgodnie z jego muzyką, kiedy ten cały widok połączy się z dźwiękami w myśli mojej i pieśnią się stanie ożywczą: wtedy podnoszę myśl ku Bogu i domyślam się krain jeszcze piękniejszych, kształtów jeszcze bardziej żyjących, które czekają na ducha mego.“ W takim nastroju pracował nad *Irydyonem* [1]).

Pani Bóbr tymczasem, od chwili, gdy się rozstali w Rzymie, pisywała coraz rzadziej, aż w końcu zaprzestała wszelkiej korespondencyi z Zygmuntem. „W śmiertelnym niepokoju,“ coby się z nią stać mogło, nie wiedząc już, co myśleć, czy przypadkiem nie postanowiła zerwać — czemby się czuł zraniony w swojej miłości własnej—Krasiński „przeczuwał coś złego“ i nie mogąc sobie dać rady (bo mógł co naj-

---

(Przegląd Polski, 1877): „Odsadzę Sołtyka, ożenię się z panną Henryettą, która mnie tak wiernie kocha, kaczki z Galicyi sprowadzę do Coliseum i będę przepisywał Elegie mojej żony nad niemi.“ W liście z Neapolu (7 kwietnia 1835) pisze Krasiński do Sołtana: „Ankwiczowej powiedz, że jutro jej odpiszę—*ajoutez je vous pris quelques compliments de condoléance à l'occasion du kaszel* panny Henryetty...“ Zob. St. Tarnowski, *Zygmunt Krasiński*, str. 54.

[1]) Z nieogłoszonych dotąd listów Z Krasińskiego do Reeve'a wynika podobno, że pomysł *Irydyona* zrodził się w Petersburgu jeszcze, przed pomysłem *Nieboskiej*. Tak utrzymuje pan Ludwik Dębicki, który te listy czytał. Zob. jego krytykę książki St. Tarnowskiego o Krasińskim.

wyżej wysyłać list po liście, na które jednak żadnej nie otrzymywał odpowiedzi), do tego stopnia stracił głowę, że „nie wiedząc już, jak ukoić, czy oszukać swój niepokój," poszedł... po wróżby. „Im bardziej człowieka silna wiara odstępuje, tembardziej staje się podejrzliwym i zabobonnym. Człowiek taki potrzebuje w coś wierzyć, i w końcu w samego dyabła uwierzy." Doprowadzony do takiego stanu, udał się któregoś dnia, razem z Jaroszyńskim, do słynnego klasztoru zakonnic *Trenta Tre* pod Neapolem, z prośbą o przepowiednie. Niechaj mu powiedzą, co robi jego ukochana? gdzie jest? czy żyje? czy się jej nie przytrafiło jakie nieszczęście? czy długo jeszcze żyć będzie? jaka jej przyszłość?... Można sobie wyobrazić rozpacz Krasińskiego, kiedy mu siostry przepowiedziały... rychłą śmierć ukochanej. *Donna Giovannia morirà presto*, orzekły. Nadto *la sua morte sarà dura*, dodały, a kiedy poeta, proroctwem tem, jak gromem rażony, przerwał: *Perche?* odparły: Dlatego, że jest *giovane, sensibile e affezionata...* [1]).

---

[1]) Zob. Listy do Jaroszyńskiego str. 18. Odyniec w swoich *Listach z podróży* (T. IV, str. 88, 89) tak opisuje klasztor *Trenta Tre*: „Ale cóż ci powiedzieć o tych biednych, czy świętych duszyczkach, co same dobrowolnie, jak żywcem w katakumbie, zagrzebują się w klasztorze żeńskim *Trenta Tre*, którego wziętość i świętość słynie tu przed innemi i jest przedmiotem ogólnej czci i uwielbienia? Reguła tak jest ścisłą że skoro młoda profeska próg klasztorny przestąpi, na Józafatowej już chyba dolinie, oprócz sióstr współzakonnic, inne twarze ludzkie zobaczy. W *Parlatorium* żelazna blacha, zamiast kraty, oddziela je na wieki i zasłania od świata, a zaś do wnętrza klasztoru nietylko nigdy gość obcy, ale nawet miejscowe służące wejść inaczej nie mogą, jak wtedy, gdy się siostry modlą w kościele... Tu już rozum korzy się przed duchem; a zaś duch, uświęcający ofiarę, jakby na przykład dla świata, wynagradza to dobrowolne wyrzeczenie się jego widoku cudownym darem

Wróżba ta brzmiała dlań, jak ponury dzwon pogrzebowy, i na długi czas pozbawiła reszty spokoju. Po wyjeździe Jaroszyńskiego, zamiast wracać do Rzymu, do czego namawiali go udający się tam Zabiełłowie z księżną Lubomirską, „wolał „dla pokrycia ciężkiego smutku“ zostać w Neapolu. Bał się wspomnień zeszłorocznej Wielkiejnocy, któreby mu nad Tybrem boleśniej dały się we znaki, niż wśród lazurów Partenopy. A zresztą chciał popracować nad *Irydyonem*. Cóż, kiedy więcej, aniżeli o Elsinoi i synu Amfilocha, myślał o tej, której wiele rysów przeniósł na melancholijną postać Kornelii Metelli! Chory na oczy, pełen „najprzykrzejszych myśli,“ których goryczy nie osładzało przeświadczenie, że „i zdaleka kochać można tak, jak zblizka,“ żył w świecie wspomnień; więcej jedn k, niż o czarującej przeszłości, której obraz prześ adował go raz po raz, myślał o niepewnej i zagadkowej przyszłości, która go jakby magnetyzowała wejrzeniem sfinksa... Nie wiedział, co trzymać o swem obecnem położeniu i nie

---

jasnowidzenia przyszłości. Zakonnice tego klasztoru mają tu sławę prorokiń, i ludzie wszelkich stanów, a nadewszystko panienki przed ślubem, zasięgają ich rad, jak wyroczni. W tej chwili (w roku 1830) najsławniejszą w tym względzie jest sama przełożona *Agnieszka Ferrari.*“ Jeden z listów swoich do Jaroszyńskiego (z Neapolu d. 29 grudnia 1838 r.) zaczyna Z. Krasiński w ten sposób: „Na tych samych brzegach, z których wsiadałam z tobą na łódkę, z których patrzałem na okręt parowy, co z tobą odpływał (w kwietniu 1835) i żegnał mnie czarnym dymem, gdyby krepą żałoby; *na tych samych brzegach, gdzieśmy się o Donnę Giovanninę i o siostrę twoją pytali, przedzieleni murem od tego głosu, co nam tak dziwnie odpowiadał, nam, stojącym pod obrazem Chrystusa: wczoraj twój list odebrałem.*“ Ma tu Krasiński na myśli ową scenę właśnie w klasztorze *Trenta Tre.*

pozostawało mu nic innego, tylko pocieszać się następującą maksymą: „W człowieku każda chwila, pora każda, *stać się może miłością*, i szczęście wtedy dane mu jest chwil kilka, które *przedłużają się we wspomnieniu, choć znikną w rzeczywistości.*“

III.

Latem znów się spotkali. Nastąpiło to w połowie lipca, w Ischl. Krasiński przyjechał sam, pani Bobrowa była z dziećmi, oraz z krewną swą, panią Grocholską, której obecność, a zwłaszcza strofowania Krasińskiego „w imię cnoty“ bardzo okazały się nie na rękę temu ostatniemu [1]). Na razie

---

[1]) Z listów Słowackiego do matki wiemy, że w r. 1831 przyjechały do Drezna (Grocholska i Bobrowa). Z listów Krasińskiego dowiemy się z czasem, że były razem w Ischl.

Oto wrażenie, jakie w r. 1830 zrobiła pani Grocholska na Odyńcu. (Zob. „Listy z podr.“ t. III, str. 110). „A poznaliśmy tam (na raucie u Potockich) także jeszcze jedną Polkę, którąby może we wrażeniach moich zajęła miejsce blizko księżny Izy, gdyby sama samochcąc nie zepsuła uroku, który jej uroda sprawiała. Jest to pani Gr(ocholska) z Podola, P(oniatow)ska z domu, piękna istotnie z twarzy i z postaci, ale strojna aż do przesady, a i jej pierwsze odezwanie się, niestety, przypomniało mi bajkę o pawiu. Nie, żeby głos był niemiły, gdzie tam! Głosik jest godny koralowych ustek; ale to też tem większa szkoda, że z nim chętka do rozmowy nie bierze. Bo gdy mąż jej, poznawszy się z nami, przedstawiał jej najprzód Adama, ona, przybierając widocznie pozę „wielkiej damy,“ i zapewne chcąc ujść przed nim za taką, przemówiła do niego najprzód... po francusku. Nie umiem Ci powiedzieć, jak na te proste słów kilka termometr pierwszego wrażenia spadł raptownie do zera. To też Adam nie odpowiedział jej ani słowa na powitalny komplement, a i ja, zaprezentowany z kolei, poprzestałem na zimnym ukłonie. Zawód,

jednak, dopóki nie przyszło do uwag tego rodzaju, nie posiadał się z radości, zastał bowiem Joannę „dwa razy tyle kochającą“ go, co dawniej, czyli, że wszystkie obawy i posądzenia o obojętność z jej strony, któremi się dręczył w Neapolu, były płonne i bezpodstawne. Pani Bobrowa, choć się nie widzieli przez kilka miesięcy, pozostała mu wierną, a długie tęsknoty jeszcze spotęgowały jej i tak już namiętne przywiązanie do niego. Ztąd poszło, że zdarzały mu się teraz chwile w Ischl, gdzie miał błogie złudzenie, że się dostał do nieba. Upojony tem nieziemskiem szczęściem, był w brylantowym humorze, a pisząc do wtajemniczonego we wszystko Sołtana, wyrażał żartobliwą nadzieję, że pewno miło mu będzie dowiedzieć się, iż „ten, który cię kocha, *z raju* do ciebie pisze...“ Z raju, bo „w życiu swem zapewne już takich chwil szczęśliwych nie doznam więcej...“

Nie wiedział, kreśląc te słowa, że maluczko, a raj ten niebiański pryśnie odrazu, ba, zamieni się w piekło! Trzeba wypadku, że „jakiś list“ pani Joanny do Krasińskiego, list, w którym — jak to w liście kobiety zakochanej—nie obeszło się bez czułych o miłości napomknień, dostał sie przez pomyłkę nie do rąk Zygmunta, ale jakiegoś niegodnego, a przedewszystkiem niedyskretnego awanturnika, także nazwiskiem Krasińskiego, który, otworzywszy kopertę i prze-

---

jak sądzę, był z obu stron równy. Ma prawo nas posądzać o brak grzeczności, albo... francuzczyzny, jeżeli braku taktu nie poczuje w sobie. Ale ciekawy byłbym miny jakiego francuskiego poety, dajmy np. Lamartina, gdyby mu jaka paryżanka, na cześć jego Medytacyj, wypaliła komplement po holendersku i chciała się przed nim popisać, albo zaimponować mu przez to, że przemawia obcym językiem...“

czytawszy zawarte w niej pismo, widząc, uradowany, jakiej jest treści, postanowił skorzystać z okazyi i, niedługo się namyślając, zaczął list pani Joanny, jako niby do siebie pisany, pokazywać wszystkim znajomym i przyjaciołom. Wiadomość o tym interesującym *billet d'amour*, obiegając z ust do ust po całem Ischl, doszła w końcu i do uszu jego autorki. Nieszczęśliwa kobieta wpadła w rozpacz, nie wiedziała, co począć, jak ratować swoją opinię, podkopaną tym fatalnym wypadkiem. Kiedy się zjawił Krasiński, zastał ją „w najokropniejszym stanie." Chodziło o zaradzenie złemu, o którem plotka łatwo mogła dojść do uszu pana Bobra, a gdyby doszła, wówczas... To były powody, które sprawiły, że raj Zygmunta „prysł odrazu" na podobieństwo bańki mydlanej... Prócz tego porobiły się plotki, które za cel obrały sobie Krasińskiego i jego ukochaną, a zaczęły „szarpać jej sławę." Różne damy, z panią Grocholską na czele, rozmaicie zaczęły sobie komentować to niby przypadkowe spotkanie się pani Bobrowej z Krasińskim i, jak zwykle bywa w takich razach, nie oszczędzały ani jej, ani jego, ale szczególniej oburzały się na jej postępowanie. „Niema potwarzy, szyderstwa, złości, którąby nie napoiły mojej biednej. Osobliwie ta G., zlepiona z żółci i mułu, wysoka, szkieletowa, rozpaczająca za znikłemi wdziękami, wściekła, że kto inny piękny i kochany, pod maską przyjaźni pełna nienawiści i podłości, kłamiąca, rozdzierająca, w imieniu cnoty przemawiająca." Wobec takich przyjaciółek i opiekunek, z któremi, pomimo pogardy, jaką dla nich żywił w głębi serca, musiał dyplomatyzować, nic dziwnego, jeżeli mu w Ischl zaczynało być coraz

nieznośniej, i jeżeli dni tam spędzone były często „piekłem“ dla jego wzburzonych nerwów. Dopiero wieczorami, gdy cisza zaległa dokoła, wracał do swego raju, z którego był wypędzanym w ciągu dnia. W tajemnicy przed całym światem, a zwłaszcza przed przyjaciółkami Joanny, zachodził do niej, do jej mieszkania, i tam dopiero, w jej buduarze, „w tym salonie na wieki pamiętnym, wśród krzewów hortensyi, przy półświetle lamp, przy blasku jej łzawych oczu,“ przegawędzali całe godziny... „Tam jej dusza tyle szlachetna i dobra na łzy roztapiała się przedemną; tam ją, umęczoną za to, że kocha, pokochałem jeszcze więcej, niż wprzódy.“

Rozumiał przecież, że ze względu na ukochaną nie godzi mu się tu pozostawać dłużej, że przez swój pobyt w Ischl wystawia na szwank jej dobre imię, że stosunek ten zwraca na nich oczy ludzkie i że, chcąc koniec temu położyć, trzeba się rozstać. Czuł „święty obowiązek, srogą konieczność wyjechania.“ Lecz stało się: „przeklinając świat i podłych i nędznych, którzy mszczą się na tych, co czują, za to, że sami nie czują nic, którzy będą lizać stopy pierwszej metresy pierwszego króla, a rzucają potępienie na duszę najszlachetniejszą,“ pożegnał się z ukochaną, i zostawiwszy ją „w rozpaczy,“ opuścił Ischl, udając się... Dokąd? Do Tryestu. Przy rozstaniu umówili się, że i ona tam zawita niebawem.

Co za szczęście, że nie wyjechali razem! Już bowiem w Salzburgu sądzone było poecie stać się ofiarą fatalnej omyłki, gorszej nierównie, aniżeli ów wypadek z listem. Wzięty za kogo innego—za Krukowieckiego—którego policya austryacka poszukiwała

właśnie, został przytrzymany, wleczony z urzędu do urzędu... Wszystko to byłoby drobnostką, fraszką nic nieznaczącą, gdyby mu na komorze przy tej sposobności nie skonfiskowano wszelkich, jakie wiózł z sobą, papierów, w tej liczbie i całą paczkę listów od pani Bobrowej Ostatecznie sprawa się wyjaśniła: przekonano się, że zaszło jakieś *qui pro quo*. O zwrocie papierów swoją drogą nie było mowy. Jedną tylko *Nieboską komedyę* [1]), którą był zawczasu schował w buty, zdołał uchronić przed ostracyzmem cesarsko-królewskich cerberów.

Stanąwszy wreszcie, w początkach sierpnia, w Tryeście [2]), był jak potępiony. Zdawało mu się, że zstąpił do piekła. Przedewszystkiem był dręczony szalonym niepokojem o Joannę, a następnie dokuczał mu straszny, nie do zniesienia poprostu, upał. Chodząc po spiekłym bruku, był tak zgnębiony i przybity fizycznie i moralnie, że miał ochotę, jak powiada, położyć się i skonać na nim, tak mu dolegała „każda chwila bez niej."

Przyjechała wreszcie. Ale, zamiast go uspokoić, sama wystraszona, roznerwowana w najwyższym stopniu, uciekająca, jak łania przed temi „psa-

---

[1]) Musiał to być zapasowy rękopis, albo też pierwsze (frankfurckie) wydanie poematu z r. 1835. Drugie wydanie, również jak pierwsze „poświęcone Maryi," wyszło dopiero w r. 1837 z zadziwiającym na odwrotnej stronie okładki dopiskiem: „Na cel wystawienia pomnika Maurycemu Mochnackiemu." Na czele poematu, jako *motto*, figuruje następujące zdanie Beaumarchais'go, zdanie, opuszczone we wszystkich wydaniach następnych: *De toutes les bouffonneries la plus sérieuse est le mariage. Figaro.*

[2]) List bowiem ztamtąd do Adama Sołtana (podany przez St. Tarnowskiego *op. cit.*) nosi datę dnia 12 sierpnia 1835 r.

mi zajadłemi," żądała koniecznie, „by niby zwieść tych, co ją prześladują," ażeby nie zostawał z nią długo w Tryeście, lecz żeby jechał do Wenecyi, gdzie może jej spodziewać się wkrótce...

„Ach! jakże ona nieszczęśliwa! Ale nie przezemnie! Świat! świat! *Cette idole couverte de clinquant et remplie de boue*, ją rozszarpał i zabił!" I jak tu nie postąpić stosownie do jej życzenia! Jak nie uczynić zadość jej naleganiom, jej prośbom „rozpacznym" i nie wsiąść po kilku dniach „piekielnych, stroskanych" na statek odpływający do Wenecyi?!

Zrobił to dla niej! „Ona myśli, że im się opędzi tym psom zajadłym... Bądź co bądź, jeżeli teraz, w tym czasie nie straci zmysłów, to cud boski!" W tem przeświadczeniu odjechał.

W Wenecyi, gdzie kilkanaście miesięcy temu „przez tydzień cały prawdziwie był szczęśliwy," dziś, w oczekiwaniu na przyjazd tej, której wówczas szczęście swoje zawdzięczał, „przez takie przechodził kryzys, które kończą się zwykle szaleństwem lub śmiercią." Słaby jestem bardzo, donosił Sołtanowi, mam gorączkę okropną; źle mi się dzieje. Świat, który od kolebki mnie napastował i krzywdził, nie wiem za co, i dziś wlazł mi pod moje ołtarze i tam mnie przedrzeźnia i psuje mi szczęście... Jam mu nie hołdował, on się mści" [1]).

„Ja w Wenecyi, ona w Tryeście." Znalazłszy się w podobnej sytuacyi, tak dalece zwątpił o wszystkiem, że mu szatan niejednokrotnie, jako jedyny

---

[1]) List XV z Wenecyi, bez daty (u St. Tarnowskiego *op. cit. w Przegl. Polskim*, str. 82).

sposób wydostania się z tego zaczarowanego koła, podsuwał myśl samobójstwa. „*Terrible tentation! Tentation des tentations!*“ Bo co mu z życia, z bytu, z ludzi, od których wciąż słyszał tylko same obelgi i przekleństwa! Co im zawinił, że ukochanej jego, jego Madonnie i świętej, przecinają na ustach słowo *kocham* słowem *hańba!* I wszędzie, wszędzie ta hańba! Podli, podłe, łgarze! Kto sam czysty, ten nie potępi bliźniego, ten czeka sądu Boga! Im zaś, „jeżeli nawet były jakie błędy,“ Bóg przebaczy, trudno bowiem „tyle walczyć, co ona, a tyle kochać, szanować i czuć, co on!...“

Dręczony najróżnorodniejszemi obawami, rozgoryczony na świat i na ludzi, pełen zwątpienia o wszystkiem, po czem dotychczas spodziewał się szczęścia dla siebie, nie uspokoił się prędzej, aż dopiero, kiedy zobaczył znów „swoją biedną, swoją kochaną,“ na widok której, „nie już z miłości, ale z admiracyi chciało mu się upaść jej do nóg“ i całować te stopy, te usta, „jak dwie zorze,“ te oczy szafirowe, te rzęsy czarne, te włosy złotolśniące!... Całować, całować, całować! A potem? potem „porwać ją i unieść gdzie daleko,“ gdzieś, gdzieby im nie groziło złośliwe ujadanie różnych nieproszonych i niepowołanych opiekunów, przywłaszczających sobie prawo czuwania nad jej cnotą, gdzieby się czuli szczęśliwi, swobodni i nie krępowani światowym konwenansem, i gdzieby im dni schodziły na miłości i pocałunkach... I kto wie, czyby tego szalonego zamiaru nie urzeczywistnił, czyby nie uciekli gdzie na kraj świata, gdyby nie dzieci, które pani Joanna miała przy sobie, a których nie chciała i nie śmiała odbierać ojcu...

Wzgląd ten jednakże, o ile uniemożliwiał ucieczkę, o tyle nie był dość silny, ażeby stłumić szalone pokusy [1]), jakie się nagle zbudziły w piersiach zapominającego już o wszelkich skrupułach poety, a które owładnąwszy nim zupełnie i uczyniwszy go głuchym na wszelkie protesty sumienia, doprowadziły w końcu „do czynu złego, opłakanego.“ Stało się nieszczęście! Jakkolwiek przyznawał, że „było okrucieństwem walczyć z takim wyrazem jej twarzy, z takiem przekonaniem jej rozsądku,“ mimo to, uniesiony i oślepiony huraganem namiętności i pożądania, a wskutek tego już nie zdający sobie sprawy, co czyni, „przez niesłychane walki dowiódł ją wreszcie do nieszczęścia,“ spychając w przepaść miłości złej, występnej!

Miesiąc blizko zabawili w Wenecyi. „Ile wycierpiałem przez ten czas — pisał pod świeżem wrażeniem tych przejść — nie masz wyobrażenia; ile byłem szczęśliwy, także rzadko kto wiedzieć może. Ale to tego rodzaju szczęście, co zabija więcej, niż sił przysparza.“ Najmilszem zaś, co mu pozostało ze wszystkiego, było przeświadczenie, że szlachetniejszej kobiety niema na ziemi i że takiego serca daremnoby już szukał w życiu... Szkoda tylko, że „uparła się“ wracać do domu. „Mąż wie wszystko. Ona mu sama napisała. Wie zatem, co ją czeka. Ale za

[1]) „Co się tycze listu z Gratz, to ja się pomyliłem, bo pisałem Ci go między Gratzem a Wiedniem, a oddałem na pocztę w Wiedniu; ale że mi się to wszystko bardzo mieszało w głowie, tom ci napisał à Gratz. Był to ten list, w którym ci wspominałem o pokusach, które czułem w Wenecyi i które doprowadziły mnie do czynu złego, opłakanegol (Listy do Jaroszyńskiego, str. 12).

obowiązek uważa odwieźć dzieci mężowi i cierpieć. W tem rodzaj ekspiacyi widzi. Nie chce pamiętać, że jej sił na ekspiacyę podobną zabraknie i że może umrzeć. I *Trenta Tre* się sprawdzą. Już teraz po kilka razy na dzień mdlała, blada jak trup, lub rozgorączkowana, jak w malignie. Ale piękna zawsze i słodka, anielsko słodka!... Ludzie to zowią błędem, księża grożą piekłem za to; ale cóż, jeśli ten błąd już w samym sobie swoje piekło zawiera, jeśli kwiat, już przez to samo, że się rozwinął na chwilę, schnąć i umierać musi. Biedny to świat, biedne towarzystwo, w którem jedyne szczęście przezwali zbrodnią! Biedne towarzystwo, które, by się utrzymać, kłamać musi!... Ach, miałem chwile nieskończonej goryczy! wszystko, co piękne i kochane, łamało się przedemną, jak lód, co w kry się rozsypuje. Widziałem spokojne czoła, co tak pękały z rozpaczy... Miałem dni, w których samo szczęście, samo uniesienie stawało się ironią; w których pomyśleć o uśmiechu, choćby smętnym, tkliwym, było niesposób; w których łzy nawet byłyby szyderstwem, dzieciństwem, oznaką marną bólu; bo żeby go wydać, wyrazić, chyba trzeba było skonać. Ale przeszło, przeszło!"

Pierwszych dni października, już na wyjezdnem z Wenecyi, a już po wyjeździe ztamtąd pani Joanny, która pojechała naprzód, ażeby wcześniej od niego stanąć w Wiedniu, gdzie mieli się spotkać raz jeszcze pisał Krasiński do przyjaciela: „Addio! Za kilka dni skończy się młodość moja, wiosna życia mego. Zacznie się druga połowa bytu: *Rozum*, jak mówią

ludzie, *Rozsądek!* co u niektórych znaczy *podłość*, u niektórych *głupstwo*, a u bardzo mało *cnotę!*"

Po wrzuceniu tego listu do skrzynki puścił się w drogę. Przez cały ciąg podróży tak mu się „wszystko bardzo mieszało w głowie," że pisząc między Gratzem a Wiedniem list do Jaroszyńskiego, list, który oddał na pocztę w Wiedniu, prosił przyjaciela, ażeby odpowiedź swoją adresował *à Gratz*... Zapomniał, że był tam tylko w przejeździe.

W Wiedniu, gdzie znów jakiś czas spędził „nie na ziemi" w towarzystwie swej lubej, po „chwilach uniesienia i dziękczynienia dla tej miłości, która strzeże i z toni dobywa," nastąpiło rozstanie, które Krasiński nazywa „wiecznym, strasznym rozdziałem." Wiecznym? A więc nie mieli nadziei zobaczyć się więcej?... Bądź co bądź, ostatni dzień, poprzedzający to rozłączenie na wieki, spędzili nie w Wiedniu, lecz w jego okolicach... Dzień ten, jak powiada Krasiński, upłynął mu „jak sen," a został się w nim, „jak męka." „O, był to jeden z tych dni nieśmiertelnych, które nigdy w pamięci nie wymierają; z tych dni koniecznych, w których objawia się siła przeznaczenia, jakby siła jaka natury, ślepa, bez *ale*." Na dworze było zimno, ponuro. Powietrze dżdżyste, przejmujące. Wiatr, targający okiennicami, poświstywał w kominie, rzekłbyś, zawodził — jak gdyby dla nich umyślnie — żałosną pieśń pożegnania, pieśń, która im, choć pili z czary upojeń, do czary tej sączyła krwawe łzy...

Nazajutrz, d. 17 października [1]) po szeregu

[1]) Zob. List do Jaroszyńskiego z Wiednia d. 10 grudnia 1835 r.

„strasznych, ostatecznych scen," pani Joanna opuściła Wiedeń, udając się na Wołyń[1]), Krasiński został.

IV.

Stan, w jakim się znajdował, był godzien pożałowania. „Słaby na ciele, a w duszy zrozpaczony," smutny, jak „tysiąc nietoperzy," z życiem, po którem spodziewał się, że odtąd stanie się „bryłą granitu," z nerwami skołatanemi i wyczerpanemi nadmiarem wzruszeń, niedość, że upadał pod brzemieniem żalu, iż cierpiał na bezsenność po nocach, że najprzykrzejsze myśli snuły mu się po rozgorączkowanym mózgu, ale nadomiar złego, cierpiał na dotkliwą pustkę w kieszeni. „Co się tyczy pieniędzy, pisał do Gaszyńskiego, nieraz, mój drogi, myślałem już o przesłaniu ich tobie, i to ciężarem nie małym było, iż nie mogłem, że uniesiony na drodze, którą stąpałem przez całe lato, wyszastatem, co miałem. Kiedy człowiek żyje nie na ziemi, nie ma czasu się rachować, miłość jest niszczycielką wszelkich ziemskich porządków..." Ostatnia okoliczność, mianowicie owo wyszastanie się z gotówki, bynajmniej nie należała do kategoryi tych, któreby dodatnio wpływały na jego humor. Nadto był coraz gorzej z oczami, które go znowu bolały.

Znużony tem wszystkiem, chadzał do kościoła

---

[1]) Prawdopodobnie nie do Zahajec, lecz do Sobolówki za Żytomierzem, do matki swej.

św. Szczepana (gdzie niedawno modlił się z nią razem, prosząc Boga, aby im odpuścił ich winy), i „jakby za duszę, co odleciała“ kazał odprawiać msze na intencyę Joanny. Jednocześnie bił się z myślami, co porabia jego ukochana, czy go nie przeklina może, i zdawało mu się niejednokrotnie, że stał na rusztowaniu, że słyszał ostatnie namowy kapłana. Serce jego, „wiedząc o drugiem, że bije, wiedziało również, że choćby pękło za niem, pękłoby samo, nadaremnie,“ a przeświadczenie to, snując się w smutne pasma, było powodem długiego szeregu dni „stroskanych“ i beznadziejnych, w których dusza jego, „jak mogła, odpychała ciało, by jej lepiej było po zerwaniu łączących tasiemek...“ Ludzie, spotykający go, a którym on zazdrościł, że ich zająć mogą towarzyskie komeraże, intryżki, i „klucze na połach fraka,“ ani się domyślali nawet, gdy z nim rozmawiali o rozmaitych, mniej lub więcej obojętnych rzeczach, przez jakie męczarnie przechodził w takiej chwili, co się działo w jego wnętrzu moralnem! Nie wiedzieli, bo ani im w głowie postało podejrzenie, że mieli przed sobą „trupa“ bez duszy, bo „dusza, co z niego wyszła,“ uleciała do siostry swej, równie, jak ona, cierpiącej! „Taka dusza, Edwardzie, obleczona cieniami śmierci, z dwóch części się składa, z dwóch serc wyzionięta i teraz już jednością w wieczności! Chwila, kiedy opuszczała ciało swoje, straszną była, straszną, powiadam ci! Ach! gdzież to drogie ciało, opuszczone, martwe?... Ty je ujrzysz, ty odmówisz modlitwę wspomnień nad niem! Ty je pobłogosławisz! Nieprawdaż?“ I skarżąc się tak w liście do Jaroszyńskiego, zaklinał go, ażeby zobaczywszy się z Jo-

anną, powiedział jej, iż „pewny jest, że ten człowiek kocha, kogo przyrzekł kochać.“ „Jeśli się dowiesz o szczegółach różnych, to napisz pod adresem: *Simmy banquie à Vienne.* On mi odeszle tam, gdzie będę. Wybieram się ostatnich dni Decembra do Florencyi. Miałem jechać natychmiast po tym dniu, o którym ci wspomniałem“ (to jest zaraz nazajutrz po wyjeździe pani Bobrowej), lecz wolał przeczekać kryzys cholery, właśnie panującej w Lombardyi.

Zimę spędził we Florencyi. Ale i tu, pomimo miłego towarzystwa Zamoyskich, Potockich, mnóstwa Angielek, wyśmienitych restauracyj, kawiarni *non plus ultra*, doskonałych cygar hawańskich, książek, żurnalów i Włochów „nie tak zakamieniałych,“ jak w Rzymie, nie odzyskał dobrego humoru. Nawet kilka listów od pani Bobrowej, które mu Sołtan przysłał z Wiednia, dokąd były adresowane, nie rozchmurzyły jego zasępionego czoła: przeciwnie, zdaje się, że one w największym stopniu przyczyniły się do owych spleenów i tęsknot, którym Zygmunt podlegał w czasie tej swojej bytności nad Arnem. Że w każdym razie wciąż myślał o wszystkiem, co przeżył w ciągu roku zeszłego, a czego przewidywane konsekwencye ciążyły nad jego głową, jak złowrogi miecz Damoklesa, tego pozwala się domyślać list do Gaszyńskiego, datowany z Florencyi właśnie, d. 2-go lutego 1836 r. „Od kiedy tyś o mnie się dowiedział, *zaszły wypadki, które wstrząsły mną całym od stóp do głowy i od mózgu do serca.*“ Nie mogąc zapomnieć o nich, a chwilami przewidując, „co będzie, co ma być, co być może,“ choć zdawało mu się, że

najzupełniej obojętnie mógł myśleć o tem, jednak, pomimo tej pozornej apatyi, pomimo, że miał chwile, gdzie, jak się wyraził, *„już mi i oczy mojej kochanki*, już mi i promienie słońca niemiłe," nie mógł odzyskać równowagi ducha, nie mógł się pozbyć tej świadomości, że mu wciąż było smutno, źle, gorzko, że po chwilach szczęścia, pełnych czarownych upojeń, wstąpił w „okres próżni bez imienia, bez granic, okres nudy ogromnej, piekielnej, zimnej jak lód, pożerającej jak ogień." Mgieł tych, choć mózg zaciemniały, nic nie zdołało rozproszyć, a najsmutniejszem było to, iż sobie doskonale zdawał sprawę z tego położenia bez wyjścia. „Rzadko się ludzie kochają na ziemi, a kiedy się kochają, niechże będą razem." Skazany na przymusową rozłąkę z tą, do której mu się rwały dusza i zmysły, czuł szalony głód psychiczny, na który nie było lekarstwa, a który go trawił, jak gorączka. W tem uczuciu pisał do Gaszyńskiego: „Szczęście bez granic i zmiany jest marzeniem, bo bytu niema w zupełnej jedności, nie cierpieć wcale, byłoby nie być. Życie ludzkie to nieustanne przejście od dobrego do złego, od rozkoszy do bólu; żyć, znaczy cierpieć i rozkoszować się naprzemian." On rozkoszował się najprzód, teraz przyszła kolej na cierpienie. W takim nastroju, wkrótce po fetach karnawałowych, które mu przypominały zeszłoroczne rzymskie, a tem samem jeszcze bardziej zaogniły niezagojoną ranę w jego zbolałem sercu, udał się—na kilka dni przed wielkim tygodniem—do Rzymu, gdzie spędził święta Wielkanocne, a gdzie znowu, z powodu wspomnień Wielkanocy z przed dwóch lat, „cierpiał w głębi ducha." Z całej naj-

droższej „trójcy“ jego, którą stanowili *ona*, Jaroszyński i Danielewicz, tylko ten ostatni znajdował się przy nim. Cóż dziwnego tedy, że nie mógł odzyskać swej dawnej wesołości, że zamyślony, nie słyszał często, gdy mówiono do niego; że niekiedy z dziwnym, niewymownym wstrętem, gdy w czytaniu szukał zapomnienia, odrzucał książkę, przykładaną do chorych oczu; że czasami, gdy, leżąc na sofie, słuchał muzyki Konstantego, „powstawał nagle, w jakiejś rozpaczy, obudzonej pięknością dźwięków,“ i prosił przyjaciela, ażeby grać przestał; i że wogóle „drżał *na pewne wspomnienia*,“ którym bądź „puszczał serce,“ bądź je odsuwał od nich, tysiącom myśli powtarzając, jak Kartuzi: *Memento mori*. Zdarzało się też, że grając w wista, lub układając *passyans* (bo i tego używał sposobu, „pasując się z szyderskim, niewidomym losem“), rzucał karty na stół, i płonąc gorączką od nagłego, spazmatycznego śmiechu, zaczynał ku niewysłowionemu zdziwieniu przyjaciół „sypać żarciki jakieś gorzkie, zgryźliwe,“ poczem zapadał ponownie „w próżnię bezdenną, w milczenie kilkogodzinne.“

Z odrętwienia tego wyrwała go chwilowo zawarta świeżo znajomość i przyjaźń z Juliuszem Słowackim, „małym człowieczkiem, ogromem poezyi obdarzonym od niebios.“ Ztąd ożywione rozmowy z nim, prowadzone „po szalonemu językiem imaginacyi,“ o literaturze i sztuce, a głównie o dwóch utworach dramatycznych, świeżo ukończonym przez obu młodych twórców: o *Balladynie*, którą Słowacki przeczytał Zygmuntowi i jego towarzyszom, i o *Irydyonie*, z którym Krasiński zapoznał Juliusza, a którego rę-

kopis z dedykacyą pani Bobrowej „na pamiątkę dni jedynych i zbiegłych“ w tych czasach właśnie Roman Załuski miał powieźć do Paryża, do druku. Tych parę tygodni, w których nieszczęśliwy ordynat poeta korzystał z towarzystwa autora *Maryi Stuart*, podziwiając jego równobarwną i giętką wyobraźnię, i które były świadkiem ich „romansowych wędrówek“ po Rzymie i okolicach, rozerwały go trochę.

Z chwilą jednakże, gdy w końcu maja opuścił Rzym, zmuszony jechać do Kissingen, znowu opadły go „okropne zmory.“ Budząc się z nich co rano, przez cały dzień nigdzie nie upatrywał żadnej nadziei, a „smutny na śmierć“ szukał ratunku dla swojej duszy zmęczonej, „miotanej brakiem pokoju,“ we „wściekłej“ grze w ruletę, pragnąc tym sposobem „czas, a raczej własne myśli zabić.“ Z wygranej równie mało robił sobie, jak z przegranej, choćby tą przegraną były nawet ostatnie pieniądze, jakie posiadał! Zrezygnowany i przygotowany na wszystko najgorsze, pocieszał się tą myślą jedynie, że w końcu zawsze wypadnie jedno z dwojga: albo dyabli wezmą człowieka, albo to, co go trapi.

A jednak, mimo podobne rozumowanie, zasuwał się „w coraz grubsze ciemności,“ nie mogąc opędzić się refleksyi: „Temu rok, taki szczęśliwy byłem!“ [1]). Często, zbudziwszy się w nocy, widział „w żywych barwach,“ niby na jawie, czarowne obrazy niedawnej przeszłości, przecuwające mu się przed oczyma:

---

[1]) List do Soltana z Kissingen, d. 10-gó lipca 1836 r.

wówczas — jak powiada — aż podskakiwał na łóżku, jakby mu kto kulę między żebra wpakował.

„Temu rok, taki szczęśliwy byłem!“ Właśnie przed rokiem donosił Sołtanowi, że się dostał do raju, a dziś! Dziś, pisząc do tegoż Sołtana, nie zawahał się napisać, że byłoby „najlepiej“, gdy mógł zachorować na jaką gorączkę i umrzeć, a równocześnie zazdrościł Gaszyńskiemu, który, sądząc po sobie, uważał, że odległość i czas to najradykalniejsze środki zaradcze przeciwko miłości i jej wszelkim utrapieniom. On, niestety, nie doświadczał na sobie prawdziwości tego spostrzeżenia, bo jakkolwiek przyznawał, że są miłości, które „duszą się pod ciężarem czasu i przestrzeni,“ to przecież twierdził stanowczo—sam o tem wiedząc najlepiej — że istnieją również i takie, które jeszcze sił nabierają przez to, „że ciągle pracują wyobraźnią w niedostatku upragnionej rzeczywistości.“ „Ja się w tym drugim przypadku znajduję,“ dowodem zaś, że w jego usposobieniu nie zaszła żadna zmiana, są dwa wiersze liryczne, które w tych czasach, z powodu zbliżających się imienin pani Joanny, napisał:

O biedna! czegoż ja mam życzyć tobie?
Co wzbudzić w potęg czarnoksięskiem kole,
By świeżość wiosny w posępnej żałobie
Nie marła jeszcze na twem drogiem czole.

I chciałby, powiada, „odbić czasu niewstrzymane fale,“ ażeby nigdy koło niej „pląsać“ nie zaczęły, ponieważ gdyby do tego, broń Boże, przyszło, kto wie, czyby jej kochać nie przestał... Bo, niestety, taką już jest natura ludzka, mężczyzny zwłaszcza, że

ubóstwiać potrafi tylko świeże i młode lice [1]). „Ach to piekielna ironia, ironia pierwsza wśród wszystkich na ziemi, zamykająca między dwiema zmarszczkami nieskończoność uczuć serca ludzkiego!“ Tymczasem odpychając od siebie owe przeczucia goryczy, z przyjemnością malował wierszem: jej „oczy zmienne,“ którym cierpienie lazurową nadawało barwę, a które się „z błękitnych nagle w czarne przeiskrzały,“ jeżeli w piersiach zawrzały „czary uniesienia;“ jej czoło, „kędy ożywione myśli snuły się jedne po drugich, jak cienie;“ jej uśmiech, który „mdlejąc,“ zostawiał na twarzy „drobny ślad radości“ i t. d. Dlatego, zapewniał, chętnie gotów się zrzec sławy i szczęścia, jeżeli mu one miały kiedykolwiek przewodniczyć na drodze ziemskiej, byle mu tylko ona piękną pozostała dłużej.

Bo życie moje przeplatałem twojem,
Jak dwie złączone, niezmieszane rzeki,
Co płyną zgodnie różnofarbnym zwojem;
I gdy ty zwiędniesz, ja zgasnę na wieki.

Jak sobie wytłómaczyć psychologiczne znaczenie tego wiersza? Co znaczy ta obawa poety, że gdyby jego piękna zbrzydła i podstarzała się, to kto wie, czyby jej kochać nie przestał? Istnieje tylko jedna odpowiedź na to pytanie: oto Zygmunt zaczynał powoli ostygać w swoim zapale dla pani Joanny. Pomimo wszystkiego, co pisał do Gaszyńskiego, że przestrzeń i czas nie wywierają ostudzającego

[1]) Krasiński, przesyłając te wiersze Gaszyńskiemu, nazywa je „pierwszemi w życiu,“ czyli, że zapomina o wierszach, które w r. 1830 pisał w Szwajcaryi pod wpływem miłości ku miss Harry.

wpływu na jego miłość, przeciwnie, jeszcze go potęgują, jednak wstępował w nową fazę psychiczną, w fazę — jeśli się tak wyrazić wolno — erotycznego odpływu. Mijał rok, jak się nie widział z Joanną: przez ten czas doświadczał całego szeregu nowych wrażeń, co musiało sprowadzić ten nieunikniony skutek, że świeższe wrażenia poczęły zacierać dawniejsze. Cokolwiek sądził o swem teraźniejszem usposobieniu, jedno było pewnem i niezaprzeczalnem, choćby on sam najkategoryczniej protestował przeciwko temu, że już minął zenit swojej miłości ku pani Bobrowej, że tej miłości już się miało pod koniec.

ROZDZIAŁ II.

W takim stanie uczuć, pod koniec lipca, udał się Zygmunt razem z Danielewiczem i Sauvanem do Graeffenberga [1]) na hydropatyczną kuracyę w zakładzie słynnego podówczas „mistrza zimnej wody“ Priessnitz'a, który go, w celu radykalnego wyleczenia, zatrzymał u siebie aż do ostatnich dni października.

[1]) Jadąc do Graeffenberga, zatrzymał się Krasiński tydzień przeszło w Pradze Czeskiej (zob. listy ztamtąd do Sołtana i Gaszyńskiego). W Pradze też rozłączyli się z Konstantym, który później dopiero przyjechał do Graeffenberga, zamieszkawszy jednakże nie razem z Zygmuntem, jak Sauvan, w zakładzie dra Prissnitz'a, lecz we Freiwaldau, poblizkiem miasteczku.

I.

Hydropatya, nie dająca mu „ani jednej chwili spokoju, ni czasu," a będąca nieprzerwanem pasmem „gwałtownych wstrząśnień całego organizmu," strasznie go wyczerpywała z początku: czuł się tak wątłym, „zgłupiałym" i znużonym, jak gdyby „noc całą po sardanapalsku strawił i potrzebował zasnąć;" w nogach był tak osłabiony, jak gdyby szereg dni bezprzestannie chodził po kilka mil, a na mózgu ciążyła mu taka „niedołężność," że nawet myśli, jak należy, zebrać nie potrafił: jednem słowem, był „do niczego" i jeżeli nie wątpił o wszystkiem, to jedynie dzięki perswazyom samego Priessnitz'a i innych kuracyuszów—Salwanusa nie wyłączając—twierdzących jednogłośnie, że tak być powinno, że trzeba przejść przez długą chorobę i gorączkę, by wrócić do zdrowia [1]).

Pod wpływem owych gwałtownych wstrząśnień całego organizmu i tego znużenia fizycznego, które, jak stwierdza psychologia doświadczalna, stokroć niebezpieczniejszym jest „uczuć mordercą," aniżeli przestrzeń i czas, miłość jego, tak rozpaczająca do niedawna, taka — możnaby mniemać — niepocieszona i tęskna, zaczęła mu coraz gwałtowniej „znikać z duszy," tak dalece, że nawet zaczął sobie z tego potrosze zdawać sprawę. Gdyby rzecz miała się przeciwnie, wówczas, pisząc do Sołtana, nie byłby tak skorym do przyznania wyższości przyjaźni nad mi-

[1]) Zob. Listy, t. I, 20 okt. 1836 r., oraz t. II, 15 aug. 1836 roku.

łością, jak im się okazuje w swym liście z d. 25-go sierpnia 1836 r. [1]): „Przyjaźń jedna *nie więdnieje*. Jest to zapewne do miłości, jak sosna lub cyprys do róży, ale też wiecznie zielone.“ Słowa te, wypowiedziane z głębi przekonania, świadczą najwymowniej, że róża jego pierwszej miłości zaczynała powoli — tu w Graeffenbergu — przekwitać; że najpiękniejsze jej liście—iluzye—więdły i opadały jedne po drugich.

Jednocześnie nasuwały mu się myśli w rodzaju tej. „A w duszy kobiety samej co się dziać musi, kiedy czuje, że ten, co dawniej ją bóstwem przezywał, dziś stroni od niej“ [2]). Kreśląc słowa powyższe, nie mógł nie pomyśleć o pani Bobrowej, tak samo, jak nie mógł w tejże chwili nie zadać sobie pytania: coby uczynił, widząc, że miłość w nim „więdnieje“ powoli, że nie jest już tak gorącą, ani tak namiętną, jak dawniej. Coby uczynił? Odpowiedź łatwa do przewidzenia. Nie zapomniałby ani na sekundę o długu moralnym, jaki względem kochanki zaciągnął, i dlatego, chociażby mu nawet przyszło zobojętnieć kiedy, starałby się wystudzone uczucie, „czyli raczej głębię serca, zastąpić serca powierzchnią.“ Na powierzchni bowiem „szumi egoizm jak piana,“ w głębi zaś żyje szlachetność i poświęcenie, jak perły i koralowe skały na dnie mórskiem. Ile razyby uczuł, że „fale zewnętrzne ucichły,“ zstąpiłby głębiej i, zanurzywszy się w wnętrzu swojem, przysłuchiwałby się głosom, co tam wołają; ponieważ są to głosy „anielskie!“ Oneby go zawsze na dobrą wyprowadziły drogę

[1]) Listy, t. II, str. 43.

[2]) Graeffenberg, 25 augusta 1836 (do Sołtana).

i nie pozwoliły, „by *impressionabilitas* górę wzięła nad tem, co winno być niewzruszone, nieodmienne, jak fatum [1]).

Tymczasem, ponieważ jeszcze do niczego podobnego nie przyszło, ani, jak mniemał, zanosiło się na cośkolwiek, coby ukochanej jego grozić mogło, nie uważał za niestosowne zwolnić trochę cugli owej *impressionabilitas*, i nie widząc w tem nic zdrożnego, zaczął dla zabicia czasu pomagać Sauvanowi w „koperczakach z ładną hrabianką Reichenbach, Prusaczką, bardzo do rzeczy, ale dobroduszną, jak wszystkie Niemki," którą tenże, nudząc się bardziej jeszcze, aniżeli jego przyjaciel, i nie mając na razie nic lepszego do czynienia, „na wszystkie sposoby uwodził: to botaniką, to metafizyką, to zoologią, to polityką, to statystyką, to ekonomią polityczną. Taka rozmaitość broni zdaje się wróżyć zwycięztwo." Krasiński postanowił użyć jednego jeszcze środka: poezyi. W tym celu, korzystając ze sposobności, że mu Gaszyński nadesłał tomik swoich wierszy francuskich „czułych i pięknych," zaczął je czytać „ślicznej" Adelaidzie Reichenbach i jej ciotce, lektura zaś jego taki odniosła skutek, że się Niemki aż rozpłakały. Nadto prosiły go, aby im utwory swego tak wielce utalentowanego przyjaciela odpisał na pamiątkę, co też on, jak przystało na usłużonego *caballero*, uskutecznił. Potrzebował na to wprawdzie całych sześciu tygodni czasu, codzień jeden lub dwa tylko dodając, lecz jest to szczegół podrzędny. Ważniejszą bez porównania była okoliczność, że mąż

[1]) Zob. Listy do Gaszyńskiego, str. 99—100.

pięknej Adelaidy, „stary Hof-Marschal“ pomorski [1]), przyjechał tu „w nadziei odmłodzenia“ swej zgrzybiałej osoby, i że choć „stary niedołęga“ nie znał, co zazdrość, tak, iż nie miał naprzykład nic przeciwko temu, jeżeli żona jego z ciotką, we dwie, spędzały z Krasińskim i Sauvanem często popołudnia i wieczory całe w poblizkiem miasteczku u Danielewicza, który im grał na fortepianie.

Odwiedziny te stanowiły jedyną na tej „planecie ołowianych nudów“ przyjemność. Przez cały czas „dopóki trzysta osób jadało w sali graeffenberskiej, dopóki świeciły gwiazdy lata, chadzali po tej drodze z piękną Adalaidą Reichenbach i jej ciotką...“ Zdarzało się to czasami i „późną nocą.“ Nieraz nawet powracał Krasiński sam tylko z temi paniami. Wśród okolicy „cichej, jak uśpionę dziecię,“ nad którem, „jak mamka,“ czuwał księżyc, „cicho było i pięknie.“

Gdybyż o tem wiedziała pani Bobrowa!...

Wróciwszy na początku listopada do Wiednia, gdzie, ulegając życzeniom ojca, miał przezimować, choć dusza tęskniła za lazurowem niebem Włoch „chory na duszy i na ciele,“ a przedewszystkiem na oczy, rozstrojony bardziej jeszcze, aniżeli przed kuracyą w Graeffenbergu, znalazłszy się w tutejszym świecie polskim, kipiącym „plotkami, przekąsami, potwarzami, zazdrościami, głupstwami“ i innemi podobnemi do tych przymiotami, obserwował go i uczył się, jak powiada, w „szkole podłości i próżności, nie być nigdy podłym, a próżnym, jak można najrzadziej.“

---

[1]) Zob. List do Sołtana. Graeffenberg, 15-go augusta 1836 roku.

Obdarzony zmysłem spostrzegawczym, żadnej nie prześlepiającym śmieszności ludzkiej, czy towarzyskiej, wiedział doskonale, że wszyscy, jeśli są grzeczni dla niego, nadskakujący, to nie dla Zygmunta, nie, broń Boże! tylko dla tej figury, co posiada coś i doszła do lat sposobnych do zawierania intercyzy." Gdyby był chudym pachołkiem, kazaliby go wyrzucić przez okno [1]). Swoją drogą nie przeszkadzało im to, zwłaszcza „wystrojonym" matkom, mającym córki na wydaniu, nękać go dwuznacznemi wyrazy, tyczącemi się jego przeszłości [2]). Musiał wtedy—powiada—być bezczelnym, by nie zblednąć, jak trup; serce mu się krajało, a odpowiadał zimno, obojętnie, udając, że nie rozumie.

„To strach, jak wszystko wiedzą na świecie!" Przytaczano mu słowa, czyny jego własne; a jednak trzeba było przeczyć i to z dyplomatycznym, konwencyonalnym uśmiechem. Ale był to „śmiech konających," śmiech człowieka, nieszczęśliwego przez to, że coraz bardziej stawało mu się widocznem i dotkliwem, jak dalece i nieodwołalnie imię tej, którą kochał, puścił na łup językom ludzkim. „Biada mi! hańba mi!"

„Chwili jednej nie było — skarżył się przed Jaroszyńskim — żebym nie marzył o szczęściu jej, o chwale jej, o dobru jej, o piękności jej, a skutek jaki? Rozważ sam, powiedz, czy to nie szyderstwo,

---

[1]) Zob. Listy do Sołtana, Wiedeń, 23-go lutego 1837 roku, str. 78.

[2]) Zob. Listy do Jaroszyńskiego, str. 21.

nie zabójstwo, nie piekło? Co ja im zrobię tym wszystkim teraz! Mogęż usta paplaczy zamknąć na wieki? Co począć z dziewczynami i staremi babami?" Bo i cóż z tego, że onby je „w proch zetrzeć" pragnął, kiedy je musi bawić dowcipem! Mężczyźni zaś? „Mężczyzna żaden się nie przysunie, żaden nie zacznie gadać, kiedym ja przytomny! Rozkosz zemsty nawet niedostępna dla mnie!" Dopiero, gdy wyszedł, a więc kiedy nikomu już nie mógł nakazać milczenia, zaczynali „gwarzyć i szarpać."

Dlatego też ograniczył wizyty swoje do *minimum* i, stroniąc od tego towarzystwa, nacechowanego „drobnemi podłościami," bywał jedynie w „smutnym" domu ks. Konstantego Czartoryskiego i u księżny Lubomirskiej; z księżną radził, jak umożliwić przyjazd Maryi Sołtanównej do ojca[1]), albo rozmawiał o Rzymie, o Włoszech, za któremi ogarniała go coraz większa nostalgia, melancholia; szczególniej, gdy nadszedł karnawał, bale, maskarady, reduty.

Nie był na żadnej. Wolał marzyć o karnawale rzymskim z r. 1835, a pisząc do Sołtana, pytał stęskniony: co porabia krzyż na Koloseum? jak tam wyglądają białe nagrobki pod piramidą Cestiusza? „Czy droga moja Cecylia Metella wdzięczy się księżycowi Kampanii, jak dawniej? Czy też ona pamięta o mnie?" I wyobrażał sobie, że spaceruje po *due Marcelli*, że pali fajkę, rozciągniony w ulubionem

---

[1]) Sołtan, który w tym czasie utracił ojca i jednę z córek, przebywał w Rzymie. Córka jego, Marya, o której sprowadzenie chodziło, przebywała w klasztorze zakonu Wizytek w Kamieńcu Podolskim, pod opieką wice-przeoryszy, panny Szaduskiej.

swem „senatorskiem krześle“ kamiennem. W nocy zaś, pisał, „często bywam na Forum i czytając napis S. P. Q. R., myślę, że tak wszystko się kończy na ziemi.“ I prosił przyjaciela, szczęśliwego, że może oddychać boską wiosną rzymską, wschodzącą na gruzach, ażeby poszedł do Willi Róż, gdzie on tyle chwil przeżył szczęśliwych, a jeśli go miesiąc zastanie w ogrodach Cezarów, to niech pomyśli, że między ruinami „przesuwa się postać, na tych samych zadumana miejscach, postać bez pokoju i radości, postać, która wszystkiego żąda, a nic nie może, a która obecnie, zmuszona patrzeć na szare niebo, na ziemię zaszarzaną śniegiem i błotem,“ widzi dokoła same podrygi schorowanych, grypy, kaszle i kałuże flegmy. To też niech tylko Danielewicz zagrał coś z czasów, kiedy byli w Neapolu, z czasów, które dziś uważał za wiosenną epokę swego życia, uczuwał taką żądzę, taką poprostu, jak się wyraził, lubieżność skończenia bytu, że nie mógł nie westchnąć z żalu, skoro przebrzmiały akordy. W duszy swojej, zmęczonej teraźniejszą próżnią, nie widział nic, na czemby mógł wypocząć. Nic! „Żadnej gałązki zielonej po potopie, żadnej *oazis* na puszczy, żadnej nadziei na przyszłość! Pić opium i marzyć, to szczęście największe.“

Żeby choć mógł pisać! Ale i na to, niestety! widział, że braknie mu sił. „Duch bezwładności“ opętał mu głowę: w mózgu czuł „mgłę,“ z której nie wyłaniało się nic... Co najwyżej obawa ślepoty!

Raz tylko w nocy, nie mogąc spać, co mu się temi czasy przytrafiało nader często, siadł do stolika i, patrząc na świeżo przysłaną sobie z Wołynia miniaturę pani Joanny, „śliczną i żywą,“ przez Tor-

re'go [1]), Włocha z Wenecyi, malowaną, wpadł w zamyślenie, z którego po chwili wyrwało go „pytanie grzmiące w głębi duszy: Jaka przyszłość twoja?"

Pod tem wrażeniem napisał wiersz [2]), zaczynający się od następującej strofy:

> Mogłem być z tobą na ziemi szczęśliwy,
> Mogłem uwierzyć, że tu czasem wiosna,
> Spływając z niebios na śmiertelne niwy,
> Bywa, jak w niebie, świeża i radosna.

Tymczasem, powiada, chociaż nie z jego, ani z jej winy, wszystko wzięło odmienny obrót: przyszło do tego, że on, którego tak niedawno jeszcze „obwiewał śpiew Anioła-stróża," on, którego duszy stał niegdyś otworem świat duchów, znalazł się nagle sam, „wśród nieskończonego okręgu cieniów," w próżniach ducha, dokąd już żaden śpiew anielski, ginąc gdzieś „na kończynach świata," zdawał się nie dochodzić.

---

[1]) Włoch ten, nazwiskiem Torre, bawił cały rok na Wołyniu, w Zahajcach, i malował portret pani Bobrowej. Ukończywszy go, w powrocie do Wenecyi, zatrzymał się czas jakiś w Wiedniu. Odszukawszy tam Krasińskiego, oddał mu (niezawodnie z listem od kochanki) jej miniaturę, będącą wierną kopią pomienionego portretu. „Malarz, Włoch z Wenecyi, który rok siedział na Wołyniu i wiadomy ci obraz robił, przywiózł mi tu kopię śliczną i żywą. Mam ją na stoliku. Często w wieczór, sam jeden siedząc, marzę nad tym obrazem, aż mnie. przebudzi pytanie, grzmiące w głębi duszy: „Jaka przyszłość twoja?" I wtedy świat marzeń pęka i zdaje mi się, że coś twardego, obrzydliwego mnie obejmuje. I gdybym w takiej chwili mógł ducha w lepsze strony wyzionąć, bez cierpień konania, Bogu bym podziękował. Co z życia, kiedy siły spać muszą, spać będą coraz głębszą nocą; kiedy nic nie nęci, nie zapala, nie wstrząsa" i t. d. List do Sołtana z Wiednia 17-go stycznia 1837.

[2]) W listach do Gaszyńskiego na str. 92.

Ach! głos twój gdyby ponad mojem czołem,
Ozwał się, lecąc od dalekiej strony,
Choć raz się ozwał wiatrami niesiony,
Ten głos twój byłby mi takim Aniołem.

Przed nocą wieczną[1]) niech głos twój usłyszę,
Jak pieśń nadziei w. godzinie konania,
A może wtedy ponad grobu ciszę,
Wejdzie mi blady księżyc zmartwychwstania.

A jeśli, płacząc, na zgasłych źrenicach
Złożysz, jak kwiaty, twoje ciche ręce,
Grób spłonie ogniem i w stu błyskawicach
Słońc nieśmiertelnych obleją mnie wieńce.

Wiersz ten, napisany 20 listopada 1836 r., a więc niebawem po powrocie z Graeffenberga, był, rzec można, jak gdyby ostatnim błyskiem dogasającego kaganka; zmiana zaś, datująca odtąd w uczuciach poety dla pani Joanny, głównie zasadzała się na tem, że miłość—jak dogasający kaganek—zgasła ostatecznie, ustępując miejsca—z obawy przed zarzutem lekkomyślności—skrupułom, wynikającym z idei obowiązku, z osobistej szlachetności i poświęcenia[2]). „Wiem—pisał poeta 9 stycznia 1837 roku do Gaszyńskiego—iż trudno kochać, kiedy miłość znikła z duszy; ale—dodaje—jeśli ta, którą kochałeś, ma prawo do twej wdzięczności, winieneś z nią postępować tak, jak gdybyś ją kochał.“ Takie było jego zapatrywanie w tej mierze, zapatrywanie, które obecnie z bohaterskiem zaparciem się siebie postanowił z teoryi przenieść do praktyki, ponieważ to tylko różni ludzi od zwierząt, że mogą uczucie, popęd, „na-

[1]) Obawa ślepoty.

[2]) Zob. list do Gaszyńskiego z Wiednia 9 stycznia 1837 r.

miętność *zgasłą*“ sztucznie przeciągnąć w *zewnętrznych* czynach, jeżeli tak nakazuje honor, uczciwość, sumienie. W chwili, gdy zaciągamy dług — rozumował — powinniśmy wiedzieć, że ostatecznie wszystko się odmienia, rozprasza, znika: piastry, myśli, *uroki*. Nawet wspomnienie chwil czarodziejskich, musnąwszy duszę, „jaskółczo“ przemija w końcu.

Zgodnie z powyżej wygłoszoną zasadą, od czasu, jak bawił w Wiedniu, śmiało mógł powiedzieć o sobie, że tylko jednej prawdziwej pociechy doznawał, mianowicie: ile razy bywał w *Burg-Theater*, kiedy grano tragedye, a zwłaszcza, gdy występowała pani Rettich, której artyzm w Schillerowskiej *Dziewicy Orleańskiej* podnosiła jeszcze niezwykła uroda [1]). Że zaś „przeznaczenie ubłogosławiło duszę człowieka niewyczerpanem pragnieniem piękności i siły,“ i on więc także, patrząc, jak walczyła Joanna d'Arc—imienniczka jego kochanki — doznawał złudzenia, że jest w niebie. Czuł przytem, że iskra, udzielona przez bogów, dotąd mu się pali w piersiach... „Nie moja wina, jeśli płomienia z niej nigdy nie będzie.“

Po teatrze, zwykle kończącym się przed dziesiątą, wstępował najczęściej do księżny Lubomirskiej. „Ona mnie częstuje biszkoptami z wodą, ja jej sztuki, które widziałem, opowiadam. Zgromadzenie zawsze liczne nas otacza: cztery ściany,

---

[1]) „Kiedy patrzę na nią, czują strumień życia wpoprzek piersi wybuchający“ (do Sołtana 17 stycznia 1837 roku). W liście z Rzymu 9 decembra 1838 roku załącza następującą prośbę do przebywającego wówczas w Wiedniu Sołtana: „Rettichowej trzy za mnie poklaski, trzy silne, trzy głośne daj.“ Przedtem zaś, z Wenecyi, dnia 28 novembra 1838 roku, prosi: „powiedz też cokolwiek o Burgu, Co Rettich porabia?...“

piec piąty, dwie szafy, dwa stoliki, pół tuzina krzeseł, a w przedpokoju dwór zgromadzony czeka, aż wyjdę, by szlafmycę włożyć na głowę i do szlabana wleźć.“ Obfitszego stokroć, aniżeli teatr, dostarczało im tematu do rozmowy życie i cechująca je tragikomiczna gmatwanina: wyjazd Danielewicza do Białocerkwi, spowodowany śmiertelną chorobą ojca, i przybycie jego już po pogrzebie; lub niepokój o zdrowie hr. Wincentego Krasińskiego i niemożność uczynienia zadosyć nieustannym jego naleganiom i prośbom, wynikającym z chęci ożenienia jedynaka, czemu, jeżeli nie stawał już opór Zygmunta na przeszkodzie, to były inne względy, stokroć drażliwszej natury, które mu nie pozwalały stanowczo zastosować się do woli rodzica.

Pani Bobrowa! Gdyby nie obowiązki, jakie miał względem niej, i przeświadczenie, że jej musi dochować wierności, że liczyć się z nią trzeba koniecznie, ach! gdyby nie ta okoliczność, kto wie, możeby nawet przystał na związek z panną Julią Potocką [1]), którą mu teraz swatał jego ojciec, bo „panna piękna, jak anioł, ślicznie ułożona.“ Wszystko w niej zapowiadało dobrą żonę, i tok umysłu, i przyroda, i wychowanie. A przytem „talent do muzyki, jaki się tylko natchnionym trafia artystom.“ Obcując z nią, czuł, że byłby w stanie szczerze i „na wieki“ uko-

[1]) Julia Potocka, córka Alfreda, siostra młodszego Alfreda, namiestnika, prezydenta ministrów, etc. Wyszła za mąż za księcia Franciszka Lichtensteina. Była matką Alfreda i Aloizego Lichtensteinów, bardzo znanych z wiedeńskiej Rady Państwa. Umarła niedawno, przed trzema, czy czterema laty. Szczegółów tych o niej udzielił mi łaskawie prof. Stanisław Tarnowski.

chać tę młodą duszę [1]), i że byłby i błogosławiony, i szczęśliwy, i spokojny tym „ducha wielkim pokojem," który już na ziemi jest początkiem wieczności. „Szczęście albowiem niebios tem się zapewne różni tylko od tutejszego, że pojęte w pokoju, a zatem w nieskończonej trwałości; lecz ta różnica jest różną od mijających uniesień (a więc już tak nazywał swoją miłość dla pani Bobrowej!) różną na całą długość i szerz, dzielącą ziemię od nieba." Czuł, że w pożyciu z tą niepowszednią istotą znalazłby kojące lekarstwo dla swojej, przedwcześnie znękanej duszy. Grałaby mu na fortepianie, jak teraz Danielewicz, i żyliby szczęśliwie, jak para aniołów. Zważywszy to wszystko, widział, że „ogromne głupstwo" robi [2]), odtrącając dobrowolnie tę rękę i nie chcąc przyjąć spoczywającego w niej zadatku szczęścia... Niestety, choćby chciał nawet, nie mógł tego uczynić żadną miarą, ponieważ całą jego przeszłość zagarnęła inna kobieta... Ach! żeby tylko przeszłość! Lecz ona zagarnęła i całą teraźniejszość jego, pomimo, że w niej nie widział żadnej dla siebie przyszłości [3]). Już to pod tym względem nie mieli najmniejszej iluzyi, zarówno on, jak i Joanna. Kto wie, czy ona lepiej nawet, aniżeli on, nie zdawała sobie sprawy ze wszystkiego. Najlepszy dowód, że kiedy w nim—wtedy w Wenecyi—namiętność i rozkiełzna-

---

[1]) Do Jaroszyńskiego str. 33.

[2]) „Nie tylem głupi, żebym nie wiedział, żem głupi." (U St. Tarnowskiego, str. 95).

[3]) Wiedeń, 6 maja 1837 r. List w tomie drugim „Listów" (do Soltana) nie zamieszczony. „Wiesz, ile *kochałem* tamtą..."

ne żądze wrzały jak huragan, na nic się już nie oglądając, „ona przewidywała wszystko, co się stało, ona nigdy nie zapominała o przyszłości [1]).“ U niej rozsądek czuwał nieustannie, nie zasypiał ani na chwilę, pomimo, że nigdy nie wyglądała na *równą mu*, ale zawsze na jego ofiarę, poświęcającą się i to *z głęboką wiedzą, że się poświęca*. Dlatego lekkomyślnością byłoby nie liczyć się z nią! Wszak wiedział doskonale, że on — nie kto inny — był teraz dla niej wszystkiem, choć oddalony, choć w niczem codziennem, praktycznem, nie dotykający jej okręgów. Wszystkiem, ponieważ ją przed ludźmi i przed własnem jej sumieniem pozbawił pokoju, ponieważ wygnał ją moralnie z progów domowych, ponieważ ona mu wszystko poświęciła, i dziś jest nieszczęśliwą, bez dawnej wśród znajomych estymy, bez dawnego przywiązania do życia, do którego już była przywykla, bez dawnej równowagi serca i rozumu. Dziś jedyną jej ulgą, pociechą jest myśl, że on jej nie uwiódł, ale że ją kochał, że „poświęciła się dla kogoś, któremu warto było tę ofiarę uczynić.“ Gdyby się z drugą ożenił, zbyt dotkliwy zadałby jej cios w samo serce. „Nie pojęłaby nigdy, że można pojąć inną kobietę, a zostać jej przyjacielem, bratem, i kochać ją sercem, wdzięcznością.“ Gdyby się ożenił, „wydałoby się jej, że straciła dobrą sławę i może duszy swej zbawienie dla igraszki przewrotnego człowieka.“ On zaś przedewszystkiem za takiego uchodzić nie chciał. Dlatego oparł się woli ojcowskiej i choć wątpił, czy zdarzy mu się drugi raz w życiu sposobność poślu-

[1]) Listy do Jaroszyńskiego, str. 17.

bienia istoty tak idealnej, jak panna Potocka, postanowił nie łudzić dłużej ani jej, ani siebie...

W tym celu, aby ujść pokusie, z dniem każdym silniejszej, wyjechał do Kissingen; innego bowiem nie widział wyjścia z tego labiryntu „najdolegliwszych wrażeń okropnej skończoności," wrażeń, na których tle instytucya małżeństwa, nie wydawała mu się już, jak dawniej, kiedy pisał Nieboską komedyę, *la plus serieuse de toutes les bouffonneries* [1]). O kobietach za to, zamężnych zwłaszcza, trzymał nierównie mniej, aniżeli przed rokiem, „żadnej nadziei, ni rachuby" na nich nie pokładając, tak dalece, że raz jeden nawet odzywa się w jego słowach — w jednym z listów do Sołtana—jakiś rodzaj żalu, czy gniewu do oddalonej kochanki [2]). Wiedział, że mu ciężyła, że mu zagradzała drogę do szczęścia, że spotkawszy się z nim, znów go będzie dręczyła „ciągłemi przeskokami od namiętnych wybuchów do mroźnej obojętności." Co najgorsza, to że nie miał pojęcia, kiedy ją spotka i czy się wogóle spotka z nią jeszcze.

Prawdę powiedziawszy wolałby spotkania takiego uniknąć, przekonał się bowiem, że pani Joanna „jest niższą od jego wyobrażenia o niej, niższą nawet od niego samego..." Bo, niestety, żaden ideał nie sprawdza się na ziemi! „Dopóki w błękitach, on skrzydlaty, gdy zstąpi na dół, nosi konieczności kaj-

---

[1]) Już w styczniu 1837 r. pisał do Sołtana (str. 68). „*A propos* żądz i miłości, Sołtyk już żonaty, *a zatem nie dureń, bo trzydziestu lat niema.*" Gaszyńskiemu zaś następującą daje radę w liście, d. 14 maja 1838 r.: „Strzeż się miłostek, a jeśli kiedy z miłością się spotkasz, a okoliczności sprzyjać będą, kochaj i ożeń się."

[2]) St. Tarnowski, *op. cit.*, str. 95.

dany.“ W kajdanach tych widział się niewolnikiem, skrępowanym, bezwolnym, niewolnikiem, który nie był — jak w sonecie Mickiewiczą — z swojej rad niewoli, ale przeciwnie: buntował się, szamotał nieustannie, pragnął zerwać te pęta moralne, które, wrzynając mu się w duszę, sprawiały, że nie mógł spać, ani jeść. Kiedy czytał, nie rozumiał, o co chodzi autorowi; gdy pisał — a na nic innego prócz listów zdobyć się nie był w stanie — ledwo, że litery stawiać potrafił, „bo w mózgu, jakby pijane, zataczają się myśli.“ Na domiar złego był coraz gorzej z oczami. Niekiedy aż mdlał z bólu. Ale w duszy gorszy jeszcze ból *„z powodu wielu zdarzeń.“*

W takim humorze zastał go w Kissingen hrabia Wincenty Krasiński, schorowany, blady, wychudły, posępny, żądający odeń, aby się zapoznał z interesami, żeby z artystycznej przeszedł na praktyczną drogę, co, jak odgadnąć łatwo, autorowi wydanego w tym właśnie czasie *Irydyona* nie uśmiechało się bynajmniej. Na szczęście, tak był znudzony sobą samym i duszną atmosferą — do czego w niemałej zapewne mierze przyczyniała się obecność ojca — że mu było prawie wszystko jedno, co robić będzie i w którą go losy rzucą stronę. Bo, co się tyczy szczęścia, to już się nie spodziewał żadnego...

Tymczasem przed powrotem do kraju, gdzie go czekały owe praktyczne zajęcia, na które już wzdrygał się zawczasu, pragnął pojechać gdzie nad brzegi Renu, tam nająć jaką chatę i siedzieć sam zupełnie aż do połowy października, za jedynego towarzysza mając Jana, swego starego sługę [1]). Był tak zmęczony

[1]) „Listy do Sołtana,“ str. 102.

życiem, że mu ciężyło nawet towarzystwo Sauvana i Danielewicza!

Podróż taka, a raczej takie odcięcie się od świata i ludzi, czuł, że świetnieby wpłynęło na jego nastrój; odrodziłby się poprostu. Żyjąc w jakiem ustroniu, w ciszy, i chodząc nad rzeką, możeby znalazł jaki sposób zaradzenia swojej przyszłości, a przedewszystkiem możeby choć w części odzyskał dawną świeżość wyobraźni, której nawet „za grosz“ nie miał w sobie. O, dałby wiele za taki miesiąc pustelniczego życia! Ale skończyło się na tem, że nie pojechał nigdzie... Oczywiście, że nie była to okoliczność, któraby dodatnio wpłynęła na jego zły humor. „Wszystko wewnętrzne moje zdaje się jednego losu doznawać z tem, co zewnątrz mnie jest; to znaczy, że gnije pod ręką konieczności.“ Wskutek tego, o pisaniu, do którego tak go zachęcał Gaszyński, nie mogło być mowy, spokój bowiem, niezbędny przy tworzeniu, był „daleki“ od jego duszy. Natomiast coraz bardziej okrążały go „realne nudy, przymusy, fakty, życie praktyczne,“ pomieszane z „przeczuciem nędznego zawodu i końca,“ przeczuciem, które mu pióro wytrącało z ręki. „Kilka rzeczy on zaczął, ale dalej ich ciągnąć nie umie: nie chce mu się.“ Różne zamiary, a między innemi także i humorystyczne, komiczne (zaprawne śmiechem przez łzy) obok poważnych, jak Konfederacya Barska lub „Wandy myt“ snuły mu się po głowie, lecz wszystko to, stąpając „oporem,“ najczęściej leżało odłogiem, autor bowiem, jak mniemał, znajdował się w takiej porze życia, gdzie fantazya usycha „pod zwątpieniem“.

II.

Tymczasem pani Bobrowa, po całorocznym pobycie na Wołyniu, znów wychyliła się za granicę, a przyjechawszy do Frankfurtu nad Menem, gdzie się zatrzymała dla blizkości Wiesbadenu, dała znać Krasińskiemu, że mogą się zobaczyć. Nie jechać nie mógł! Musiał stawić się na wezwanie kochanki, trudno! „Och, ja oszaleję kiedy!...“ W takiem usposobieniu, pożegnawszy się z ojcem, którego odwiózł do Erfurtu, i po rozstaniu się z Danielewiczem, jadącym do Monachium, d. 15 lipca, choć w głębi ducha „przeczył zdarzeniom otaczającym,“ ruszył w stronę Frankfurtu. Nazajutrz stanął u celu podróży, a przyjechał w najgorszym nastroju. Mimo to, nie zważając ani na „rady własnego rozsądku,“ ani na „burze własnej rozpaczy,“ ani na „słabość znużenia,“ i pomimo, że wiedział z góry, iż mu widzenie to nie da „łez radości do ócz,“ ani mu „serca nie rozszerzy w piersi uczuciem szczęścia,“ przygotowany na wszystko, poszedł zobaczyć się z Joanną. Co się ma stać, lepiej, niech się stanie odrazu...

„Widziałem ją przez trzy dni... Powiem ci, żebyś jej nie poznał: smutek i choroba tak ją przetworzyły. Oczy jej z błękitnych w ciemne, przygasłe się zmieniły; piękność lica pozostała, ale martwa, osłupiała, a w duszy nic, prócz bólu ciągłego, mąk ciągłych i miłości dla mnie.“ On jednak, choć wmawiał w siebie i w nią, że jeszcze nie zobojętniał doszczętnie, nie był już zdolny na miłość jej odpowiadać miłością prawdziwą, niekłamaną, i czuł się „nie-

szczęśliwy" w głębi duszy, widząc, że „był kochany, a kochać nie mógł." Nigdy też nie zrozumiał tak dobrze, jak teraz, owej paradoksalnej *Lebensironie*, że „daleko wyższem jest szczęściem samemu kochać, niż być kochanym" [1]). Swoją drogą poczytywał sobie za obowiązek wyznać szczerą prawdę, objaśnić, jak rzeczy stoją, i nie łudzić zbytnio kochanki. Bo jakkolwiek pozostała mu drogą, jakkolwiek kochał ją „sercem, wdzięcznością," pragnąc na zawsze pozostać jej przyjacielem, bratem, to przecież nie kochał jej tak, jak dawniej, jakby pragnęła, żeby ją kochał jeszcze. A nie sposób przecież — zrozumie to każdy — przymuszać się do miłości, bo „są błyskawice i pioruny, lecz niema niw jednostajnych szczęścia." To też, pomimo najgłębszego przeświadczenia, że „serce kobiece o pioruny nie dba i chce mu się niw tych gładkich, jednakowych, konserwatorskich zawsze," oświadczył jej wręcz, że najlepiejby było, gdyby się rozstali na zawsze, gdyby ona zapomniała o nim... Po co się dłużej męczyć wzajemnie?

Około tej samej myśli był również osnuty wiersz, który jej teraz wpisał do albumu, wiersz nadzwyczaj bolesny dla pani Bobrowej, bo wyraźnie domagający się zerwania, rozejścia się. Oto jego ostatnia zwrotka:

> Ukląkłbym może, błagał przebaczenia!
> Lecz wy przebaczać nigdy nie umiecie...
> Daj mi więc jeszcze tu na żywych świecie,
> Co zmarłym dają: pokój zapomnienia!

Czegóż innego mógł, albo „miał prawo żądać od niej, lub mogąc, chciał," on, którego jaźń tyle już

[1]) Zob. w „Listach do Jarosławskiego" str. 23.

jej złego wyrządziła, choć była „aniołem dobroci“ dlań niegdyś? Ona jednak, ile że „kochała nadewszystko,“ jakąś spójnią magnetyczną przywiązana do niego, nie chciała słuchać o tem, żądając, ażeby ją nadal takiem samem, jak wprzódy „obłogosławiał szczęściem,“ na co on, rozdrażniony i zniecierpliwiony odpowiedział gorzko, że „szczęścia podług jej o szczęściu wyobrażenia nie ma na podorędziu...“

I wyjechał.

Wyjeżdżał przekonany, że to, co się z tych dni frankfurckich zostało w jego sercu, a mianowicie „smutek, zgryzota, *przywiązanie*,“ będzie mu towarzyszyło aż do końca życia. Czy i przywiązanie także? Wnosząc z jego listów z Frankfurtu, pisanych do Sołtana [1]) i do Gaszyńskiego, a przepełnionych skargami i złośliwemi uwagami na temat miłości i kobiet, nie bardzo się chce wierzyć, ażeby tego przywiązania pozostało tyle, ile zgryzoty i smutku. Gdyby tak było, nie pisałby z pewnością, w przystępie „ogromnego i poważnego smutku,“ że „niema miłości na świecie!“ „Ze wszystkich snów naszych jeden tylko urzeczywistnić można: przyjaźń.“ „Przyjaźń — zdaniem jego — nie żąda kształtu, lecz, opierając się na samej głębokiej treści rzeczy, ma w sobie coś purytańskiego, protestanckiego, surowego, coś, co się obejść może bez pędzla Rafaela, bez muzyki Belliniego; kiedy miłość prócz myśli, idei, wymaga jeszcze tego, co najszczytniejszem i najtrudniejszem jest na świecie: sztuki, widomej piękności, pewnego rodzaju katolicyzmu. Dla miłości, jak dla katolicyzmu, trze-

[1]) Do Sołtana z d. 24 lipca 1837 r.

ba pojednania harmonijnego najwznioślejszych ofiar moralnych z najbardziej nęcącemi, pięknemi kształtami materyi. Co to jest Madonna? Czyż to nie najurodziwsze ciało i najczystsza dusza? Co Chrystus? Najpiękniejszy i najcnotliwszy z ludzi? Co muzyka kościelna? Najsurowsze, a zarazem najmelodyjniejsze dźwięki, jak np. w *Requiem* Mozarta!" Po tych słowach następowała prośba pod adresem Sołtana, ażeby wybrał się w drogę i szukał „żyjącej kobiety, któraby *dorównała ideałowi miłości.*" . „Znajdź taką, w którejby boskim składzie forma była kwiatem materyi, dusza — kwiatem ducha; taką, któraby w objęciach twoich *czystą* została, a w podniosłości ducha jednak *twoją* była; taką, jednem słowem, którejby czyny nie popsuły ideału, a którejby ideał nie popsuł rozkoszy czynów! Jeszcze Bóg córki nie miał; dotąd Syna jego widzieliśmy tylko!" Tyle o kobietach.

Niemniej pesymistycznym był w tymże czasie pogląd poety na miłość [1]), której, zdaniem jego, pierwszą siostrą jest Rozkosz, drugą Rozpacz, trzecią Nicość.

„Pierwsza, Rozkosz, bosko piękna, lecz znika jak mgła w promieniach słońca; tajemnicza, z lepszego świata tu zjawiona, znika i przechodzi, kwapiąca się z powrotem do dalekiej ojczyzny. Spojrzysz, aliści już w oddali jej zasłona miesza się z chmura-

---

[1]) Zob. „Wyjątki z listów Zygmunta Krasińskiego" (Wydanie Konstantego Gaszyńskiego. Paryż 1860). Wyjątek z listu, datowanego z Frankfurtu, 1837 r., a niewłączonego (!) do tomu I-go korespondencyj poety. Filozoficznych refleksyi na temat miłości, zawartych w tym liście, nie podaję tu *in extenso* tylko w streszczeniu.

mi. Wydzierasz serce z piersi i ofiarujesz jej krwawe, byleby się zatrzymała; ona jednak się nie obejrzy: anioły ją na skrzydłach umarłą niosą do nieba. Tam zmartwychwstanie dla świata, ale nie dla ciebie. Druga, Rozpacz, jeszcze ma rysy przypominające urodę pierwszej: piękność to zawsze, tylko w konwulsyach. Wśród jęków i zgrzytań znać, że królewska córa, że nektar bogów wlał w nią pierwsze tchnienie życia. Gdy wyprości kibić, gdy wytęży ramiona, tęcze błyskają na niebie, błyskawice z pod stóp jej tryskają. W jednej ręce puhar ci podaje: bierz, bo kilka kropel szczęścia rozlanych, trucizną na dnie zostało; w drugiej sztylet trzyma: wydrzyj go, jeśliś śmiały, i zabij się; wówczas bowiem tylko ciało twoje skona. Jeśli tę chwilę opuścisz, odleci na wzór pierwszej i wtedy—jakkolwiekbyś się bronił — dusza twa umrzeć musi. Śmierć jej nieuniknionа.“ Dlaczego? Dlatego, że teraz dopiero przychodzi kolej na trzecią, najmłodszą z sióstr, Nicość, która zjawi się przed tobą, podobna nieskończoności, bez kształtu żadnego, niewidzialna, niedotykalna, niedostępna. „Uczujesz ją wszędzie: we dnie i w nocy; jak czas, jak przestrzeń, będzie z tobą. Spytasz, czego chce od ciebie? Nie odpowie. Zakniesz, by się oddaliła, przystąpi bliżej jeszcze. Będziesz chciał zapomnieć: dzieje przeszłe, twarz kochanej; wyżebrzesz u czasu, że ci jej rysy z duszy wygluzuje, lecz to ci ratunkiem nie będzie: przepaść tem głębsza wydrąży się w tobie, bo zupełnie pusta, żadną nie zaludniona postacią. Nicość cię z objęć swych nie wypuści. Zabić, zniweczyć można wszy-

stko, co *jest*, ale porwać się na *nic* i chcieć *nic* zatracić, te przechodzi siłę twoją. Owo *nic* od wszystkich światów silniejsze, które się rozprzestrzeniło w tobie, to pustynia, została po gmachach Palmyry... Proszę cię, zniszcz pustynię! Powiesz mi na to: odbuduj Palmyrę! Ach, mój drogi! Są inne miasta wielkie, w innych miejscach ziemi, ale nie ma Palmyry. Co się stało, stało się!"

Nicość ta, choć, ile mógł, wyrywał się z jej objęć, długo mu nie dawała spokoju. Trapiony nią, gdy nadeszła jesień, zjechał do Wiednia. Przyjechał razem z Danielewiczem, a zastawszy tu Sołtana, który go „widział szczęśliwym dni kilka" i księżnę Lubomirską, która go także „znała młodym," zdecydował się przezimować z nimi razem. Przekonany, że jedynie od nich spodziewać się może pewnej ulgi w chwilach „głębokiego smutku i zwątpienia," zaniechał marzeń o wiecznem mieście, willi Mills, Coloseum i wzgórzach rzymskiej Kampanii; bo choć „obrzydliwą jest zima," to jednak wolał towarzystwo przyjaciół serdecznych, aniżeli słońce i niebo włoskie.

Niestety, po za rozmowami z Sołtanem i Danielewiczem — przeważnie w mieszkaniu ostatniego— po za wieczorami w teatrze, ilekroć występowała pani Rettich, miał do walczenia z całem życiem swojem w „przeszłości i w przyszłości:" pierwsza rozdzierała go „wspomnieniami szczęścia niepowrotnego;"

Des Lebens Mai blüth einmal und nicht wieder,
Mir hat er abgeblüht...[1]).

[1]) Urywek ten z „Rezygnacyi" Schillera przytacza Krasiński w liście swym do Gaszyńskiego 9 Novembra 1837 r. (Wiedeń).

kiedy druga trapiła „przeczuciami niezawodnej zguby.“ Dlatego, ile razy był sam, w swojem mieszkaniu na okopach, zkąd miał widok na Kahlenberg — ledwo że Sobieskiego nie widział—ogarniała go „rozpacz,“ która mu często nie pozwalała zasnąć, tak, iż dopiero, gdy zaczynało świtać, „uciekał od dnia“ i zasypiał. Czasami znów, nie mogąc spać, rozgorączkowany zrywał się z łóżka, chwytał za pióro, i oto wiersze, które mu się wtedy „niejako same wydostawały z głowy,“ a które dowodzą, „jak dalece, jak gorzko nieszczęśliwym“ czuł się w czasie takich nocy bezsennych;

Wszystko, co kochałem,
Jak Bóg dalekie, lub jak chmura znika,

a jednak, „choć ręka śmierci przytknięta do serca,“ pierś żyje i „oddycha szałem.“ I nie widział wyjścia z tego błędnego koła:

Chyba czas przyjdzie, czas uczuć morderca,
Co wszystko zjedna, pogodzi, zabije,
Na starych różach z róż świeżych uwije
Nową koronę; lub nauczy szydzić
Z ułud młodości; i młodość pochowa.

Jedynie wtedy pierś jego, „dawnych marzeń wdowa,“ co czciła niegdyś, będzie nienawidzić! Tymczasem iskra geniuszu, która tliła w głębiach jego duszy, dzięki tej ciągłej walce, noszącej imię *towarzystwa*, gaśnie powoli — i

Dziś, niedojrzana, już tak wątła, mała,
Że może jutro, wśród ducha katuszy,
Wymrze, jak perła, długo nie noszona,
Zniknie, jak kropla w południowym skwarze.

skona, jako „kwiat w pączku nierozwity," a on zostanie, „jak stare ołtarze, na których leżą węgle i popioły, lecz bogów niema, ni ofiar, ni woni."

Gdybym nie kochał *śmiertelnej piękności,*
I ust nie złożył na *widomem czole,*
Byłbym tą iskrą spadłą mi z wieczności
Pożar rozniecił na ziemskim padole,
I duszę moją pozaludniał tłumem
Żyjących myśli; z nich *skleił postaci*
Wspaniałe, wielkie; boskich skrzydeł szumem
Byłbym się wyniósł nad głowy współbraci.
Dziś już zapóźnol...

Na myśl o tem upadał pod ciężarem „rozdzierających męczarni dumy, która celu nie dopięła," i „do wskazanego raz wepchnięty koła," nie mógł „skonać," chociaż „co chwila konał podwójnym bólem." Ból ten, obiegając myśli jego, „jak krew żyły," sprawiał, że mu wszystko — życie zwłaszcza — wydawało się szyderstwem, i że, dręczony różnemi niedobremi przeczuciami, z dziwną jakąś, niewytłómaczoną obawą myślał o najbliższej przyszłości. Nie minie dni wiele — pisał pod wpływem tego uczucia do Gaszyńskiego — a mnie się coś stanie; przejrzeć jasno, co? nie mogę, ale coś takiego, nad czem ty zapłaczesz tam, w twojej pięknej Prowancyi. [1])

W chwilach takich, szukając pociechy „w świecie ducha" (wiedział bowiem, że wszystko na świecie, prócz idei, „odbywszy swój krótki taniec" znika) czytał Hegla i Novalisa [2]), pijąc z nich „jakby

[1]) Listy t. I, 126.

[2]) Listy do Jaroszyńskiego, 27. „W takich chwilach, Edwardzie, patrząc na mnie, przyznałbyś, że Hegel nie jest lerstwem na wszystko..."

opium ulgi," chwilowe zapomnienie. Ale i ten środek, tak zachwalany przez Jaroszyńskiego, zawodził często, gdyż filozofia, jakkolwiek dobra na bóle cudze, ogólne, nie na wiele się przyda, jeżeli „cząstka naszego własnego serca dotknięta," jeżeli dusza człowieka „zasklepia się w sobie samej i toczy się sama, gryzie, rozdziera."

Wówczas gdy już i filozofia okazywała się lekarstwem bezskutecznem, uciekał się do innego, radykalniejszego środka. Środkiem tym! nie zawodzącym nigdy, była poezya, pisanie wierszy, w których poetyzował swe chwilowe nastroje i uczucia.

Oto jeden z takich wierszy:

Czy pomnisz jeszcze na Dożów kanale
Gondolę moją w weneckiej żałobie?
Czy pomnisz, jakem ja wiosłował tobie,
Patrząc na ciebie, patrzącą na fale?
Pod „Mostem westchnień" i moje westchnienia
Słyszane były. Krew moja płynęła
Blizko krwią ofiar zlanego więzienia,
Lecz, jak krew ofiar, w głazy nie wsiąknęła!
Wróciła nazad i szałem mi płonie
W sercu głęboko, na nieszczęście moje,
Bo ty daleko, a ja w innej stronie,
I dla nas szczęścia wyczerpnięte zdroje!
Bądź mi spokojna, patrząc na tej twarzy
Posępne rysy. Jeśli zginąć trzeba,
Po mojej śmierci niechaj ci się marzy,
Żem był szczęśliwy i wrócił do nieba [1]).

Tak przeszły zima 1837 i wiosna 1838 roku.

---

[1]) *Bibl. Warsz.* 1896, III, 490 — 495, w artykule L. Méyeta p. t. *Dla niej.* Autograf wiersza powyższego otrzymała w darze (od pani Bobrowej) pani Elżbieta Turkułłowa, obecnie w Żytomierzu zamieszkała. Wiersz ten nosi następujący podpis: „*30 Septembra* posyłając w wieczór." L. Méyet przypuszcza, że r. 1836 zdaje się być najbliższym napisania tego wiersza.

III.

W połowie maja, na żądanie ojca, który go wzywał do kraju, opuścił Krasiński Wiedeń, i razem z Danielewiczem, któremu również kończył się paszport, podążył w stronę Królestwa.

Jechał na Szląsk pruski, po drodze bowiem, w Saltzbrum, znów miał się spotkać z Joanną...

Przekonany, że nie on na nią, ale ona już tam na niego czekać będzie [1]), a przytem „niespokojny“ wielce, jechał bez wytchnienia, jak gdyby go „każda godzina stracona mogła pozbawić ostatniego uścisku jej ręki.“ Kiedy po pięciodniowej podróży, stanął na miejscu [2]), zaraz na samym wstępie doznał uczucia zawodu, rozczarowania; dowiedział się bowiem, że osoby, o którą mu chodziło, niema jeszcze, że spodziewaną tu jest dopiero za kilka dni. Nie pozostawało nic innego, tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać, osładzając sobie o ile możności czas spacerami, wycieczkami w okolicę, grą w bilard i t. d.

Pierwszy dzień, jak zwykle w takich razach, upłynął cały na oglądaniu miejscowości, która na poecie, jak i na jego towarzyszu, bardzo „pruskie“ uczyniła wrażenie. „Dzieci jedne tylko wieczorem mówią ci *Gut Abend*, a czasem kobiety; zresztą mężczyźni inni przechodzą w milczeniu wojskowem, na

---

[1]) Zob. List do Sołtana, Salzbrun, 19 maja 1838 roku. „Powiadam mu (pocztmistrzowi), że jadę do Salzbrunn, że tam jest kuzynka, z którąm się chował“ i t. d.

[2]) Około 27 maja 1838 roku. List bowiem LXII do Sołtana (u St. Tarnowskiego, *op. cit.* str. 97) nosi datę 29 maja.

formę Blüchera starając się wyprężyć.“ Nad każdym bilardem Fryderyk Wieki na koniu. „Wolę Madonny we Włoszech.“ Po południu, korzystając z pogody, poszli do starego zamku Fürstenstein, do którego przystęp okolony gęstym, głuchym borem, przypomina okolice, opisywane przez Jean Paula „Nagle stajesz nad dość głębokim jarem. W dole strumień huczy; boki spadziste, nastrzępione jodłami.“ Pośrodku doliny — podobnej do naszej Ojcowskiej — wznosi się opoka, równie odległa od obu brzegów a na niej gniazdo arystokratyczne grafów Hochbergów, zachowane w całości. Mury ostrołukami podparte, nakształt pałaców w Weronie, przez to ciekawe, że się w nich nic ani wewnątrz, ani zewnątrz od 1500 roku nie zmieniło. Wszędzie gobeliny, kantorki, wykładane szyldkretem i weneckiemi lustrami, ogromne krzesła, obite tkaniną ręczną, wyścielane haftami pań średniowiecznych, pań zadumanych, samotnych, romansujących z paziami. Ściany korytarzów pozawieszane staremi, zblakłemi portretami przodków: blade twarze mężczyzn i kobiet. „Muszą one o zmierzchu odrywać się od płócien i wlec się po zamku, dopóki kur nie zapieje.“ Wyszedłszy na szczyt wieży więzień, nad kaplicą, zkąd był rozległy widok na lesiste wzgórza, na wsie w uprawnych dolinach, na sine góry Czech, opasujące, jak okrągłe ramy, cały krajobraz, popadł Krasiński „w głęboką, w nieskończoną smętność.“ Opanowany nią, nie mógł, powiada, o czem innem rozmawiać z przyjacielem, tylko o upłynionych latach, o mostach zwodzonych, o tych ludziach od stóp do głowy zakutych w żelazne zbroje, którzy na wzór orłów obierali sobie szczyty gór

na mieszkania... I zamarzył się do tego stopnia, że „mimo niespokojność, mimo tęsknotę," doznawał złudzenia, jakoby surdut jego w kolczugę się przedzierzgnął... „Nie kapelusz, ale hełm przytykał mi do skroni." Tak przyodziany w swej bujnej, romantycznej wyobraźni, „lekki w ciężkim pancerzu," patrząc na drogę, którą, spodziewał się, że miała jechać jego Egerya, zapraszał ją „spojrzeniem" do tego zamku; do Danielewicza zaś, o którego wsparty, rozglądał się po całej dolinie, mówił: „O, daj mi kochankę w takiem ustroniu... Niech choć jedną noc z nią przebędę w tych komnatach gotyckich. Niech od wieczora do ranka marzę, iż jestem częścią przeszłości, a nie teraźniejszej doli poddanym; niech ona będzie panią zamku tego: a nazajutrz puszczę się z mężniejszem sercem tam, gdzie iść *muszę*, gdzie ja sługą będę!"

Pani Bobrowa jednakże, wbrew wszelkim przewidywaniom z jego strony, jeszcze kilka dni dała mu czekać na siebie. Tymczasem pogoda była fatalna, dżdżysta, chłodna i wietrzna, co uniemożliwiając spacery i wycieczki w okolice, a zmuszając do siedzenia w oberży, w tem wyższym stopniu unieprzyjemniało nudne czekanie. Na domiar złego, Krasiński był smutny wciąż, zamyślony i roztargniony, co widząc Danielewicz, „wściekał się," zwłaszcza gdy z nudów grali w bilard lub w szachy...

Smutek ten, wynikający, jak się domyśleć łatwo, z „niespokojności," miał z chwilą przyjazdu pani Joanny ustąpić miejsca dziwnemu jakiemuś, a trudno określić się dającemu uczuciu, którego na razie sam nawet Krasiński dokładnie określić nie

umiał... Dziwne bo też to było uczucie! Kto wie, czy nazwa litości nie byłaby dlań najodpowiedniejszą?... Widok kochanki, zmienionej bardzo od czasu ostatniego widzenia się ich we Frankfurcie, nie mógł w sercu poety nie obudzić współczucia, nie mógł go nie zmiękczyć, nie wzruszyć. Że tak było, dowodem pierwszy dzień spędzony z nią razem, u jej stóp, dzień, który mu cały minął „jak sen, pełen tęsknoty," a po którego upływie zdawało się poecie— o ile nie starał się tego wmówić w siebie—że nie kochać jej nie leży w jego mocy [1]). „Im słabsza— spowiadał się przed Sołtanem—im smutniejsza, *im coraz bardziej tracąca piękność dawną*, tem mocniej lgnie serce moje do niej. Czasem, kiedy się zamyśli i spojrzy, Bóg wie, gdzie, rzekłbyś, że letarg ciemnego obłąkania się zaczyna." Na widok ten powiada, serce się w nim krajało, i całował jej ręce, błagając na klęczkach, ażeby przemówiła, ażeby nie przerażała go dłużej taką zadumą Ofelii. I czuł „w duszy" łzy, chociaż ich nie miał w oku.

Współczucie to wszakże, wywołane pierwszem wrażeniem, trwało niedługo. Oswoiwszy się z żałobną postacią kochanki, nie widząc w niej piękności dawnej, którą, jak uważał traciła coraz bardziej, nie mógł się opędzić smutnej refleksyi, że biada temu, kto z naiwnością dziecka, z marzeniem o szlachetności, targnął się na cudze prawa: żonę od męża oderwał, matkę od dzieci.

---

[1]) *Moja Beatrice*, str. 5: „Wmawia w siebie, w nią i w przyjaciela, że ją kocha, a czasem wyrywa mu się mimowoli jęk bolesny, świadczący o prawdziwym stanie jego duszy."

„Jam to uczynił, *myśląc, szalony! że na tej drodze poezyu i wiosna.* I oto poniżeniśmy oboje: ja przed sobą, ona przed światem.“

Z drugiej strony, będąc już w gruncie rzeczy zimnym i obojętnym, czuł się zmęczony tym despotyzmem kochanki, wymagającej, ażeby wszystek swój czas jej wyłącznie poświęcał, „z nią, przy niej,“ i dlatego donosząc przyjacielowi: „Jutro wyjeżdzam,“ nie dodał jak dwa lata temu: „Jutro kończy się młodość moja,“ lecz: „Gdy przyjdzie pojutrze, wszystko już będzie przeszłością.“ Myśl o tem przynosiła mu ulgę.

IV.

To spotkanie w Salzbrunn, męczące dla Zygmunta, a bolesne dla pani Bobrowej, miało być ostatniem. Przybywszy do Opinogóry, spotkał się tu Krasiński zaraz pierwszego dnia po przyjeździe z prośbą i groźbą ze strony ojca, „z płaczem i rozkazem,“ ażeby zerwał ten kompromitujący go tylko stosunek, w którym, jak sam zresztą widzi najlepiej, niema dlań żadnej przyszłości. Perswazye te, jak to było do przewidzenia zresztą, wywołały niechcący szereg zajść przykrych pomiędzy ojcem a synem; w miarę bowiem, jak pierwszy nalegał, drugi odmawiał „statecznie,“ co wobec drażliwej niesłychanie na opór woli hr. Wincentego równało się — w jego przynajmniej o obowiązkach synowskich wyobrażeniu — zuchwałości i nieposłuszeństwu. Rzecz prosta, że wo-

bec takich warunków wspólny pobyt pod dachem rodzinnego domu był dla obu męczarnią: dla ojca, ponieważ, jako generał, przywykł do rozkazywania i, wymagając od jedynaka, jak od żołnierza, bezwzględnej, iście wojskowej subordynacyi, nie znosił opozycyi; dla poety zaś, ponieważ czuł i rozumiał, że czyniąc zadość rodzicielskiej radzie, postąpiłby wbrew swemu przekonaniu, wbrew głosowi sumienia i, co najgorsza, wbrew swym pojęciom o honorze i uczciwości. Z drugiej strony, widząc, że dzięki zatargom tym wypadł znacznie z łask ojca, wyrzucał sobie, że w niczem nie odpowiedział jego myślom, „choć myśli te dobremi i słusznemi były," i że, zamiast wdzięcznością odpłacać za dobroć, tylko mu „niektóremi czynnościami swemi," a przedewszystkiem romansem z panią Bóbr, zakrwawiał serce. „Ileż razy na dzień — pisał do przyjaciela — spojrzeniem lub słowem nieznaczącem ojciec mi objawia, żem jego nadzieje zniszczył i że oba samotni jesteśmy na ziemi." Ażeby tego rodzaju spojrzeń i słów nieznaczących o ile możności uniknąć, spędzał autor *Irydyona* wieczory najczęściej u siebie, w swoim pokoju, sam jeden. „Świeca gdzieś za parawanem tleje, myśli moje snują się bez końca, ale nieskończonością goryczy, smutku i wstrętu." Życie takie nie mogło nie być przykrem, zwłaszcza dla Zygmunta, który sobie doskonale umiał zdawać sprawę, że postępowaniem swem „zabija" ojca i że nawzajem sam zabijany jest przezeń... Wobec tej nadmiernie rozwiniętej w nim świadomości, nie prześlepiającej niczego, ale, przeciwnie, jeszcze dramatyzującej wszystko, dziwić mu się nie można bynajmniej, jeżeli teraz w Opinogórze

chory był na umyśle i na sercu, jeżeli go choroba ta „ssała nakształt raka," z najlepszych ogałacając sił, i jeżeli w „niczem nieuleczalnej" nieraz pogrążony tęsknocie, sądził, że oto się już dostał do piekła „nie do owego, gdzie płomień bucha, ale do gorszego, gdzie próżnia nieskończona i brak wszelkiej nadziei i myśli, do piekła dusz, które niegdyś żyły w niebie i poszły na wygnanie potem, i czują dobitnie, w każdej czasu sekundzie, że nigdy do nieba nie zdołają powrócić..." Nic straszniejszego bowiem, jak takie życie w warunkach, gdzie dwóch ludzi, ojciec i syn, którzy by powinni się kochać wzajemnie, „i czują, że powinni, i czują, że Bóg ich na to stworzył, nie cierpią się lub nudzą jedni przy drugich, nie rozumieją się nawzajem." A właśnie takiego pożycia syna z ojcem był teraz świadkiem pałac w Opinogórze. „Dwory, otoczone łanami zbórz spokojnych i sadem drzew owocowych, gdy wejdziesz w ich progi, piekłem ci się wydadzą: nie owem, gdzie grzmi piorun Bożej potęgi, i gdzie szatan Miltona zasiada na tronie wśród nieskończoności cieniów, ale piekłem potocznem, piekłem codzienności, kędy szkieletów i żmij niema, ale są krople zatrutego oleju, sączące się jedna po drugiej do lampy życia, i kolce drobniutkie, podobne kaktusowym, których dojrzeć nie potrafisz, a zatem wyjąć nie możesz, które jednak całą rękę przejmą ci świerzbieniem, bólem i gorączką. W takich ustroniach piekielnych najwięcej serc zwiędło na ziemi [1])."

Tak upłynęło trzy tygodnie. Z nadejściem

[1]) Listy do Edwarda Jaroszyńskiego, str. 17 i 28.

czwartego, hrabia Wincenty, przekonawszy się, że nic na synu wymódz nie może, postanowił, nie zważając na jego błagania i zaklęcia, chwycić się radykalnego środka. W tej myśli, nie widząc na razie innego sposobu zakończenia sprawy, udał się na Wołyń, do Zahajec. Tam rozmówił się osobiście z panią Bobrową i, przedstawiwszy jej, jak rzeczy stoją, uzyskał od niej samej „poparcie w nacisku," jaki wywierał na syna.

Powróciwszy do domu, przywiózł poecie „kilka słów od niej, drżącą ręką pisanych," w których mówiła, że *musiała* zgodzić się na to, by ostatni raz list ten do niego napisać, bo tak, jak on nie mógł przystać, tak ona nie mogła nie przystać.

Co się działo w duszy Krasińskiego przez czas, kiedy ojciec jego bawił na Wołyniu? Jakie myśli przesuwały mu się przez głowę, kiedy sobie wyobraził spotkanie generała z Joanną i scenę, jaka się rozegrać pomiędzy nimi musiała, nim przyszło do skreślenia drżącą ręką owych „kilku słów pożegnania *na zawsze*?" Tego tajemnicę poniósł z sobą poeta do grobu. Bądź co bądź, był to niezmiernie posępny widnokrąg w jego życiu, widnokrąg, którego myśli i trosk nawet Sołtanowi—choć zwykle żadnych dlań nie miewał tajemnic—powierzyć nie chciał. Zaznaczył tylko — w liście z d. 20 lipca 1838 — że te dwa miesiące zostawiły mu w umyśle wrażenie całego roku: „tyle odmiennych położeń i stanowisk doznałem."

Na domiar złego, ojciec, mając w ręku, czarno na białem, oficyalne zrzeczenie się ze strony pani Bobrowej wszelkich praw do Zygmunta, zaczął go

znów swatać i namawiać, żeby się żenił, stawiając za przykład Danielewicza, który się właśnie zakochać zdążył w pannie Krzyżanowskiej i myślał, ożeniwszy się, osiąść na gospodarstwie. Autor *Irydiona* atoli „wzdrygał się na samą myśl o małżeństwie, jak gdyby nastąpił na łuskę węża.“ Wiedział, „że wskrzeszać umarłych jest szalonym zamiarem; a śmierć udać za życie, trupa rzucić komuś do boku, zamiast ciała pełnego krwi i ducha, to obrzydliwa rzecz.“ Zatraciwszy już znaczenie słowa *kobieta*, od chwili, kiedy mu „świeżość młodości“ stała się obcą, żadnych sobie co do przyszłości swej nie robił iluzyj, przekonany, że cokolwiek mu się jeszcze zdarzyć może w życiu, będzie formą tylko, nie treścią, fałszem nie prawdą, „liberyą, włożoną mu na barki, a nie własną szatą, musem a nie wolnością, męką a nie pokojem;“ dlatego, jak się wyraził, sam wyraz *swaty* brzmiał w jego uszach na podobieństwo innego, mianowicie *pogrzeb*. „Stałem się uosobioną troską i tęsknotą,“ skarżył się w jednym z listów z tego czasu, a ta możność spowiadania się przed przyjaciołmi, w listach do nich, była najzbawienniejszym upustem dla jego trosk i rozpaczy.

Szczególniej gdy się wywnętrzał przed Jaroszyńskim, ten bowiem, jako sąsiadujący z Bobrami, miał często sposobność widywania pani Joanny, rozmawiania z nią, pocieszania jej. Wysyłał też doń teraz poeta list po liście, prosząc go w każdym, by czuwał nad nią i, jeżeli jej położenie kiedykolwiek wymagać tego będzie, nadbiegł jej na pomoc, a jego zaraz o tem uwiadomił. „Donieś mi też (pisał do niego np. w liście z Opinogóry z d. 27 sierpnia 1838 r.)

co się z nią dzieje? Co mąż robi? W jakim ona stanie umysłu? Bo zupełnie przerwane są między nami komunikacye; a codzień czuję, jakby przekleństwo, wiszące mi nad głową, za to, żem dowiódł ją do nieszczęścia. Ona i ja będziem tego znamię całe życie nosili."

A jednak, wśród tych katuszy moralnych, miewał i takie chwile, w których rad był po prostu, że się wycofał z tego „kału zawsze go zawracającego a nieruchomego, z tej czarnej, piekielnej, przeklętej tęsknoty, co mu groziła *zgłupieniem* ostatecznem i pozbawieniem wszelkiej siły." W chwilach takich, choć zbolały i smutny, nie mógł się oprzeć myśli, że jest już przecie zwolniony z tak ciężkich więzów, zamykających przed nim przyszłość, że ta przyszłość znów do niego należy i że może mieć jeszcze dni jasne i piękne [1]).

V.

Na początku listopada wybrał się Krasiński razem z ojcem do Włoch [2]). Danielewicz został w kra-

---

[1]) X. Jan Gnatowski, *Moja Beatrice*, str. 6.

[2]) Do tego czasu nie bawił Krasiński wyłącznie w Opinogórze. Z listu do Sołtana (Opinogóra, 20 lipca 1838) dowiadujemy się, że „tydzień temu wrócił na wieś z Warszawy, gdzie piętnaście dni spędził." Tydzień temu t. z., że do Opinogóry przybył około 13 lipca. Przedtem dni 15 w Warszawie t. z., że wyjechał z Opinogóry w końcu czerwca. A ponieważ przybył tam z za granicy 5 czerwca (patrz list do Sołtana z Torunia 7 czerwca 1838), ojciec zaś po trzech tygodniach nic na nim wymódz nie mogąc, udał się do pani Bobrowej, więc kiedy Wincen-

ju, przy pannie. Zdaniem Zygmunta, dobrze zrobił. Jadąc z nim, musiałby, jak on, we wszystkiem stosować się do generała, „żyć życiem nie swojem, lecz cudzem, wstawać o czwartej zrana, kłaść się o ósmej w wieczór, jeść o dwunastej obiad etc., słowem tysiąc drobnostek odbywać", które jemu, jako synowi, „słodziła idea obowiązku, a które nikomu drugiemu do miaryby nie przypadły." Z Danielewiczem wreszcie i generał, którego zdrowie było w tym czasie „nieszczególne, a humor także", musiałby się żenować. Dla poety jednakże, przywykłego podróżować inaczej, przeprawa ta przez deszcze i śniegi w górach w ciągu ośmiu dni i nocy bez ustanku, nigdzie nie odpoczywając, nie należała do

---

ty Krasiński był na Wołyniu, autor *Irydyona* przeniósł się na ten czas do Warszawy. Następnie w interesie swego „folwarku pruskiego" (Kleszczewko pod Gdańskiem) spędził kilkanaście dni w Gdańsku, który nazywa „miastem starem, pięknem, gdzieniegdzie podobnem do Wenecyi", tej Wenecyi, w której przed paru laty (1834) „prawdziwie był szczęśliwy" Dlatego to w Gdańsku teraz „chodzę po ulicach — pisał do Sołtana — a nieznośnie mi ciężko, tęskno, niedobrze." Wspomnieniom też owych „dni jedynych i zbiegłych", w Wenecyi przeżytych w towarzystwie pani Bobrowej, trzeba przypisać następujący ustęp z listu do Sołtana (Gdańsk 12 sierpnia 1838): „Zdaje mi się, że jest prawem stworzenia, iżby człowiek coraz bardziej smętniał, im dalej postępuje w życie. Zrazu tęcze się snują, przewodniczki nadziei, potem prysną zwodnie, i coś mienił światłem, w deszcz się przetwarza; później i deszczu nie znajdziesz nigdzie, choćbyś kroplę jego rad z chustki wycisnąć i niemi usta odwilżyć. Będzie pogoda szara, sucha, pod nogami piasek, mgła nad głową. i w mgle utoniesz na wieki." W liście do Gaszyńskiego zaś (Gdańsk 13 sierpnia 1838) znajdujemy twierdzenie, że „zatrute owoce z miłości się rodzą; póki kwiat, póty wiosna tylko."

Po powrocie z Gdańska do domu, gdzie zatrzymał się na 10 dni, pojechał jeszcze „do Litwy" (we wrześniu). Październik zeszedł mu częścią w Opinogórze, częścią w Warszawie. Ciągle z ojcem,

najprzyjemniejszych. Co za kontrast z dawniejszemi podróżami, z ową „najpiękniejszą“ np. w roku 1834, kiedy to „w powietrzu rozlany był szał miłości, namiętności, nadziei, zachwycenia!“

Co za przepaść, zwłaszcza pomiędzy owym tygodniem, wówczas spędzonym w Wenecyi, a teraz! To samo miasto, które dlań było „snem piękności“ do niedawna, które nazywał „swoją kochanką wśród miast wszystkich“, wyglądało mu dziś tak smutno, że go aż serce bolało, i sądził chwilami, jakoby wszystko już zmartwiało dla niego i oniemiało na ziemi [1]). To niebo turkusowe, które mu już nie świeciło nad twarzą kochanki, ani nad bladem licem przyjaciela [2]), te wody, te pałace, te gondole, wszystko to niegdyś „tak szczęśliwe“, obecnie „jak grób“ stało przed nim. „O, nie wracaj nigdy do miejsc, kędy szczęśliwy byłeś; już w nich nie zastaniesz szczęścia dawnego, a wydadzą ci się trupem, z którego wyleciała dusza, i mniej jednym, cudnym rajskim obrazem będziesz miał w pamięci życia twego.“ Na San Benedetti natknął się przypadkiem na malarza Torre'go, swego dobrego znajomego z roku 1835, gdy tu był razem z Joanną... [3]) Mój Boże! Ileż to wspomnień budziło się w nim na widok tego ogorzałego Włocha, który im wtedy przy akompaniamencie gitary śpiewał weneckie *canzony*. Iluż chwil

---

[1]) List z Wenecyi do Sołtana, z dnia 15 listopada 1838 roku.

[2]) List z Wenecyi do Gaszyńskiego, z dnia 18 listopada 1838 roku.

[3]) Listy, II, 123.

szczęścia i upojenia, których oni owego pamiętnego lata kosztowali w całej pełni, człowiek ten był świadkiem! Jakże im było błogo przy jego śpiewie, w jego pracowni, gdzie mu wtedy pani Joanna pozowała do portretu!

Portret ten, zaczęty w Wenecyi, został wykończony w Zahajcach, dokąd pani Bóbr sprowadziła sobie Torrego, ażeby przy sposobności zrobił jeszcze kilka innych portretów... Tym sposobem spędził młody Wenecyanin, malarz i śpiewak w jednej osobie, blizko rok na Wołyniu, malując różne portrety i miniatury, oraz przyśpiewując pani Joannie, lubiącej słuchać tych samych pieśni, które jej śpiewał w Wenecyi, gdy tam bawiła z Zygmuntem... Wracając później, w r. 1836, z Wołynia, przez jakiś czas bawił w Wiedniu, gdzie też, dzięki protekcyi Krasińskiego (któremu przywiózł miniaturę kochanki, razem z listem od niej) malował portret Marysi Sołtanównej.

Teraz, po powrocie do swego rodzinnego miasta, w dalszym ciągu nie tracił fantazyi, a chodząc po ulicach i *piazettach* Wenecyi, pośpiewywał sobie wesoło. A bo mu to źle było na świecie! „Włoch prawdziwy! Gdzie pędzlem nie może, tam głosem nadrabia!“ Pyszna postać!

Swoją drogą, to spotkanie z człowiekiem, który go znał niegdyś wesołym i szczęśliwym, w tem „sroższą“ jeszcze pogrążyło Krasińskiego samotność: „nie ową zewnętrzną (ta bowiem nie była mu nigdy wstrętną), ale ową wewnętrzną, w której serce kona powoli.“ „Ach! wczoraj, nocą, kazałem się wieźć gondolą, po tych śpiących, czarnych kanałach. Przy-

pomniałem sobie, że niegdyś, przy księżycu i słońcu, na wiosnę i w lato [1]), przy muzyce i z przyjaciółmi [2]), otoczon wszystką rozkoszą życia, na tych samych wodach pływałem; i stało mi się tak gorzko, że mi się wydało, jakobym już przeszedł *il ponte dei sospiri*, życia mego" [3]).

Podobne wrażenie, jak teraz Wenecya, zrobił na nim, w trzy tygodnie później, Rzym. Przybywszy tu, ujrzał odrazu „całą młodość swoją, wracającą na te miejsca, jak duch Irydyona, po latach wielu." Dopóki jechał przez Kampanię, doznawał dziwnego, poprostu „niezrozumiałego" spokoju ducha; ale zaledwie kopuła św. Piotra, rozigrana w promieniach słońca, zamajaczyła na widnokręgu, zaraz ów spokój pierzchnął, jak sen, i powróciła dawna „niespokojność", wróciły „zmory, z których uwite życie." Od tej chwili począwszy, dręczony różnemi przywidzeniami, niczem *Furiis agitatus Orestes* [4]), wstąpił w najprzykrzejszą, jaka istnieje, fazę psychiczną: w fazę wy-

---

[1]) „Na wiosnę i w lato." Ma tu Krasiński na myśli wiosnę roku 1834 (druga połowa maja), oraz lato roku 1835 (wrzesień).

[2]) Z Jaroszyńskim i Danielewiczem w r. 1834.

[3]) Zob. Listy t. II. Wenecya, 16 novembr. 1838. W kilka dni później, w liście z d. 23 nov. 1838 r. zapytuje Krasiński bawiącego w Wiedniu Sołtana: „Powiedz też cokolwiek o Burgu. Co Rettich porabia?" Dowodzi to, że obok wspomnień o pani B. znalazło się jeszcze w umyśle poety dosyć miejsca na wspomnienia o powabnej aktorce z *Burg-Theater*.

[4]) Tak się podpisał poeta w jednym z listów do Małachowskiego; przydomek ten nadał sobie również w liście do Juliusza Słowackiego, w którym mowa o pani Bobrowej. (Rzym 16 marca 1841 r.). „A nie myśl, Julu, by się tu odzywał ze mnie *Furiis agitatus Orestes*, nie, cichym teraz, jak dzięcie" etc.

rzutów sumienia. „Czy ty wiesz, co mnie czeka? Czy ty wiesz, że może za pół roku obaczę się w najdzikszem, w najzagmatwańszem położeniu, gdzie stracę rozum, nie wiedząc, komu się powierzyć: czy dyablu, czy aniołowi stróżowi, czy przypadkowi ślepemu, czy rachubie. I jędze mnie rozszarpią... Już i modlić się nie umiem za siebie!“ Gdy wchodził do kościoła, chwytał go „jakiś wstręt, jakiś dreszcz,“ a kolana sztywniały, jeżeli chciał uklęknąć. „Chcę zacząć Zdrowaś Marya, a to imię *Marya* samo jedno tylko z ust moich wychodzi, reszta w gardle utyka“ [1]). Kiedy pomyślał, że „teraz ona smutna i cierpiąca, bez nadziei jakiejkolwiek przyszłości“, kiedy widział w wyobraźni swej „jej twarz bladą i coraz bledszą“ i „w oddali samotne łoże choroby, samotną śmierć“, kiedy ją sobie wyobrażał wspominającą dzieje przeszłości—owe dni jedyne i zbiegłe—i wymawiającą jego imię: „a to imię odbija się tak żałobnie, tak kamiennie w sercu nieszczęśliwej“, że ona sama, być może, doda do niego przekleństwo, lub krzyknie: „o Boże, czemuś nasłał na mnie tego człowieka“; kiedy pomyślał o tem, och, wtedy, „wtedy piekło stawało mu się zrozumiałem, jasnem, widomem, dotykalnem.“ Albowiem nic nie przemawiało za nim! Wszystko potępiało go, wszystko „przebłagalnych domagało się ofiar!“ Wszystko! Nawet „trybunał rozumu!“

Takiemi „larwami“ otoczony [2]), zazdrościł Ja-

---

[1]) Listy do Jaroszyńskiego, str. 22.

[2]) Zob. List do Jaroszyńskiego. Neapol 29 Decembre 1838 r.

roszyńskiemu, który, siedząc na wsi, studyował Hegla, spokojny, nie wiedząc zupełnie, „co to pamięć kochanej, połączona z wyrzutami, co to jej głos cichy, we wnętrzu duszy szepczący.“ Nieraz, bywało, ludzie posnęli już dawno, a on, w gorączce, leżał z otwartemi oczyma i lękał się tego głosu, który mu brzmiał koło uszu. „I radbyś go zatrzymać, by przez wieki mówił do ciebie, i chciałbyś go odegnać...“ Chwilami znów, chcąc poprostu „oszukać siebie“, rozumował sofistycznie jak adwokat, broniący sprawy, w której nieskazitelność nie wierzy, iż coś przecież „dobrego i świętego“ przejęła odeń, że światy ducha, które on przed nią roztaczał, a w które ona uwierzyła, nie mogły nie wywrzeć na nią dobroczynnego wpływu. Ale rozumowanie podobne, niestety, nie zyskiwało aprobaty sumienia, które mówiło, że kochanka, „na szczęściu zawiedziona“, złorzeczy teraz wszystkiemu, czem ją natchnąć pragnął, i że, rozważając rzecz po kobiecemu, ze swego punktu widzenia, nawet o samej idei tych natchnień źle trzyma i zaprzecza im „w goryczy serca...“ A dlaczego? Ponieważ natchnienie to „widomego nie przybrało kształtu“, ponieważ słowom nie dorównywały czyny, a „dusza niewieścia tem się różni od męzkiej, że prawdę pojmuje przez objawienie jej, nigdy zaś *à priori*. One wszystkie podobne Tomaszowi, co ran potrzebował się dotknąć palcem, by sercem uwierzyć w Zmartwychwstanie Pańskie.“ Winy jego względem niej nikt ocenić nie zdoła prócz niego samego, albowiem on tylko widział — wtedy w Wenecyi — błagalny wyraz jej twarzy, na który nie zwa-

żać i walczyć z nim, było poprostu „okrucieństwem“ i „najogromniejszem samolubstwem“ [1]).

Przekonany o tem, trapiony „żalem niezapomnianym, nieuniknionym“, uciekał z domu, całe wieczory spędzając samotnie, „zamyślony nad dniami przeszłości.“ I kiedy nad „piołunem piasków“, nad sitowiem bagnisk, nad samotnemi sosnami wzgórz, nad cyprysami dolin, kołowały cienie nocy [2]), on szedł, jak duch Irydyona, przez *via Sacra*, przez drogę zwycięztw, po stopniach żwiru i błota na *Forum Romanum*, i patrząc na zwaliska, spowite w bluszcz, „zieloną rozkosz jaszczurek“, błądził po tej przestrzeni ruin, niby po własności swojej, tak ogromnie smutny, „taką nocą obleczon“, że był „jako głaz, zdatny do leżenia między głazami.“

Marząc tak, przy świetle gwiazd, migających na sinym stropie nieba, „jak tysiąc złotych wspomnień i urągań“, zachodził do Koloseum, i tu, na milczącej arenie, na piasku srebrzystym, wśród arkad przemienionych w dzikie skały, z bluszczami u wierzchołków, z czarnym, drewnianym krzyżem pośrodku, w miejscu, gdzie stali Nazareńczycy, szarpani kłami tygrysów i lwów, wszystko co przeżył, co wi-

---

[1]) Zob. Listy do Jaroszyńskiego, str. 17. W jednym z listów do Słowackiego, gdzie mowa o pani Bobrowej, przyznaje się Krasiński, że „zapewne nie zawsze po chrześciańsku lub po katolicku, po stoicku lub po cnotliwemu“ i t. d. postępował. „Miałem—powiada—straszne chwile egoizmu, dla mojego *ja* zapomniałem, że i drudzy mają *ja* swoje“ i t. d. (Rzym 1841).

[2]) Zob. *Irydyona* dokończenie: Opis Kampanii rzymskiej i nocy księżycowej, oświetlającej Forum, Koloseum i t. d., zarówno jak i opis Kampanii w wierszu, zaczynającym się od słów: „Jak anioł spadły, leżący w piękności“ i t. d.

dział, co czuł niegdyś, czego był „częścią", wracało mu na pamięć. Tu, na wiosnę, „rwali fiołki, rosnące na grobach świętych i gladyatorów"; tam, na szczycie gmachu, w taką samą, cichą noc księżycową, opowiadał jej „zgon narodów" [1]), przyczem pochyleni nad tą „otchłanią przeszłości", poglądali na miasto, całe uśpione, i pustynię Kampanii rzymskiej... I stali tak, nie wiedząc sami, jak długo: ona, „truchlejąca", wsparta na jego ramieniu, tuląca mu się do piersi; on, rozmarzony, szczęśliwy, natchniony. Dziś z tego wszystkiego pozostało tylko senne przypomnienie, zatrute wyrzutami sumienia...

Czasami, kiedy arena amfiteatru „brzmiała muzyką niewidzialnego chóru", doznawał złudzenia, że słyszy Danielewicza, grającego jakąś sonatę Beethovena, czy Mozarta, że widzi go w promieniach księżyca, jak razem z nim odwiedza te ruiny, tę „włość jego duszy".

Częściej wszakże, aniżeli blada, wysmukła mara Konstantego, inne mu przed oczyma stawało widmo... „Ty ku temu słodkiemu licu podniosłeś oczy, poznałeś dawne kształty, ale wyświeżone rosą, wyjaśnione tchnieniem niebios, i spoglądałeś na nie, jak ten, co się żegna z pięknością na wieki." Piękność ta, żałobna i smutna, choć bielejąca przejrzystą jasnością księżyca, poglądała nań łzawo, jakby z wyrzutem, i zdawało mu się, że słyszy jej głos, ten sam głos łagodny i dźwięczny, którym ucho jego poiła tyle razy, a którym teraz wymawiała mu:

---

[1]) Rozmowy o *Irydyonie* w r. 1835.

Dla ciebiem wszystko straciła na ziemi,
Dla ciebiem drobne porzuciła dzieci,
Choć Bóg przykazał pozostać się z niemi...

I kiedy on, jak człowiek, który się poczuwa do winy, w przeciwną stronę odwracał ponure oblicze, mara mówiła spokojnie:

Czy i ty zdradzasz tę, którą kochałeś,
Tę, której nigdy żoną nie nazwałeś,
A która ci była więcej niż żona,
Siostra, kochanka, niż wszystkie imiona,
Któremi ludzie kochanie przezwali?

A po chwili:

Patrz! Ja być mogła tak czysta, tak świętal
A teraz będę na wieki przeklęta!
I dzieciom moim ojciec nie odpowie,
Gdy się spytają: „Jak się matka zowie?"

Jak się matka zowie? Na pytanie to, z nad szczytów zamku, odpowiadał żałosny krzyk sowy:

— Między Poppeą a Messaliną postawiono jej oltarze!

Krzyk ten, złowrogo rozbrzmiewający „nad milczeniem wszystkich duchów", głuchem śmiertelnem echem obijał się o mury Koloseum, a poecie, stojącemu pod czarnym, smutnym krzyżem, zdało się, że słyszy, jakby słowa skargi, słowa, z których każde, jak miecz ostrokończysty, nawskroś przeszywało mu serce:

— Wyrwał mnie z samotności serca, a zostawił w ducha samotności. Kochałam go, a opuścił mnie [1]).

. . . . . .

[1]) Zob. *Niedokończony poemat.* Sen.

Tak się przedstawia historya tej „zagmatwanej tragedyi", rozgmatwana i odtworzona głównie na podstawie listów poety. Czy odtworzona wiernie, zgodnie z rzeczywistością? Jest to pytanie, na które odpowiedź należy do najtrudniejszych. Ostatecznie zaprzeczyć się nie da, że listy Krasińskiego, przez to właśnie, że tak piękne pod względem literackim, tak świetne pod względem stylu, a tak poetyczne w swej osnowie, nie zawsze zasługują na wiarę, gdy się je chce uważać, jako dokumenty historyczne. Traktowane jako takie, gdy z nich przychodzi korzystać krytycznie, bardzo często nasuwają cały szereg poważnych wątpliwości... Kiedy się czytało monografię St. Tarnowskiego, wie się dobrze, że Krasiński lubił wogóle, a szczególniej w listach, wyolbrzymiać wszystko, przez co przechodził, czy to było szczęście, czy nieszczęście; że podobnie, jak hrabia Henryk z *Nieboskiej komedyi*, z punktu *poetycznego wyłącznie* zapatrywał się na swoje postępowanie i czyny. Wiadomo również, że prostoty było w jego życiu równie mało, jak w jego stylu; a co najgorsza, to, że najczęściej, gdy zasiadał do pisania listu, czynił to zwykle nie bez pewnej *arrière pensée*, że list ten będzie czytało liczne grono znajomych. Listy jego—jak owe słynne listy hrabiego Fantazego w *Nowej Dejanirze* Słowackiego—cieszyły się wielką sławą w pewnych kołach [1]). Krasiński wiedział o tem,

---

[1]) Zob. *Nowa Dejanira* (Niepoprawni). Akt I, scena I.

Cóż, że kilka listów,
Które w gorączce można było spłodzić,
Przepisać nawet przez płatnych kopistów,
Samemu nawet pisać nie umiejąc—

i dlatego pisał w nich o wszystkich swoich najdrobniejszych, prawdziwych *czy urojonych*, radościach lub troskach, zachwytach czy rozczarowaniach, o wszystkiem, co myślał, widział i czuł, co się stało lub dopiero stać miało, a wszystko usiłował zawsze oświetlać poetycznie, każdą sytuacyę dramatyzować, każde zdarzenie, spodziewane lub zaszłe, ukazywać temu, do kogo pisał, nietylko przez tęczowy pryzmat poezyi, ale i przez szkło powiększające. Czytając jego listy, często doznaje się wrażenia, jakby mu możność znalezienia się w jakiejkolwiek niezwykłej lub dramatycznej kolizyi sprawiała niewysłowioną przyjemność: tak się nią będzie lubował, taki w niej zawsze będzie kładł nacisk na wszystko, co mu się wydaje efektownem, z takiem upodobaniem i zadowoleniem będzie ją analizował i... koloryzował. Co prawda, życie jego, choć pozbawione kłopotów, było obfite w położenia przykre i dręczące, np. jego naprężony stosunek do ojca i wszystko, co tej dysharmonii było wynikiem; nie wiadomo tylko, czy Krasiński wszystko naprawdę odczuwał tak wrażliwie, jak o tem rozpisywał się w listach do przyjaciół. Dlatego nie zaszkodzi nigdy, jeśli się jego listy bierze trochę *cum grano salis*; jeżeli się w nich obok odważonej krytycznie *Wahrheit*, będzie dopatrywało i sporej dozy *Dichtung*; jeżeli się niejeden epizod, podniesiony tam do stopnia dramatu lub trage-

---

Że kilka listów, które na Podolu
Panny czytały wyuczone, mdlejąc
I krzycząc: „Ach, ten list na Kapitolu
Był napisany! A ten z Wezuwiusza
Leciał jak gołąb aż na Ukrainę.

dyi — bo bywa i tak—uprości cokolwiek i z patetycznego hymnu sprowadzi do prostej powieści, niejedno składając na karb bujnej wyobraźni poety. Nie znaczy to bynajmniej, żeby w życiu Zygmunta sytuacyj i kolizyj dramatycznych nie było wcale (np. owo znieważenie go przez kolegów w Warszawie); znaczy to tylko, iż ich było mniej, i to znacznie mniej, aniżeli w jego listach, i że niejednokrotnie, kiedy w tych, rzekomo pouſnych zwierzeniach, szalały huragany, biły pioruny, kłębiły się chmury, a niebo rozpękało oślepiającemi zygzakami błyskawic, w rzeczywistości często świeciło słońce lub, co najwyżej, pruszył drobny deszczyk.

Tak np. było, zdaje się, w r. 1836, kiedy Krasiński, bawiąc w Rzymie, poznał się ze Słowackim. Wnosząc z tonu listów Zygmunta z tego czasu, nabiera się przekonania, iż jego ówczesny nastrój, z powodu niedawnych przejść z panią Bobrową, był nadzwyczaj ponury i blizki rozpaczy. W listach tych, prześlicznych pod względem literackim, skarży się poeta, że odkąd przyjechał do Rzymu, „cierpi w głębi ducha"; że nie może odzyskać swej dawnej wesołości; że zamyślony nie słyszy często, gdy mówią do niego; że „z dziwnym niewymownym wstrętem" w czytaniu szuka zapomnienia; że tysiącom myśli powtarzał, jak Kartuzi: *Memento mori;* że tak „drżą na pewne wspomnienia", iż często, słuchając gry Konstantego, zrywa się nagle „w jakiejś rozpaczy obudzonej pięknością dźwięków"; że pasując się z szyderskim niewidomym losem, gdy mu się zdarzy grać w wista z przyjaciółmi, czasami rzuca karty i „płonąc gorączką od nagłego spazmatycznego śmie-

chu", zaczyna sypać „żarciki jakieś gorzkie, zgryźliwe", ażeby po chwili zapaść znów „w próżnię bezdenną, w milczenie kilkogodzinne." Czytając takie słowa, wyobrażamy sobie, że nieszczęśliwy poeta, w dodatku jeszcze chory na oczy (na co także skarży się w tym liście rzymskim), znajdował się w fatalnym stanie moralnego przygnębienia, kiedy się poznał ze Słowackim, i żałujemy, że to poznanie przypadło teraz właśnie, gdy autor *Irydyona*, „smutny na śmierć" i dręczony „okropnemi zmorami", znajdował się w okresie takiej „nudy ogromnej, piekielnej, zimnej jak lód, pożerającej jak ogień." Co za szkoda, że nie zetknęli się kiedyindziej, gdy Zygmunt, mniej przybity nieszczęściem, bardziej był skory do serdecznych rozmów z poetą tej miary, co Słowacki. O ileżby sobie więcej wtedy mieli do powiedzenia, o ileżby przyjemniej im wówczas upływały wspólnie spędzone chwile. A tak, wszystko się musiało rozbić o zły humor Zygmunta!... W tem przeświadczeniu bierzemy do ręki listy Słowackiego, ciekawi, co też on pisze o Krasińskim z tego czasu, jakie wrażenie zrobił na nim „smutny na śmierć" twórca *Nieboskiej Komedyi?* Ale, o dziwo! Przeczytawszy list Słowackiego do matki, datowany z Rzymu d. 21 maja 1836 roku, widzimy, że to, co on pisze o Zygmuncie, stoi w rażącej sprzeczności z ponurym dramatycznym nastrojem listów Krasińskiego. Wnosząc z listu Juliusza, z tego, jak on opisuje chwile wspólnie spędzane w towarzystwie autora *Irydyona,* ma się wrażenie, że Krasiński nie był znów tak bardzo smutny, jak o tem świadczą jego ówczesne listy z Rzymu (nie wyłączając listu do Gaszyńskiego z d.

22 maja 1836 roku, napisanego nazajutrz po wysłaniu listu przez Słowackiego). Ten ostatni bowiem, ani domyślając się tragicznej walki uczuć w Krasińskim, spowodowanej ostatniemi jego przejściami z panią Bobrową, które nim wstrząsnęły od stóp do głowy i od mózgu do serca, opisuje z całą naiwnością swoje z nim uganiania się za jakąś panią Richtoffen, która, jako „bardzo miła osóbka, z rodzaju naszych przymilających się kobietek warszawskich", bardzo się podobała obu poetom. „Słysząc o tej pani—pisze Słowacki—lataliśmy jak waryaty z Zygmuntem po willach włoskich, aby ją zobaczyć", aż w końcu poznajomili się z nią w willi Borghesych, przedstawieni jej i jej mężowi przez Aleksandra Potockiego. Nadto dowiadujemy się z tego listu Juliusza, że odkąd się zapoznał z Krasińskim i jego przyjaciółmi, prowadził wesołe „kawalerskie, biegające i cygara palące życie"; że podczas „romansowych wędrówek" po Rzymie i jego okolicach, które odbywali razem, mnóstwo „gadali po szalonemu językiem imaginacyi"; że im przeczytał niektóre swoje utwory, któremi oni byli zachwyceni, i że wogóle towarzystwo Zygmunta miało dla niego, „umysłowie mówiąc, lekarskie, uzdrawiające skutki." Wszystko to, zestawione z byrońskim tonem listów Krasińskiego, upoważnia do przypuszczenia, że jednak wizerunek autora *Nieboskiej Komedyi*, latającego ze Słowackim „jak waryaty" po willach włoskich dla zobaczenia pięknej pani Richthoffen, zdaje się być prawdziwszym, aniżeli jego autoportret, skreślony w listach do Gaszyńskiego i Sołtana.

Jeśli z innemi listami miała się rzecz tak sa-

mo, jak z powyższym, a nie brak względów, upoważniających do tego podejrzenia, to wypadnie całą dramatyczność tej „zagmatwanej tragedyi“ przetransponować o kilka tonów niżej, a tem samem osłabić poetyczny efekt wielu jej pojedynczych scen i epizodów, tak romantycznie przez Krasińskiego opisanych w jego listach do przyjaciół. Po dokonaniu takiej krytycznej amputacyi, bardzo niekorzystnej dla tego romansu, gdyż go ogołaca ze wszystkiego prawie, w co go przybrała romantyczna wyobraźnia wielkiego poety, to, co się zostanie po niej, da się zredukować do wniosku, do którego z czasem sam Krasiński doszedł w kwestyi tej „tragedyi“, mianowicie: że w tej miłości było dużo gry wyobraźni, a znacznie mniej rzetelnego uczucia; że poeta często wmawiał w siebie, że się kocha namiętnie, a w rzeczywistości nie kochał tak gorąco; że w tem jego kochaniu było więcej literackiej fantazyi, aniżeli miłości prawdziwej; że młody romantyk, spragniony jakiegoś romansowego epizodu, podziwiał się w różnych poetycznych i dramatycznych sytuacyach, jakie za sobą pociągał ten romans z kobietą zamężną, młodą i piękną; że mu pochlebiało to jej namiętne rozkochanie się w nim i że, co za tem idzie, Aligier miał najzupełniejszą słuszność, kiedy w *Niedokończonym poemacie* mówił do Młodzieńca: „Bo mi się *zakochujesz w sobie samym, łudząc się, że w drugiej osobie.*“

Cokolwiekbądź, pewnem jest, że o tem swojem młodzieńczem „złudzeniu kochania,“ nie zapomniał nigdy, choć nie znaczy to wcale, ażeby je zawsze

wspominał mile i tak, jak na to pani Bobrowa zasługiwała.

Trzy najpiękniejsze wiersze, jakie napisał z myślą o „Maryi," datują się z tej epoki właśnie, gdy już zerwali z sobą. Jesienią w r. 1838 (nie zaś 1848, jak to mylnie wydrukowano na str. 106, tom III lwowskiego wyd. *Pism Z. Krasińskiego)* napisał poeta wiersz, jakby monolog swej opuszczonej kochanki, wiersz, jeden z jego najpiękniejszych wogóle, jakie mu się napisać zdarzyło:

Jak kawał lodu skrzepło serce moje,
W oczach mi wyschły dawnych płaczów zdroje.
Żadnych już ułud nie zapragnę nowych,
Spokój mój wielki jak głazów grobowych.
Już duszy we mnie zagasło przezrocze
I tak przed ludzi, jak Boga obliczem,
Nic mi jest wszystkiem i wszystko mi niczem.
Nic, nic, niestety: oto słowo moje!
Oto ma wiara, oto tajemnica!
Przez nią niczego w świecie się nie boję,
Przez nią mię w świecie już nic nie zachwyca!
Ach! jakże dawniej lękać się umiałam!
Ach! jakżeż dawniej rwały mię zachwyty!
Kochałam morze, ląd, gwiazdy, błękity,
Cała z strun drżących... A dziś z głazu całam!
Ach bo jednego człowieka kochałam
I świat mi wszystek wyglądał do niego
Rajem dóbr świętych...

Tegoż roku w Rzymie powstało słynne *Wrażenie z Kampanii*, będące jedną przerzewną skargą kobiety zamężnej, wyrzucającej swemu kochankowi, że ją opuścił. Tą, która się tym wierszem skarżyła tak wymownie, miała być pani Bobrowa.

W ciągu roku 1839 pisał Krasiński swój *Niedokończony poemat*, w którego pewnych scenach

kreślił poetyczny obraz swej miłości ku pani Bobrowej.

W roku następnym, w sierpniu, w czasie pobytu w Varennie nad jeziorem Como, napisał owo cudne przypisanie, mające poprzedzać wydaną w roku 1841 *Noc letnią*, a zwrócone do „serca niewieście-go i prześladowanego," serca, „co wiele kochało" i „wiele cierpiało," aż ostatecznie zcierpie i zlodowaciałe „na kształt głazu," doszło do tego stanu, że na świat spoglądało

nie mściwie, nie hardo,
Lecz z przebaczenia anielską pogardą.

Przez serce to, stroskane i dumne, a „jak grób zamknięte w sobie," rozumiał Krasiński tę samą „Maryę," której były poświęcone *Agay Han*, *Nieboska Komedya* i *Irydyon*.

Niezależnie od tego, w r. 1846, kiedy mu wypadło przygotowywać do druku nową edycyę swoich dzieł, polecił Gaszyńskiemu [1]), że „dedykcye do Maryi w *Nieboskiej* i *Irydyonie* winny być opuszczone," co już było dowodem, że mniej chętnie wspominał swą pierwszą kochankę...

Że tak było, dowiodły jego listy, w których nie zawsze wyrażał się o pani Bobrowej pochlebnie, a czasami czynił to nawet z wyraźną niechęcią. Oto np. co raz pisał o niej d. 30-go grudnia 1841 roku, w liście do Delfiny Potockiej: „Pytasz mnie o panią Bóbr. Przed kilku dniami nadesłała do mnie list z Frankfurtu, ale tak jędzowaty, wściekły, śmieszny,

[1]) Listy, I, 256.

pękający od próżności, nie od serca zranionego, żem jej odpisał z oświadczeniem, że nigdy a nigdy już o mnie nie usłyszy, i że nie mam nic wspólnego z kobietą, co się na furyę przemieniła.“ W podobnym tonie wyrażał się o pani B. w innym liście, dziwiąc się jej pretensyom do niego: „Wszakże ma męża i dzieci“ [1]).

Tymczasem pani Bobrowa po owym ostatnim liście do Krasińskiego, wymuszonym przez jego ojca, przechodziła przed ciężkie chwile w życiu. Mąż, dowiedziawszy się — od niej samej — o jej stosunku z Krasińskim, nie okazał się wyrozumiałym, ani skorym do przebaczenia, zwłaszcza, gdy w całej okolicy rozeszła się stugębna wieść o tym romansie pięknej pani marszałkowej. Z początku jeszcze zachowywał pozory, ale w końcu zaniechał i tego. Gdy przyjechano do Zahajec, nastąpił szereg scen w najwyższym stopniu upokarzających dla pani Bobrowej, a upokarzających tembardziej, że nie wszystkie rozgrywały się bez świadków. Oto, co w tej kwestyi pisze Jan Turkułł w swych *Gawędach familijnych:* „W r. 1839 po pięcioletnim pobycie za granicą powrócili do kraju państwo Bobrowie [2]). Wyjechałem

---

[1]) Zob. *Tyg. Ilustr.* Nr. 12 z r. 1898 w artykule Raymunda Stanisława Kamińskiego, osnutym na „nieznanych listach poety“ (do Delfiny Potockiej) p. t. *Zygmunt Krasiński i Delfina Potocka.*

[2]) Ustęp ten pozostaje w niezgodzie z niektóremi faktami, znanemi z innych źródeł, a niepodlegającemi najmniejszej wątpliwości. Według Turkułła, państwo Bobrowie w ciągu pięciu lat nie wracali do kraju, do Zahajec. Z listów jednak Krasińskiego wiemy, że pani Bobrowa w ciągu tego czasu bawiła raz po raz na Wołyniu: raz w r. 1835, po widzeniu się z Kra-

na ich spotkanie do Radziwiłłowa i odrazu zauważyłem, że dobry stosunek, jaki zawsze był między niemi, zupełnie się zmienił. Jedziemy do Zahajec, gdzie musiałem jakiś czas zabawić dla poinformowania marszałka o interesach. Oboje uskarżają się na siebie przedemną, łagodzę jak mogę, ale niewiele to pomaga. Zwykle w czasie gorętszych sprzeczek, wyprawiam starszą córkę, której wejście zawsze przerywało sprzeczkę. Ale jednego dnia marszałek wzywa mnie i w silnem rozdrażnieniu zapowiada, że odtąd już do żadnych interesów majątkowych żony wtrącać się nie będzie, i żebym ja je sam załatwiał. Pani Bóbr przemawia do mnie, że ona całą nadzieję pokłada we mnie, że jej nie opuszczę, że mi przyzna nieograniczoną plenipotencyę i że z góry się zgadza i akceptuje wszystkie warunki przezemnie podane. Tak zaatakowany odpowiadam, że zgodzę się, ale z warunkiem, od którego nie odstąpię, a mianowicie, ażeby przez wzgląd na dorastające córki nie podawali się do rozwodu. Postawiwszy takie ultimatum, zostawiając czas do namysłu w zgodzeniu się nań, odjechałem do Perekal. Przeszedł jakiś czas, już zacząłem nabierać nadziei, że musiało nastąpić porozumienie między małżonkami, gdy jednego dnia przyjeżdża do mnie do Perekal marszałek i wzywa mnie, abym z nim jechał do Zahajec dla objęcia zarządu majątków żony, która bezzwłocznie wyjeżdża z córkami za granicę. Wyjechaliśmy nazajutrz ra-

---

sińskim w Wiedniu (wtedy to widywał się z nią Jaroszyński, komunikując jej różne wiadomości od Zygmunta) i raz w roku 1838, gdy do niej udał się „na Wołyń" generał Wincenty Krasiński.

zem z Perekal i na kolacyę przyjechaliśmy do Zahajec. Ta odbywała się w dość licznem towarzystwie: dwie córki, metr muzyki Müller z żoną, guwernatka, bona Kalicka—i zdawało się, że harmonię między małżeństwem dobra. Na drugi dzień tak samo i przy herbacie, w czasie której przyjeżdża bliski sąsiad i zaufany we wszystkiem doradca, pan Daniel Mężyński. Po herbacie zwykle rozchodzili się wszyscy do siebie, aż do 12-ej godziny śniadania, na które zwykle dwa razy dzwoniono Przychodzę na takowe, zastaję już wszystkich zebranych. Po śniadaniu pan Mężyński podaje rękę pani Bóbr, marszałek bierze mnie pod rękę i wychodzimy do sąsiedniego pokoju, którego drzwi zamykają. Na stole, widzę, leży plik papierów. Marszałek odzywa się do mnie: oto wszystkie regiestra i papiery, odnoszące się do majątku mojej żony, zdaję je w jej obecności, przepatrz i zabierz Na to pan Mężyński zwraca się do pani Bóbr i mówi: ale pani nie zna zupełnie interesów i nie wie dochodów swego majątku, ja je znam i mogę upewnić, że nie wystarczy ich pani nawet na trzewiki. Marszałkowa zapytuje mnie: czy to prawda? Odpowiadam, że tyle razy administrując majątkiem, znam go lepiej od pana Mężyńskiego i mogę ją upewnić, że wystarczy nietylko na trzewiki, ale i na wszystkie inne potrzeby i na pobyt za granicą, z warunkiem jednakże, który dodaję do poprzedniego, abyście nie szli do rozwodu i żeby pani dała mi słowo, że bez mojej wiedzy nie zaciągnie żadnego długu. Marszałkowa podała mi rękę, upewniając, że obydwa warunki święcie wypełni. Przyjąłem papiery, marszałek zobowiązał się rocznie da-

wać na utrzymanie dzieci 5,000 rubli, i pani Bobrowa wyjechała zaraz za granicę z córkami, przyznawszy mi nieograniczoną plenipotencyę do zarządu jej majątkiem. Przez cały swój pobyt za granicą przez lat kilka ciągle zmieniała miejsce swego pobytu, tak, że odbieram od niej list z Paryża, odpisuję, a następny list odbieram już z Rzymu i tak ciągle. Raz tylko na rok dłużej się zatrzymywała w jednem miejscu w czasie kontraktów kijowskich, dopóki nie odebrała pieniędzy. A przez cały czas mego zarządu majątkiem, co roku odbierała odemnie od 13,000 do 15,000 rubli i dotrzymała danego słowa, bo ani do rozwodu nie poszła, ani grosza długu nie zrobiła. Jednego roku spotykam się na kontraktach kijowskich z panem Cezarym Poniatowskim, który tylko co powrócił z za granicy i komunikuje mi, że się widział z panią Bóbr, od której przywozi mi ukłony i powiada, że nie miała słów na wyrażenie przed nim swojej wdzięczności i uznania dla mnie, że kiedy najbliżsi opuścili ją, ja jeden nią się zaopiekowałem, spełniając najakuratniej wszystko, com obiecał. Do kraju zwykle wracała tylko na bardzo krótko dla zmiany paszportu [1]).

W kraju, gdzie koło jej imienia uczynił się skandal, nie miała co robić. Przebywając za granicą, najwięcej w Paryżu, w Rzymie, w Frankfurcie i Dreznie, prowadziła życie towarzyskie, głównie poświęcone rozrywkom, dzielone między ziomków i cudzoziemców. O Krasińskim pamiętała ciągle, a pomimo

[1]) *Op. cit.* str. 49—51.

zerwanych stosunków, korespondowała z nim. W końcu, nie z jej winy, ustała i ta wymiana listów.

W Paryżu poznała się pani Joanna, około roku 1840, z Juliuszem Słowackim, który, serdecznie podejmowany przez nią, zakochał się w niej. Ona jednak, choć ją „cokolwiek interesował," pozostała niewzruszoną: wierna wspomnieniu Krasińskiego, nie była zdolną do pokochania jego przyjaciela i, jak on, poety, swoją drogą Słowacki przez długi czas szalał za nią, a gdy w r. 1841 na wiosnę wyjechała do Frankfurtu, pośpieszył w jej ślady, łudząc się płonną nadzieją, że *l'habitude fera se que n'a pu faire l'amour* [1]). Ale gorzko zawiódł się pod tym względem: pani Bóbr nie przeniewierzyła się swej miłości dla autora *Irydyona*. Autor *Beniowskiego* po długich *égarements d'amour* powrócił z niczem do Paryża, uważał bowiem, że nicby nie zyskał, pozostając dłużej. Wyjechał, bo — jak się wyraził w liście do przyjaciela — *il est impossible que je souffre plus longtemps une torture pareille* [2]). Mimo to, gdy pani

---

[1]) Zygmunt Krasiński, dowiedziawszy się o tej wyprawie Słowackiego, pisał do Sołtana: „Słowacki zakochał się wściekle w pani Bóbr i poleciał za nią do Frankfurtu. Co też to za ogrom głupstw i dziwactw dzieje się na świecie."

[2]) W czasie tej bytności swojej we Frankfurcie, gdzie, jak się wyraża w jednym z listów do matki, „szalał, kochał się... płakał, śmiał się, jak człowiek szczęśliwy, żył," korespondował także z przyjacielem swoim Leonardem Niedźwieckim, opisując mu, w jaki sposób przy boku pani Bobrowej czas spędzał. Oto kilka charakterystycznych wyjątków z tych listów frankfurskich, pisanych—nie wiedzieć dlaczego — po francusku: *Mes journées se passent agréablement: je la vois, je sens les battemens accélerés de mon coeur et du sien, son visage se calore d'une rougeur, qui me rappele la clarté diaphane de l'aurore en Grèce, j'apprends à parler le langage d'amour, je vis et je*

Bóbr wróciła na jesieni do Paryża, znów zaczął bywać w jej gościnnym domu na Polach Elizejskich i „dobrze mu z nią na rozmowie schodziły godziny.“ Przyjaźń ta przetrwała lat kilka, aż do śmierci Słowackiego. Pani Bóbr była mu bardzo życzliwą: za uwielbienie, z jakiem był dla niej, wywzajemniała mu się szczerą przyjaźnią. Gdy wyjechała z Paryża, korespondowali z sobą, a listy Słowackiego do niej — z których dziewięć zachowało się do naszych czasów—z pewnością należą do najpiękniejszych listów miłosnych, jakie wogóle zostały napisane przez poetów [1]). W r. 1844, gdy pani Bóbr jechała na Wołyń, do Krzemieńca, Słowacki napisał dwa wiersze do sztambuchów jej córek: jeden dla panny Ludwiki, zaczynający się od słów: „Gdy na ojczyznę spojrzą oczy Lolki...“ i drugi dla panny Zofii, którego początek brzmi: „Niechaj mnie Zośka o wiersze nie prosi [2]). W utworach Słowackiego z tej epoki, poczynając od *Beniowskiego*, a kończąc na *Księdzu Marku* i *Śnie srebrnym Salomei*, można wskazać

---

rayone... Que faut-il de plus i t. d. i t. d. Któregoś dnia— a nie bez pewnej *arrière pensée* o piątej pieśni Dantejskiego Piekła — czytał jej swoją *Beatrix Cenci*, donosząc zaś o tem przyjacielowi w Paryżu, powiada, że *la commotion électrique qu'elle en a ressentie ne peut se comparer qu'à celle qu'on reçoit en se baignant d'une torpede... Elle a trouvé la passion supérieurement bien peinte*, w czem Słowacki niemałą sobie, jako lektorowi przypisuje zasługę, bo *il est vrai qu'en lisant je trouvais des inflexions de voix qui faisaient vibrer toutes le cordes de son âme...*

[1]) Oryginały znajdują się w Bibliotece Ordynackiej hr. Zamoyskich w Warszawie. Przed kilku laty ogłosił je drukiem p. J(ózef) W(eysenhoff) w *Bibliotece Warszawskiej*.

[2]) Zob. Juliusza Słowackiego *Pisma pośmiertne*, t. I.

mnóstwo ustępów, pisanych pod wpływem miłości ku pani Joannie.

Z powodu tej znajomości i przyjaźni Słowackiego z panią Bobrową wywiązała się pomiędzy nim a Krasińskim oryginalna korespondencya. Autor *Irydyona*, widząc z listów Juliusza, że ten zakochuje się nie na żarty, przestrzegał go, ażeby „bronił się od tej kobiety," by „nie tracił życia na nędzne zgryzoty," by starał się „zrzucić z piersi nogi Rubensowych Madonn." „Wiem, pisał raz do niego, że ci to wiele smutku rzuciło do serca i może wiele sił na czas jakiś odebrało. Szkoda ciebie, byś z takiego zadraśnięcia miał się rozranić i osłabnąć. Otrząśnij się: gdzie Rafael nie malował, tam nie myśl o Rafaelu, marz raczej o Rubensie, i duszy twej całej nie kładź pod stopy aniołów Rubensowych; daj im rękę, opiekuj się nimi, życz im dobrze, bądź im bratem, ale nie konaj dla nich..." „Wierz mi, jeśli sam nie chcesz gorzko żałować kiedyś przeszłości, stań się jej przyjacielem, a nie chciej, by serce, które pękło i umarło, zmartwychwstając dla ciebie, stało się upiorem... W przyjaźni będziesz szczęśliwy, kochany, odwdzięczony, ale *miłość*, miłość *taka*, stanie się goryczą dla was obojga. Szukaj tam przyjaciółki, gdzie żądasz kochanki, a będziesz miał duszę siostrzaną na wieki, a przestaniesz być samotnym. Lecz jeśli uniosą cię sny namiętne, jeśli nie posłuchasz głosu proroczego, który woła na ciebie, pamiętaj przynajmniej, żem w czas dobrą radę przyniósł, i dla kochającego, i dla ukochanej! *Pamiętaj, że ci przepowiadam, jeśli pójdziesz drogą szału, że serce twoje*

doklutem będzie, w czem niedoklute dotąd, a siła ducha twego zmniejszy się o skrzydło jedno."

W roku 1847 wydała pani Joanna „Lolkę" za hrabiego Maurycego Potockiego, a gdy wkrótce potem i „Zosieńka" (jak ją nazywał Słowacki) została hrabiną Juliuszową Dzieduszycką, ona, już czterdziestoletnia, ale zawsze jeszcze piękna, najwięcej przebywała u swej starszej córki, której mąż także musiał mieszkać za granicą. Dopiero, gdy w r. 1851 państwo Maurycowie Potoccy na stałe osiedli w Warszawie, w pałacu na Krakowskiem-Przedmieściu, pani Bobrowa również przeniosła się nad Wisłę. Odtąd Warszawa była jej stałem miejscem pobytu. Nie wyglądając na babkę swych wnucząt, obracała się wśród miejscowej arystokracyi, z pomiędzy osób zaś, które cieszyły się jej szczególną sympatyą, na wyróżnienie zasługiwała pani Eliza Krasińska, żona Zygmunta. A on? Z nim widywała się również, o ile bywał gościem w Warszawie [1]), a widok jego, mimo wszystko, co między nimi zaszło od roku 1838, nigdy nie przestał na niej czynić silnego wrażenia. Gdy wyjeżdżała za granicę dla kuracyi, zawsze woziła z sobą listy autora *Nieboskiej komedyi*, z któremi wogóle nie rozstawała się nigdy [2]). Nie należy zapominać i o tem, że pałac Potockich, w którym mieszkała, znajduje się nawprost pałacu Krasińskich, którego widok — a mogła go widzieć z okien swego mieszkania—ciągle jej przypominał swego właściciela.

---

[1]) Zob. *Przegląd Polski* z r. 1895 w recenzyi St. Tarnowskiego moich *Studyów historyczno-literackich*.

[2]) Raz jej te listy odebrano na komorze, ale na szczęście, zwrócono po niejakim czasie.

Wspomnienia te, będące źródłem jej wszystkich smutków i melancholii, od roku 1854 poczęły się przeobrażać w chorobę umysłową, która, rozwijając się coraz bardziej, miała trwać całych długich lat trzydzieści i kilka. Odtąd pani Bobrowa, prowadząc życie samotne, nie udzielając się towarzystwom, owszem, stroniąc od ludzi, prawie nie wychylała się na świat, wegetując w „zapomnieniu i odosobnieniu.“ W końcu utraciła wzrok... Tak dożyła do dnia 4-go maja 1889 r. „Cicho, bez ogłoszeń, karawan III-ej klasy zawiózł skromną trumnę na cmentarz Powązkowski, a sklep familijny Iżyckich przyjął pod gościnną strzechę popioły biednej męczennicy“ [1]). Dopiero w ostatnich czasach przewieziono je do grobów rodzinnych Potockich w Zatorze.

---

[1]) Dr. Antoni J. *Op. cit.* str. 47. Mąż jej, pan Teodor Bóbr. Piotrowicki, zmarł w r. 1860 w Zabajcach.

CZĘŚĆ DRUGA.

Beatrice i Incomparabile Donna

(1839—1859).

ROZDZIAŁ I.

„Coraz ciemniej zmierzch gęstnieje, blednieje niebo, na które patrzę, kopuła Piotra coraz czarniejsza, gwiazda Narodzenia się Chrystusa wschodzi już nad Kampanią Rzymską. Za chwilę noc będzie, za chwilę czekam na twoją postać; nie mogę tej pewności fantastycznej zrzucić z duszy, że ty mi się pokażesz *o tej samej godzinie, o której temu rok pierwszy raz mi się ukazałaś; a było to, pamiętasz, w tym ślicznym lasku fryburskim, jak koniecznie żądałem zostać się z tobą...*“ W te słowa pisał Zygmunt Krasiński dnia 24 grudnia 1839 r., z Rzymu, w liście do „nowej pani swej duszy,“ hrabiny Delfiny z Komarów Mieczysławowej Potockiej, rozmarzony wspomnieniem owej tak dlań pamiętnej chwili, gdy szczęśliwym przypadkiem, w przejeździe przez Fryburg Szwajcarski, spotkał się ze słynną gwiazdą na firmamencie europej-

skiego *fashion'u*, zdążającą, podobnie jak i on, do Neapolu, na święta Bożego Narodzenia. Ona wracała do rodziny, do chorej matki, która tam, wraz z córkami i synami, stale przebywała od niejakiego czasu; on śpieszył połączyć się z ojcem, z którym razem wyjechał z kraju, a którego w drodze puścił naprzód [1]).

Spotkanie to, „na popasie," nadzwyczaj mile zapisało się w pamięci obojga, ile, że sposób, w jaki się poznali z sobą, a zwłaszcza tło, na którem się zbliżyli do siebie, niesłychanie były romantyczne i poetyczne. Albowiem stało się to nad wieczorem, o zmierzchu, wśród malowniczej okolicy alpejskiej, owianej późną jesienią. Poeta, zamiast oddychać prozaiczną atmosferą oberży, używał samotnej przechadzki po ślicznym lasku podmiejskim. Właśnie przechodził koło wrót cmentarza, gdy nagle ujrzał smukłą postać niewieścią, podobnie jak on przecha-

---

[1]) Trudno oznaczyć dokładnie, kiedy spotkanie to miało miejsce. W październiku 1838 r. jeszcze był Krasiński w Warszawie, zkąd wyjechał na samym początku listopada. Dnia 16 listopada pisał do Sołtana z Wenecyi, gdzie jeszcze bawił dnia 23 tego miesiąca. W Neapolu był jeszcze przed wilią, a dnia 29 grudnia 1838, pisząc do Jaroszyńskiego, tak się wyraża o domie Komarów, jakby się z nimi znał co najmniej od tygodnia. Wynikałoby z tego, że to spotkanie się poety z Delfiną we Fryburgu odnieśćby należało do pierwszej połowy listopada. Ale jeżeli tak było, to z niemałem zdziwieniem czyta się listy Krasińskiego z Wenecyi, pisane już po poznaniu Delfiny, a pełne prześlicznych ustępów o pani Bobrowej, o szczęściu, którego tu z nią kosztował i t. d., i t. d. To samo da się powiedzieć o listach z Rzymu, znów przepełnionych aluzyami do pani Bobrowej, gdy tymczasem w duszy Zygmunta już się budziła miłość dla Delfiny. Wobec tego nie pozostaje nic innego, tylko zakwestyonowanie szczerości listów z Wenecyi i Rzymu, pomimo, iż są to jedne z najpiękniejszych i najnamiętniejszych listów Zygmunta...

dzającą się po tem odludnem ustroniu. W kobiecie tej, której każdy ruch pozwalał się domyślać wielkiej damy, poznał autor *Irydiona* panią Delfinę Potocką. Wprawdzie jej nie znał przedtem [1]), wiedząc jednak, że nietylko znajdowała się chwilowo we Fryburgu, ale zatrzymała się w tym samym, co i on, domu zajezdnym (o czem bardzo łatwo mógł się dowiedzieć od służby), zbliżył się do niej, przemówił, ona zaś, gdy się dowiedziała, kogo widzi przed sobą, nic nie miała przeciwko temu, aby z młodym poetą-ordynatem użyć wspólnego spaceru. Tyle słyszała o jego genialności, że mogła być ciekawą jego osoby, a jeśli i jemu zależało na bliższem zaznajomieniu się z tą „rusałką podolskich jarów," to o lepszej sposobności, umożliwiającej i ułatwiającej takie zobopólne zbliżenie się do siebie, marzyć nie mogli oboje. Byli sami, nie kontrolowani, ani strzeżeni przez nikogo (służba

---

[1]) „Rodziny Krasińskich i Komarów sąsiadowały wprawdzie na Podolu, bo Kuryłowce niezbyt daleko leżą od Dunajowiec, ale Zygmunt Krasiński na Podolu bywał bardzo rzadko i miejsc tych nie lubił. Raz był, wkrótce po owej katastrofie uniwersyteckiej i doznał tam afrontu, będącego echem owej warszawskiej sceny.... Potem raz znów przyjechał do Dunajowiec, z ojcem, gdy ten obejmował dobra po pani starościnie Opinogórskiej, ale bawił krótko i, jak wspomina miejscowy wikary, smutny był i małomówny. Zawszej jego bytność przypadała tam wtedy, gdy Delfina była za granicą. Drogi ich wówczas nie zeszły się, a możeby nie zeszły się i serca, bo, jak mówi słusznie poeta starożytny, że mają rzeczy swe łzy, tak i pewne miejsca, usposabiają do pewnych uczuć. Na rozległym stepie podolskim minąć się łatwo i nie spostrzedz. Przyroda tam rozmarza duszę, porywa oko i pochłania myśl całą... Przeznaczonem Zygmuntowi Krasińskiemu było spotkać się z rusałką podolskich jarów nad Saaną, u złomu gór Fryburskich, porosłych lasem, u wrót cmentarzyska. Dekoracya ta, piękna i dzika, a nad wyraz smutna, dziwnie harmonizowała z nastrojem ich dusz." *Zygmunt Krasiński i Delfina Potocka.*

nie liczy się w takich razach), odcięci od całego świata „komeražników“ i „replatrarzy,“ uwolnieni od krępujących więzów konwenansów i etykiety. I jakże tu nie skorzystać z tak cudownej okazyi! Jakoż nie omieszkali skorzystać z niej... Spacerując po lesie, rozmawiali ze wzrastającem ożywieniem, aż wreszcie, spragnieni jeszcze romantyczniejszego tła dla swej interesującej rozmowy, przeszli na cmetarz, w którego pobliżu krążyli dotychczas. Co za niezwykła sytuacya! Ledwo się poznali z sobą, a już ich otoczyły mogiły i krzyże. Dla dwojga ludzi, jak oni, lubujących się w położeniach tego rodzaju, było to używanie nielada... Mimowoli myśli się o piątym akcie *Nowej Dejaniry* Słowackiego, gdzie Fantazy i Idalia również poją się byrońską poezyą cmentarza o wieczornej godzinie. Ta poezya cmentarna, pomieszana z melancholijną poezyą zmroku i „bledniejącego nieba,“ chciwie wchłaniana przez nich, wytworzyła niezmiernie poważny nastrój—nastrój pierwszej sceny piątego aktu *Nowej Dejaniry* — który oczywiście nie mógł pozostać bez wpływu na cały przebieg tego romansowego dyalogu pomiędzy dwiema duszami, nawskróś przesiąkłemi romantyzmem. Najprzód rozmawiali jak dwoje ludzi światowych, ale powoli ten pierwiastek światowy począł się ulatniać, rozmowa stawała się coraz bardziej liryczną, aż wreszcie przybrała ton smutny: ani się spostrzegli, jak się zaczęli skarżyć na los, który ich prześladował w życiu. Bo cóż się okazało? Oto, że oboje byli nieszczęśliwi, w niezgodzie ze światem, że jedno i drugie piło przeważnie z kielicha goryczy, mało kosztując życiowych miodów. Tak przynajmniej zdawało się obojgu, w ów

cichy wieczór jesienny. W rok później, czyniąc aluzyę do tej rozmowy na pięknym cmentarzu fryburskim, tak pisał Krasiński do Delfiny: „Nie mów mi, żeś tam prosiła o śmierć, nie mów mi tego...“ Widocznie, że ich zwierzenia coraz bardziej nastrajały się na żałośną nutę, nie wolne i od refleksyi ponurych, skoro aż była mowa o śmierci... Co pewna, to, że rozmowa ta, znacznie dłuższa niezawodnie, niż pierwsza wymiana słów pomiędzy Romeem a Julią, stała się początkiem nowej miłości Zygmunta, stanowiąc epokę w jego życiu. Gdy, oczarowany urokiem i powabem pięknej hrabiny, wracał do siebie, przekonany był, iż doznawał tych samych uczuć, których ongi doświadczał Dante, gdy w gajach florenckiego Campo Santo spotkał po raz pierwszy Beatryczę. A Delfina? Ona, „porwana jego wymową, ujarzmiona potęgą ducha, promieniejącego z jego rozkochanych oczu, przeczuła w nim odrazu tę niezmierną miłość, która jest udziałem serc wyższych, i pod wpływem jej wyrosła duchowo, spoważniała...“ Dość było dla niej tej rozmowy, aby zrozumieć całą próżnię i jałowość życia, jakie prowadziła dotychczas. „On rozwarł przed nią całe przestworza idealnych, czystych krain, dotąd dla jej umysłu niedostępnych, wykazał całą nicość wielkoświatowej wegetacyi, i rzecz dziwna, ten mały, niepozorny młodzieniec odrazu podbił sobie majestatyczną królowę salonów paryskich...“ [1]).

---

[1]) *Zygmunt Krasiński i Delfina Potocka* (na podstawie nieznanych listów poety) przez R. S. Kamińskiego. Zob. *Tyg. illustr.* z roku 1898, pierwsze półrocze. Wszystkie wyjątki z listów Zygm. Krasińskiego do Delfiny Potockiej, które przytaczam

Oczywiście, że nie skończyło się na tej jednej rozmowie. Ani Krasiński, ani Delfina, podróżując własnemi powozami, własnemi końmi, z własną posługą, nie byli zmuszeni zaraz następnego dnia puszczać się w dalszą drogę. Chodziło o to tylko, żeby zdążyli na wilię do Neapolu; o pretekst zaś, ażeby umotywować nieco dłuższe zatrzymanie się we Fryburgu, nie było trudno: miłość bywa bardzo pomysłową doradczynią w takich razach. Jak długo trwał ten „popas“ nad Saaną, parę czy kilka dni, nie wiadomo; zdaje się jednak, że musiał nie być zbyt krótkim, skoro Krasiński, jeszcze po upływie kilkunastu miesięcy, rozmarzony tem wszystkiem, co wtedy przeżył we Fryburgu, tak pisał do swej ówczesnej towarzyszki, której to błogie wspomnienie zawdzięczał: „Nie rzucaj zasłony z krepy na miejsce, *gdziem tyle był szczęśliwy*. Ty nie wiesz, jak ja kocham Freyburg!“ A więc był szczęśliwy...

Jakkolwiek rzecz się miała, było to szczęście, które musiało pozostać w największej tajemnicy przed światem: nikt nie powinien wiedzieć, że się tych dwoje spotkało we Fryburgu, że tu poznali się z sobą, że tu razem zabawili czas jakiś.

Jakoż, gdy wypadło ruszać dalej, wyjechali jednocześnie, ale każde oddzielnie. Na wyjezdnem umówili się, że przyjechawszy do Neapolu, będą udawali przy pierwszem spotkaniu, że się nie znali, ani widzieli kiedykolwiek przedtem...

W ciągu tego studyum, poczerpnąłem z powyższej pracy p. Ka-

I.

Pani Delfina Potocka, w chwili, kiedy ją poznał Krasiński (w końcu 1838 r.), była uroczą 31-letnią rozwódką [1]), doskonałym typem Balzakowskiej *femme de trente ans*, we właściwem znaczeniu tych słów, kobietą, o której wiedzieli wszyscy — samego Krasińskiego nie wyłączając — że była istotą, która „stała już *za przepaścią*," a której duszę, „żywą i silną, i wszystkiemi dary, któremi Bóg Polki obdarzył, do najwyższego stopnia obrzuconą," *przepsuł* — według dosadnego wyrażenia autora *Irydyona* — Paryż i Londyn, książę d'Orléans i pan Flahaut. Obok nich wymieniali niektórzy jeszcze Chopina, oraz wielu innych, mniej lub więcej głośnych przedstawicieli świata arystokratycznego i artystycznego. Słowem, świętą nie była, a jeśli miała niektóre cechy wspólne z biblijną Magdaleną, to w każdym razie nie z Magdaleną pokutującą [2]).

---

[1]) Urodzona w r. 1807, w Kurytowcach na Podolu.

[2]) Że tak było a nie inaczej, o tem wiedzą wszyscy, którzy panią Delfinę znali i pamiętają. Nie tai tego nawet St. Tarnowski w swej książce o Krasińskim; a można być pewnym, że gdyby była najmniejsza wątpliwość pod tym względem, to autor *Królowej Opinii* stanowczo nie należałby do tych, coby się niekorzystnie wyrażali o cnocie pani Potockiej. Ale znaleźli się i opozycyoniści w tej materyi, którzy z zapałem, godnym lepszej sprawy, kruszą kopie w imię niepokalanej cnoty kochanki Krasińskiego Wprawdzie obrońców takich znalazło się tylko dwóch, Dr. Antoni J. (Rolle) i p. Kamiński, kto wie jednak, czy obaj w tym razie nie są obrońcami z urzędu, czy nie dlatego tak zawzięcie stają w obronie sponiewieranej niewinności pani Delfiny, że gdyby chcieli wobec niej zająć inne stanowisko, nie pozwolonoby im skorzystać z dokumentów, z których im skorzystać pozwolono pod warunkiem, że o Delfinie pisać będą inaczej, niż

Blondynka, o przepysznych, niezmiernie bujnych włosach, o cerze białej, alabastrowej, z oczami szafirowemi, cudnie oprawnemi w ciemne brwi i rzęsy, o rysach twarzy, które, choć niezupełnie regularne i klasyczne, mimo to były nadzwyczaj szlachetne i piękne, bardzo wysoka, prześlicznie zbudowana, z wielką gracyą ruchów, okazała i majestatyczna, zmysłowo kusząca i powabna w najwyższym stopniu, posiadała wszelkie warunki po temu, ażeby od pierwszej chwili, gdy się zjawiła w wielkim arystokratyczno-kosmopolitycznym świecie stolic europejskich, zabłysnąć jako pierwszorzędna piękność, z którą niewiele kobiet mogło współzawodniczyć co do urody. Że była bardzo piękna, na to godzili się wszyscy. Dla malarzy było rozkoszą niewypowiedzianą, gdy mogli malować jej portret, a wszyscy silili się na to, ażeby o ile możności jak najwierniej odtworzyć urok, bijący od tej cudownej twarzy. Ztąd poszło, że ją malowali raz po raz, co dowodziło tak-

---

Gnatowski i Tarnowski. Wiadomo bowiem, że tym, w których posiadaniu znajdują się podobne dokumenty, jak listy Delfiny Potockiej do przyjaciółki, lub listy Krasińskiego do Delfiny Potockiej, nie zawsze zależy na tem, ażeby światu ujawniono całą szczerą prawdę; owszem, wiadomo dobrze, że takim osobom częstokroć zależy na takiem przedstawieniu rzeczy, jakie odpowiada ich widokom kastowym, wszystko jedno, czy zgodnie z prawdą, czy nie. Swoją drogą zdaje mi się, że p. Kamiński idzie za daleko, gdy np. w ten sposób pisze o Delfinie Potockiej: „Porównaćby ją można tylko z Beatryczą Dantego lub Marylą Mickiewicza, *gdyby Maryla nie okazała się stokroć niższą od Delfiny duchowo*, bo odtrąciła miłość wielkiego poety dla korzystnych związków, *gdy tymczasem ta oddała się całkowicie uczuciu*, podzieliła je wobec świata, z narażeniem swej czci, z ofiarą całego życia, *i w uczuciu tem dotrwała aż do zgonu.*“

że, iż piękna hrabina lubiła pozować do portretów, że lubiła oddychać artystyczną atmosferą malarskich pracowni, że i sami malarze byli jej sympatyczni... Słynny Winterhalter malował ją kilkakrotnie, a jeszcze sławniejszy mistrz Scheffer uważał sobie za szczególne szczęście, gdy mógł rysy pani Delfiny przenieść na którekolwiek ze swych płócien... Jakoż czynił to nie raz jeden... Pani Delfina bowiem, wiedząc, jakiego w twórcy *Moniki* miała wielbiciela swych wdzięków, bardzo często odwiedzinami swemi zaszczycała jego pracownię. To samo mógł o sobie powiedzieć Winterhalter, którego kilka portretów, wyobrażających panią Potocką w różnych latach, znajduje się dziś w galeryi rodzinnej pałacu w Złotym Potoku... Jeden z takich portretów Winterhaltera, malowany pastelem, można oglądać w jednym z salonów prywatnych warszawskich. Oto, jak go opisuje p. Kamiński: „Wyobraża on kobietę z postawą królowej, z włosami blond, w puklach, spadających na biust greckiej bogini, w czarnej sukni, z twarzą *en trois quarts*, o rysach subtelnie czystych, *z pewnym odcieniem surowości w spojrzeniu*, na którą skarżył się nieraz Krasiński w listach. Wyraz ust, przeciwnie, pełen ujmującego wdzięku i słodyczy, *oddany ze zmysłową ekspresyą*, ile stać na to było zbyt mięki pędzel artysty. Z czoła tej kobiety bił chłód klasycznego posągu, oczy głębokie, ciemne, patrzyły przejmująco, *lecz usta za to najśmielszemu uwielbieniu zdawały się obiecywać przebaczenie i nagrodę.*“ Oczywiście, że i Krasiński nie mógł pozostać obojętnym wobec czarującej piękności Delfiny, że wciąż pozostawał pod jej urokiem, że nieraz temu zachwytowi dawał wy-

mowny wyraz w swych listach do niej, co jeszcze nie znaczy wcale, ażeby — jak chcą niektórzy — aż tak idealnie zapatrywał się na jej powaby, oczarowany ich „duchową stroną," by się nie wdawać w zmysłowy opis szczegółów. Jeśli tego nie czynił, to dlatego wyłącznie, że podobny „zmysłowy opis" był niestosowny w listach *do Delfiny*. Bądź co bądź, zachwycał się jej fizyczną piękności, tak dalece, że ją porównywał ze słynną Rachel, której klasyczna uroda, jaśniejąc ze sceny *Komedyi francuskiej*, właśnie podbijała serca wszystkich młodych i starych melomanów paryzkich. Zdaniem Krasińskiego, Delfina była nadzwyczaj podobną do Racheli. „Jest coś doskonałego w tobie, coś tak dalece *raffiné*, coś tak hojnie i przepysznie od Boga ci danego, tak z niechcenia się objawiającego, tak będącego tobą, że koniecznie musi dusza powtórzyć słowa zakładu z Mefistofelesem: Zostań się, zostań, bo ty jesteś pięknością!" [1]). W tem uczuciu goethowskiego Fausta, oszołomionego boską pięknością kształtów kobiecego ciała, pisał raz do Delfiny, korząc się przed jej nieziemskim czarem: „Wdzięczny jestem Bogu, że cię tak piękną stworzył, a tobie, że tak piękną jesteś."

Niedość jednak, że była piękna, jak Syrena: Syreny uwodziły nietylko swą pięknością, ale i śpiewem, którym pętały dusze wędrowców. Pani Delfina i pod tym względem była podobną do Syreny: obdarzona prześlicznym głosem, śpiewała jak skończona artystka. Śpiew jej, potężny siłą uczucia, czarujący metalicznem brzmieniem i koloraturą, podbijał

[1]) List z Rzymu Nr. 5, z soboty r. 1829.

serca wszystkich, co go słyszeć mieli sposobność. Dość powiedzieć, że Chopin był pełen podziwu dla jej śpiewu. Nie dziw więc, że i na Krasińskim, gdy śpiewała, czyniła nadzwyczaj silne wrażenie. „Kiedy szczerze śpiewa, po artystowsku, nie dla mdłych popisywań się, jest co słuchać," pisał o niej raz do Sołtana. Ale nawet wtedy, gdy śpiewała dla mdłych popisywań się, porywała wszystkich. Na całym półwyspie Apenińskim, od Spezii aż do Livorno, było głośno o tej polskiej hrabinie, której słowiczy śpiew zapisał się niezatartem wspomnieniem w duszach wszystkich. Powiada Krasiński, że podróżując po Włoszech, słyszał od przejeżdżających wojskowych, kobiet, ba, kleryków nawet! opowieści o jej pobycie w Sestri i entuzyazmie, który tam wywołała swym głosem. Dla niego był jej śpiew „tak potężny pięknością, że mógłby był się skondensować w gwiazdę, w planetę, gdyby Aniół Stróż kazał drganiom jej głosu skupić się w bryłę widoczną...." „A może księżyc jaki srebrniutki, okryty zewsząd kwiatami, z jakimś płonącym na sobie wulkanem, krążąc po jej pokoju w chwili śpiewu, opasałby jej głowę ruchomym wieńcem światła... Powiedz, Dialy, chciałabyś mieć taką planetę, urodzoną z głosu własnego, wiecznie krążącą koło skroni twoich."

Nadzwyczaj muzykalna z natury, bardzo dobrze, wcale nie po dyletancku, grając na fortepianie, tak, że najczęściej sama sobie akompaniowała do śpiewu, odznaczała się nietylko talentem wykonawczym, ale i twórczym. W chwilach wolnych, których jednak miała bardzo niewiele — poświęcała się także pracy kompozytorskiej. Zachwyconą utworami

Chopina, który w Paryżu cieszył się jej szczególną sympatyą, gdy komponowała, czyniła to „w guście szopenowskim.“ Krasiński — w listach do niej — zachwycał się jej utworami muzycznemi, a o jednym z nich, gdy mu go raz grał Danielewicz, powiada, że im zajął całą noc, „tak nie mogli się nim dość nasycić.“

Co o ich wartości sądził Chopin? Niewiadomo. Wiadomo natomiast, że jego przepyszny *Koncert f-moll* wyszedł w r. 1836 — a więc na dwa lata przed poznaniem się Delfiny z Krasińskim — z dedykacyą w nagłówku *à M-me la Comtesse Delfine Potocka*, i że było to w czasie właśnie, gdy Chopin, smutny po zerwaniu z nim Maryi Wodzińskiej, czuł wielką potrzebę pocieszenia się po jej stracie. Że pani Delfina Potocka umiała być nieporównaną pocieszycielką w takich razach, to było publiczną tajemnicą w całym Paryżu. Czemuby nie miał przekonać się o tem 26-letni Chopin, skoro niedawno mógł się przekonać i taki już niemłody *lovelas*, jak pan Flahaut... Swoją drogą, przyznać trzeba, że jakąkolwiek pani Delfina była, nie była to kobieta pospolita. Z wyobraźnią bujną, rozmarzoną, chorobliwie rozwiniętą przez wszystkie wpływy czasu, przez romantyczną poezyę, przez romansową prozę, przez sam obyczaj towarzyski wreszcie [1]), była to, w każdym razie, natura artystyczna usposobieniem i wrażliwością, jeżeli nie *in actu*, to przynajmniej *in potentia*. Co ważniejsza, to, że ta potrzeba wrażeń artystycznych, tak modna wówczas, nie była u niej, jak

[1]) *Hrabia Zygmunt Krasiński*, str. 268.

u tylu innych kobiet owej epoki, udana i przyswojona sztucznie, ale wrodzona i szczera: pani Delfina miała niezaprzeczenie duszę artystyczną; opery Rossiniego i Belliniego, śpiewane przez Rubiniego i panią Malibran, romantyzm w muzyce fortepianowej, reprezentowany przez Chopina i Liszta, sztukę, włoską renesansową i romantyczną francuską, a wreszcie poezyę, francuską i angielską, wraz z romansami pani Sand i Balzaka (nie mówiąc już o romansach pani de Staël, której pani Delfina nawet zawdzięczała imię, jakie nosiła): wszystko to rozumiała i odczuwała doskonale, wszystko to stanowiło żywioł, wśród którego czuła się na swoim gruncie, jakby u siebie w domu. Oprócz muzyki i śpiewu, uprawiała także i malarstwo, zwłaszcza pastelowe, w którego zakresie objawiała sporo talentu. „Utwory jej pędzla odznaczały się czystością rysunku i efektem w kolorycie, świadcząc o głębokich studyach.“ Wogóle, jak się o niej pięknie wyraził Krasiński, „zostały w tej duszy iskry, podobne wybuchom wulkanu; została żądza długa, namiętna, długa, jak nuta własna, przeciągniona przez znakomitą śpiewaczkę (przez samą panią Delfinę naprzykład), żądza wyższego stanu rzeczy, piękniejszej sfery dla ducha, jakiegoś promiennego spokoju...“ Albowiem zaprzeczyć się nie da, że w kobiecie tej, bądź co bądź wyższej nad otaczający tłum, o inteligencyi wszechstronnej, istotnie niezwykłej, wiele było poglądów szlachetnych, wznioślejszych, wiele skłonności w kierunku rzetelnego idealizmu. Przedewszystkiem był czas, kiedy naprawdę była nieszczęśliwa; a nieszczęście uszlachetnia. Wydana za mąż za Mieczysława

Potockiego, który — choć namiętnie kochany przez nią — okazał się człowiekiem niedobrym, nieszlachetnym, [1]), i zmuszona powrócić pod dach rodzicielski, gdzie ją także nie wszyscy rozumieli, dopiero z chwilą, kiedy się znalazła w Paryżu, a potem w Londynie, otworzyły się jej oczy: zrozumiała, co była warta. Ale i atmosfera wielkoświatowa, którą się zrazu czuła tak upojoną, nie zawsze była skutecznem lekarstwem na moralną pustkę, z którą życie wielkoświatowe tak często idzie w parze. I tu uważała, że najczęściej była niezrozumiana. Czy rzecz się tak miała istotnie? Czy pani Delfina, całą duszą i ciałem oddana używaniu świata, rzeczywiście mogła uskarżać się na to, że jej ludzie nie rozumieli? Zdaniem prof. St. Tarnowskiego, była to poprostu moda, nakazująca młodej i pięknej damie być poetyczną i romantyczną, a literatura — zwłaszcza powieściowa — uczyła ją, jaką ma być, ażeby uchodzić za taką. W ówczesnych romansach i dramatach, zarówno w efektownych — i tylko efektownych — dramatach Dumasa, jak w mądrych romansach Balzaka i w istocie poetycznych powieściach pani Sand, kobieta niezrozumiana królowała prawie bez podziału, marząc zawsze o jakimś tajemniczym nieznanym bohaterze, który, jak ów królewicz w bajce o *Śpiącej królewnie*, miał zjawić się zkądciś i zrozumieć ją. Mówiła zaś ta literatura, że miłość jest najwyższem

---

[1]) Mimo to Delfina, gdy w r. 1825, w białej sukni, cała obsypana brylantami od narzeczonego, stawała na ślubnym kobiercu, szczerze kochała Potockiego. Krasiński wiedział o tem, ale bynajmniej nie miał żalu do Delfiny z powodu tego jej uczucia dla męża, z którym miała kilkoro dzieci...

i najświętszem prawem, rozwiązującem wszystkie inne; że wielka namiętność nie potrzebuje wymówki, bo sama jest wymówką; że kobieta ma prawo do niezależności etc. etc.

Wszystko to, ponieważ było teoryą bardzo wygodną, nie pozostawało bez wpływu na mnóstwo kobiet, między innemi i na panią Delfinę, która niezrozumiana, uciemiężana i krzywdzona przez męża, mnóstwo posiadała warunków po temu, ażeby ten legion kobiet niezrozumianych powiększyć o jedną [1]). Natura najprostsza, najzdrowsza, najspokojniejsza wyobraźnią i nerwami, w takich stosunkach mogła być wystawioną na niebezpieczeństwo stracenia

---

[1]) Por. St. Tarnowski, *Zygm. Krasiński*, str. 285. R. S. Kamiński w swem studyum o Krasińskim i Delfinie tak pisze o tej ówczesnej modzie. Według pojęć francuskich (a one przeważały w społeczeństwie ówczesnem), młoda kobieta, mężatka, bywająca w świecie, jeśli chciała zwrócić na siebie uwagę *wielkiego świata* i nie uchodzić za parafiankę *(głupio* zakochaną w swym mężu), musiała grać sentymentalną rolę *d'une femme incomprise* t. j. niepojętej, nieocenionej dość przez męża. Podobna rola oczywiście szła w parze z inną, z rolą pocieszyciela lub pocieszycielki, a ci rekrutowali się z grona złotej młodzieży: z legitymistów, jeśli osoba popierała *l'ancien régime;* z wojskowych, jak pan Flahaut lub Monfort, jeśli uczucie było w stylu *empire.* Taki, jakby powiedziano dziś, wielkoświatowy flirt, nie uwłaczający mężatce, był w modzie i *sami mężowie żyli w największej przyjaźni z pocieszycielami (inamorati) swych żon.* Ten anormalny, a często nawet bardzo niemoralny stosunek był tolerowany w wielkim świecie Paryża, Rzymu i Wiednia. Krok dalej już od mężatki *incomprise* stała *une femme abandonnée,* opuszczona przez męża. Kobiet takich było sporo podówczas. Położenie to było już niebezpieczniejsze, bo jeśli stan małżeński *niezrozumianej* tłomaczył się strategicznie, jako forteca źle broniona, to *abandonata* przedstawiała się światu, jako forteca bez załogi. Delfina Potocka była właśnie taką *abandonatą.*

równowagi; tembardziej natura pani Delfiny, która prostotą nie odznaczała się nigdy.

Ten brak prostoty w życiu, w sposobie myślenia, we wszystkiem, był u niej, obok mnóstwa innych, mniejszych lub większych wad, jedną z najprozaiczniejszych, a prozaiczną przez to głównie, że z góry obliczoną na poetyczny efekt. O szczerości bowiem, w rzeczach uczucia, *u niej nie było mowy*: zawsze pozowała; zarówno wtedy, gdy opowiadała o swoich nieszczęściach i smutkach, w rzeczywistości nigdy nie odczutych głębiej, jak i wtedy, kiedy przybierała postać „nieznośnej kapryśnicy, potrzebującej śmiać się i żartować, by uniknąć strasznej nudy, która ją toczyła," i kiedy „podobna znarowionemu dziecku, źle wychowanej dziewczynce lub *Don Juanowi w spódnicy, który wszystkiego doznał*, wołała: „Dajcie mi księżyc, chcę skosztować, czy z księżyca dobry marcepan, bo na ziemi już nic niema [1])". Wychowana po francusku, na pokaz, w zasadach kosmopolitycznych, a tak po zagranicznemu wykwintnie i elegancko, że wychowanie to — jak się złośliwie wyraża prof. St. Tarnowski — aż było czuć zaścianiem [2]): kiedy wyjechała za granicę, do Paryża, który dla niej odrazu stał się szkołą lafiryndyzmu i próżności, okazało się niebawem, że była wyjątkowo zdolną w zakresie tego, co w niej Krasiński nazywał z początku „próżnością *fashion'u*, najnędzniejszą z próżności." Oddana zabawom i używaniu—co jej przy stu tysiącach franków rocznej renty przycho-

[1]) List do Sołtana z Neapolu 31 grudnia 1838.

[2]) Z życia poety, *Słowo* z d. 21 listopada 1890 r.

dziło łatwo—zepsuta powodzeniem w świecie, tak się przejęła tą komedyą światową, którą, ulegając wpływom otoczenia, grała nieustannie, że nie spostrzegła się nawet, jak to ciągłe udawanie i pozowanie stało się jej drugą naturą; że zaś obok licznych skłonności dobrych, które ją cechowały, niemniej posiadała złych i przewrotnych, że główną cechą jej charakteru były bezwarunkowo próżność i samolubstwo, obok lekkomyślnej płochości i kokieteryi nie przebierającej w środkach (co przy obyczajach wolnych bardzo—bardzo—ogromnie ułatwiało jej niektóre tryumfy), więc doszło do tego w końcu, że pani Delfina w oczach wielu osób, sądzących ją surowiej, uchodziła nietylko za piękność, która czarowała wielkoświatowych rozpustników, a od niejakiego czasu bałamuciła wielkiego poetę [1]), ale i za „grzeszną, rozswawoloną wietrznicę," o której dało się powiedzieć dużo złego, a mało dobrego.

Że dla kobiety takiej stosunek z wielkim poetą, jakim był w r. 1838 autor *Irydyona* i *Nieboskiej*, musiał być bardzo ponętnym i miłym; że musiał nadewszystko schlebiać niezmiernie jej miłości własnej; że zbyt wiele musiał mieć dla niej rzeczywistego uroku, aby nie była dumną z podobnego tryumfu nad genialnym wieszczem, którego widziała teraz zaprzężonym do swego rydwanu; i że za tem zadowoleniem miłości własnej poszło także i uczucie, które miało wiele cech miłości prawdziwej, w początkach przynajmniej, wszystko to, o ile się da zrozumieć bardzo

---

[1]) Dr. Antoni J. *Opowiadania historyczne*, serya siódma. Lwów, 1891. *Beatrice*, str. 131.

łatwo, o tyle wymaga mnóstwa zastrzeżeń. Bo nie ulega wątpliwości najmniejszej, że pani Delfina, jeżeli kochała Krasińskiego, to więcej, aniżeli sercem, kochała go głową, a więcej jeszcze, aniżeli głową—próżnością [1]). Uważała, że jest to bardzo poetycznie kochać „człowieka wielkiego na ziemi“ i być odeń kochaną nawzajem, być jego Beatriczą, jego Muzą, i już dlatego samego zupełnie mu obojętną nie była; przeciwnie, starała się nawet kochać go naprawdę, rzetelnie; a że, przy jej usposobieniu egzaltowanem, miłość nie była trudną, więc pewnego rodzaju wyegzaltowanie się w miłości dla niego, wmówienie w siebie, iż się go kocha bardzo i jedynie, również musiało jej przyjść nietrudno. Tylko, że uczucie to nie było w gruncie rzeczy ani tak wielkie, jak to się czasem pani Delfinie zdawało, ani tak bezinteresowne i wzniosłe, jak to sobie wyobrażał Krasiński.

Cokolwiekbądź w początkach znajomości sądził swą Beatriczę bardzo surowo, z wielką dozą krytycyzmu; pomimo współczucia, jakie w nim chwilami rozbudzić potrafiła, kokietując go swoim tragicznym losem, swojemi nieszczęściami, wiedział, co trzymać o tem wszystkiem. Ażeby trafić do jego wyobraźni, a przez tę do serca, próbowała różnych sposobów, ale niestety, wszystkie ją zawodziły najfatalniej: czy to, kiedy się silila na *ton paryski*, na różne przeskoki od sarkazmu do rozmarzenia; czy to, kiedy się nastrajała na ton *buffo;* czy to, kiedy wszelkich dokładała starań, ażeby się zgiął przed. jej zewnętrznym

---

[1]) Por. X. Jan Gnatowski *Moje Beatrice*, *Niwa* z r. 1879 str. 856.

fashionem. Nic nie skutkowało. Krasiński, który poprostu za inteligentny był na to, ażeby się nie poznać na tej komedyi, pozostawał zimny, niewzruszony i—dziwnie otwarty, tak, iż nietylko się z nią kłócił całemi godzinami, ale jej nawet mówił czasami „dziwnie przykre rzeczy;" w listach zaś do Sołtana, zdając sprawę z wrażenia, jakie na nim uczyniła pani Delfina, wyrażał się o niej w sposób tak ostry i nieparlamentarny, iż przy ogłaszaniu wyjątków z tej korespondencyi musiano odnośne ustępy opuścić [1]). Rozumiał się na farbowanych lisach!... Dopiero, kiedy „zmieniła ton" i—jak się Krasińskiemu zdawało—zaczęła mówić szczerze, wtedy i on wziął z innego tonu i, jak powiada w jednym z listów do Sołtana, „teraz co wieczór ona smutno, żałobnie opowiada mi swoje życie moralne, a ja słucham i czasem ją cieszę."

Tem go rozbroiła. Jakkolwiek mu to przyszło z trudnością, w końcu uwierzył jednak, że ma do czynienia z istotą nieszczęśliwą, zasługującą na rzetelne współczucie. Choć kto wie, czy okazałby się równie łatwowiernym, gdyby Delfina nie była tak kusząco piękną, jak była. W każdym razie była chwila, że przekonany o jej smutnej doli, nie wątpił o prawdzie i szczerości jej wynurzeń. W tem przeświadczeniu tak pisał do Sołtana:

„Literatura francuska dzisiejsza zna takie kobiety... Ale w nich jest jakaś nieskończoność bólu, jakaś przyszłość nieodwołalna coraz sroższych cierpień, które mnie przejmują litością... Kiedy widzę

[1]) X. Jan Gnatowski, op. cit.

istotę, której nie potrzeba pociechy, której życie stoi otworem, i którą każdy zrozumie, każdy uśmiechem przywita, zdaje mi się, że ona mnie nie potrzebuje, że ona tysiąc ludzi zdatniejszych do podzielenia czy jej dumy, czy jej bogactw, czy piękności, czy niczem niezatrutej duszy, znajdzie; nic mnie nie wabi, nie ciągnie do niej; siedząc na uboczu, lubię patrzyć na jej marsz tryumfalny, jak na piękne zjawisko, ale się nie zbliżam; dość mi na tem, że ta sztuka graną jest przed mojemi oczyma... Zupełnie przeciwnie się dzieje, gdy na czyjem czole ujrzę ślad żałobny, wyciśnięty kolejami życia; wtedy marzy mi się, że moje słowo lub przyjaźń, lub ręki uścisk, może w tych piersiach obudzić na nowo życie."

Zrozumieli się nareszcie. Jeśli to nastąpiło z czasem, to dzięki licznym warunkom, które takie ostateczne porozumienie się pomiędzy dwojgiem ludzi tego rodzaju, takie ich dostrojenie się do jednego harmonijnego akordu, ułatwiały, a nawet czyniły koniecznem poniekąd, wprost nieuniknionem: i Krasiński, i pani Delfina, byli dziećmi swojego czasu, jako tacy zaś, choć pod niezliczonemi względami różnili się pomiędzy sobą, pod wielu innemi, a zwłaszcza pod jednym, dziwnie byli podobni do siebie. Tym, jeśli się tak wyrazić wolno, węzłem moralnym, który ich łączył, był ten popęd i nałóg, który sam Krasiński w *Nieboskiej* nazwał „dramatyzowaniem swego życia," a który, bardzo rozpowszechniony podówczas, nietylko cechował hrabiego Henryka samego. Pani Delfina Potocka była nim dotknięta również, i to w stopniu bardzo wysokim. Gorączkowe, nerwowe pragnienie coraz nowych wrażeń, zwyczaj

i biegłość wywoływania ich i podnoszenia wyobraźnią do wyższej potęgi, potrzeba i szukanie poezyi w swojem życiu, podziwiania jej w swojej osobie, a zapatrywanie się na nią przesadne i romansowe, wszystko to, wyrósłszy bujnie i nad miarę pod wpływem ducha epoki, grało w usposobieniu pani Delfiny rolę pierwszorzędną. Nieszczęśliwa prawdziwie — z początku — podziwiała się romansowo w swojem nieszczęściu, a kiedy się pocieszyła (bardzo prędko), nie przestała szukać wrażeń i wzruszeń, rozmiłowana zaś w tego rodzaju sporcie, przywykła powoli i do sztucznego ich doznawania, podnosząc je sama przed sobą, a po części udając, zarówno przed sobą samą, jak i przed drugimi. Nie było to — zdaniem prof. St. Tarnowskiego—zupełną nieprawdą, zupełnem udawaniem; ale nie było też prawdziwą rzetelnością uczuć i wrażeń [1]).

Źródłem jej nietyle nieszczęśliwej, ile kłopotliwej doli, w którą się drapowała, jak w żałobny chiton, przekonana, że w nim wydaje się tembardziej interesującą, było jej złe pożycie z mężem, z którym jeszcze w roku 1835 próbowała pogodzić się, wróciwszy na wspólne zamieszkanie z nim do Tulczyna, który jednak, wiedząc o jej sposobie życia w Paryżu i Londynie, zawziął się i ani chciał słyszeć o zaniechaniu sprawy rozwodowej. W roku 1838, gdy się poznała z Krasińskim, sprawa jej rozwodu, wytoczona przez Mieczysława Potockiego, już była w toku, a o ile Delfina nie przedsiębrała najmniejszych kroków w celu jej przyspieszenia (gdyż to było przeci-

[1]) Por. St. Tarnowski. *Z. Krasiński*, 885—6

wne jej interesom materyalnym), o tyle strona przeciwna poruszała wszystkie godziwe i niegodziwe sprężyny, ażeby jak najprędzej uwolnić się od krępujących więzów małżeńskich. Sytuacya podobna, wielce upokorzająca dla Delfiny, miała jeszcze to niedobre do siebie, że należało się mieć na baczności, że wypadało więcej, niż kiedykolwiek, liczyć się z pozorami, a tem samem unikać pokazywania się światu w „tłumie wielbicieli", zwłaszcza nie pokazywać mu się w towarzystwie tych, którzy byli szczególniej uprzywilejowani i wyróżniani... Wszak chodziło o to, ażeby mężowi uniemożliwić zdobycie potrzebnych dowodów, motywujących jego pretensye! Powodowana temi pobudkami, Delfina, usunąwszy się z wielkoświatowej areny paryzkiej, przeniosła się do Włoch, do Neapolu, gdzie przebywała jej matka. Zamieszkawszy tutaj, narażała się na obserwacyę ciotek, sióstr i braci, słowem, całej familii, *usiłującej ją ciągle pogodzic z mężem.* Swoją drogą *mieszkała i podróżowała oddzielnie*, tak, że ile razy chciała, mogła się wyłamać z pod tej niewygodnej i krępującej kontroli... Jakoż czyniła to niejednokrotnie. Nie zapominając jednak, że nie brak takich, co ją mogli śledzić, iż mogła być szpiegowaną przez różnych sojuszników mężowskich, zawsze, ile razy korzystała ze swej wolności, czyniła to z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, a postępowała tak dlatego, ponieważ nie traciła nadziei, że w końcu uda się jej wrócić pod dach Tulczyńskiego pałacu. Bo gdyby to od niej zależało, nie miałaby nic przeciwko temu. Niestety, Mieczysław Potocki gwałtem domagał się rozwodu...

Wobec tego, gdy kilkakrotne „replatraże“ z mężem spełzły na niczem, gdy i usiłowania w tym kierunku hrabiny Kisieleff zawiodły ostatecznie, Delfina, „jako już *opuszczona przez męża*, młoda jeszcze, piękna bardzo, *w przewidywaniu rozwodu, którego nie wywołała*, mogła rzucić okiem na kogoś, któryby jej *dał opiekę*, rozbudził w niej uczucie, *a wreszcie poślubił*. W tej chwili przełomowej wzrok jej padł na Zygmunta Krasińskiego [1]). Zwątpiwszy o możności pogodzenia się z milionowym dziedzicem Tulczyna, wcale nie była daleką od tego, ażeby się zgodzić na dolę ordynatowej Opinogórskiej. Nie byłoby to złą kombinacyą. Wprawdzie Krasiński nie był tak bogatym, jak Mieczysław Potocki, ale zawsze był bardzo bogatym! Nawet żarliwy obrońca Delfiny, który w niej widzi osobę świętą i pełną poświęcenia, przypuszcza tu „nieco ziemskich wyrachowań“ z jej strony...

---

[1]) *Zyg. Kr. i Delf. Potocka w Tyg. ilustr.*

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

This book should be returned to the Library on or before the last date stamped below.

A fine is incurred by retaining it beyond the specified time.

Please return promptly.